

czarna seria

kryminaty ze znakiem jakości

Håkan Nesser

# Karambol



*Ali-Baba*

Håkan Nesser

# Karambol

przełożył  
Paweł Pollak



Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza

Warszawa 2007

*„W naturalnym porządku rzeczy  
ojcowie nie grzebią swoich synów”.*

*Paul Auster,  
Czerwony notatnik*

## I

### 1

Chłopak, który wkrótce miał umrzeć, zaśmiał się i wyzwolił z jej objęć. Strzepnął okruszki chipsów z koszuli i podniósł się.

- Muszę już iść - powiedział. - Naprawdę. Ostatni autobus będzie za pięć minut.

- Chyba rzeczywiście musisz - przyznała dziewczyna. - Boję się pozwolić ci, żebyś został na noc. Nie wiem, co powiedziałaaby na to mama. Wróci za kilka godzin, dzisiaj pracuje do późna.

- Szkoda. - Chłopak wciągnął przez głowę grubego sweter.

- Fajnie byłoby u ciebie zostać. Nie moglibyśmy zrobić tak, że... że...

Zawahał się, nie wiedząc, jak to ująć. Uśmiechnęła się i wzięła go za rękę. Była pewna, że właściwie nie mówi poważnie. Była pewna, że to jedynie poza. Nigdy by się nie odważył, pomyślała. Nie poradziłby sobie z taką sytuacją... Przez krótką chwilę bawiła się myślą, żeby się zgodzić. Pozwolić mu zostać. Tylko po to, by zobaczyć jego reakcję. Czy stawiłby temu czoło, czy stracił rezon.

Tylko na sekundę pozwolić mu uwierzyć, że zgodziła się położyć z nim nago do łóżka.

Bez wątpienia byłoby ciekawie. Mogłaby sporo się o nim dowiedzieć, ale zrezygnowała. Porzuciła tę myśl; nie zachowałaby się zbyt ładnie, a za bardzo go lubiła, żeby okazywać

egoizm i wyrachowanie. Lubiła go szalenie, kiedy dokładniej się nad tym zastanowiła, więc pewnie prędzej czy później tym się skończy. Że będą leżeć nadzy pod jedną kołdrą... tak, tak to w ostatnich tygodniach odczuwała, nie było powodu, by temu zaprzeczać.

Ten pierwszy. On miał być tym pierwszym. Ale nie dzisiaj.

- Innym razem - powiedziała, puszczając go. Przeciągnęła rękami po włosach, żeby pozbyć się naelektryzowania od gładkiego materiału kanapy. - Myślicie tylko o jednym, cholerni samcy.

- Ech. - Próbował przybrać minę wyrażającą zawód.

Wyszedł do przedpokoju. Poprawiła sweterek i poszła za nim.

- Moglibyśmy zachowywać się cichutko i udawać, że śpisz, a potem bym się wymknął nad ranem, zanim twoja mama się obudzi.. - powiedział, żeby jednak za wcześnie się nie poddać.

- Innym razem. W następnym miesiącu mama pracuje w nocy, może wtedy?

Skinął głową. Wciągnął buty i zaczął szukać szalika i rękawiczek.

- Kurde, nie wziąłem książki do francuskiego. Przyniesiesz mi? Przyniosła. Kiedy zapiął budrysówkę, znowu przytulili się do siebie. Przez warstwy materiału czuła jego twardy członek; przywarł do niej i na moment owładnęła nią wibrująca omdłałość. Przyjemne uczucie, jakby człowiek spadał, ale nie musiał martwić się upadkiem; zrozumiała, że te połączenia między rozsądkiem a zmysłowością, między głową a sercem są właśnie tak słabe, jak twierdziła jej mama w czasie ostatnich poważnych rozmów przy kuchennym stole.

Niezbyt można na nich polegać. Rozsądek to tylko chustka, w którą później wyciera się nos, powiedziała jej mama - wyglądała na taką, która wie, co mówi.

I oczywiście wiedziała. Miała trzech facetów, a z tego, co ona rozumiała, żaden nie był wart zatrzymania. A jej ojciec najmniej. Zagryzła wargę i odsunęła od siebie chłopaka. Zaśmiał się, lekko zakłopotany.

- Lubię cię, Wim - powiedziała. - Naprawdę. Ale teraz musisz już iść, bo ucieknie ci autobus.

- Bardzo cię lubię. Twoje włosy...

- Moje włosy?

- Masz niesamowicie piękne włosy. Gdybym był maleńkim zwierzątkiem, chciałbym w nich zamieszkać.

- No nie.- Uśmiechnęła się. - Chcesz powiedzieć, że mam wszy?

- Skąd. - Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - Tylko tyle, że jak umrę przed tobą, zamierzam odrodzić się w postaci małego stworzonka i zamieszkać w twoich włosach. Dzięki temu mimo wszystko będziemy razem.

Spowaźniała.

- Nie wolno mówić o śmierci w ten sposób. Bardzo cię lubię, ale nie mów tak lekko o śmierci, proszę cię.

- Przepraszam. Zapomniałem o...

Wzruszyła ramionami. Jej dziadek zmarł przed miesiącem, rozmawiali o tym trochę.

- Nie szkodzi. I tak cię lubię. Zobaczymy się jutro w szkole.

- Do jutra. Naprawdę muszę już iść.

- Może odprowadzę cię na przystanek?

Pokręcił głową. Otworzył drzwi na klatkę schodową.

- Nie żartuj. To przecież tylko dwadzieścia metrów.

- Lubię cię - powiedziała dziewczyna.

- Ja też cię lubię - odparł chłopak, który wkrótce miał umrzeć.

- Bardzo.

Objęła go ostatni raz. Zbiegł po schodach.

Mężczyzna, który wkrótce miał zabić, marzył o domu.

O łóżku albo o wannie, nie był pewien o czym.

O jednym i drugim, uświadomił sobie, zerkając ukradkiem na zegarek. Najpierw porządna gorąca kąpiel, potem łóżko.

Dlaczego mówić albo-albo, skoro można mieć i to, i to? Jezu, przesiedział z tymi neptkami ponad cztery godziny... cztery godziny!

Powiódł wzrokiem wokół stolika, zastanawiając się, czy któryś z pozostałych ma podobne odczucia. Jest równie

znudzony jak on.

Nie wyglądało na to. Wesole i rozbawione twarze, oczywiście trochę dzięki trunkom, ale widać było, że lubią ze sobą przebywać. Sześciu panów w sile wieku, zadowolonych z życia, pomyślał. Robiący karierę i zamożni - mierząc w każdym razie rozsądną miarą - stąpający mocno po ziemi. Może Greubner sprawiał wrażenie nieco zmęczonego i oklapniętego, ale pewnie znowu szwankowało jego małżeństwo... małżeństwo albo firma. A dlaczego albo-albo, a niejedno i drugie?

Nie, już dosyć, zdecydował i dopił duszkiem koniak. Wytarł serwetką kąciuki ust i zrobił minę sygnalizującą, że chce wstać od stolika.

- Na mnie... - zaczął.

- Już? - zdziwił się Smaage.

- Tak. Jutro też jest dzień. Dzisiaj chyba nic więcej nie mieliśmy?

- W takim razie strzemiennego, he? - zaproponował Smaage.

Mężczyzna, który wkrótce miał zabić, podniósł się.

- Na mnie już... - powtórzył, celowo nie kończąc zdania.

- Życzę panom dobrej nocy i nie wysiadujcie za długo.

- Twoje zdrowie - powiedział Kuijsmaa.

- Pokój, bracie - dołączył Lippmann.

W holu poczuł nagle, iż rzeczywiście wypił, ile dał radę. Miał wyraźne kłopoty z nałożeniem płaszcza, do tego stopnia wyraźne, że wytatuowany osiłek z szatni zadał sobie trud, aby wyjść zza kontuaru i mu pomóc. Niewątpliwie było to trochę krępujące, więc pośpiesznie zszedł po schodkach; owionął go orzeźwiający nocny chłód.

Deszcz wisiał w powietrzu, a błyszczący czernią bruk placu świadczył, że nie tak dawno musiała tędy przejść ulewa. Niebo wyglądało na niespokojne, więc zapewne można było spodziewać się kolejnych. Zawiązał szalik, włożył ręce do kieszeni i ruszył wzdłuż Zville w stronę placu Grote, gdzie zaparkował. Niegłupia rzecz taki mały spacer, pomyślał. Wystarczy zaledwie kilkaset metrów, żeby człowiekowi nie

kurzyło się tak z głowy. Dobrze mi to robi.

Zegar na centrum handlowym Boodwick wskazywał dwadzieścia po jedenastej; minął oświetlone wejście, ale Ruyders Plejn był pogrążony w ciemności i wyludniony, jak zapomniane cmentarzysko. Nad Langgraacht kładła się mgła i kiedy przechodził przez most Eleonory, parę razy się pośliznął; najwyraźniej temperatura była bliska zeru. Upomniął się w duchu, żeby ostrożnie prowadzić - gołoledź i alkohol we krwi nie stanowiły dobrej kombinacji. Przez krótką chwilę rozważał nawet, żeby zatrzymać taksówkę, ale w pobliżu żadnej nie dostrzegł i porzucił tę myśl. Zwłaszcza że potrzebował samochodu z samego rana, poza tym zostawienie go na noc na placu Grote nie było najlepszym pomysłem. Całkiem niedawno zamontował wprawdzie drogi alarm, ale wiedział, jak się sprawy mają. Wprawnym złodziejom dostanie się do samochodu, zabranie stereo i ukrycie się, zanim ktoś zdążyłby zareagować, nie sprawiłoby najmniejszego kłopotu. Jest jak jest, skonstatował ze stoicyzmem i skręcił w Kellnerstraat.

Zresztą, co może warto odnotowania, prowadził już na rauszu. Nie raz i nie dwa i nigdy nie było żadnych problemów. Idąc przez plac w stronę czerwonego audi, próbował policzyć, ile wypił w trakcie wieczoru, ale część zamazała mu się w pamięci i do jednoznacznego wyniku nie doszedł. Otworzywszy samochód pilotem, usiadł wygodnie za kierownicą. Włożył do ust cztery pastylki na gardło, zapalił silnik i zaczął myśleć o kąpieli z dużą ilością piany.

Eukaliptus, zdecydował. Spojrzał na zegarek. Dwie minuty po wpół do dwunastej.

Autobus przejechał w tej samej chwili, kiedy Wim wyszedł na chodnik.

Najpierw podniósł rękę, odruchowo próbując zatrzymać kierowcę. Potem puścił wiązanekę, widząc tylne światła znikające na niewielkim podjeździe prowadzącym w stronę uniwersytetu.

Cholera! - pomyślał. Dlaczego akurat dzisiaj musiał trzymać

się rozkładu jazdy co do sekundy? Jak na złość. Typowe. Chociaż kiedy spojrział na zegarek, zobaczył, że było prawie pięć minut po czasie, czyli mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Do siebie i, nie zapominajmy, do Katriny. Myśl o niej podniosła go trochę na duchu. Zdecydowanym ruchem poprawił plecak, naciągnął kaptur i ruszył na piechotę.

Miał przed sobą czterdzieści pięć, pięćdziesiąt minut marszu, ale na pewno dotrze do domu tuż po dwunastej. Nie tak strasznie. Mama będzie siedziała w kuchni i na niego czekała, tego mógł być pewien. Popatrzy na niego z bezradnym wyrzutem, co z biegiem lat doprowadziła do dramaturgicznej perfekcji. Ale to nie koniec świata. Każdemu mógł uciec ostatni autobus, zdarzało się w najlepszych rodzinach.

Przy Cmentarzu Keymerskim zawahał się, czy przezeń pójść. Zdecydował się go okrążyć; niezbyt mu się uśmiechało wchodzenie między groby i kaplice, zwłaszcza w tym zimnym mroku z lodowatymi płatami mgły nadciągającej przez zaułki i ulice, i znad czarnych kanałów. Jakby dążyła do tego, by spowić miasto ostatecznym nocnym całunem. Raz na zawsze.

Wzdrygnął się i przyśpieszył kroku. Mógłbym zostać, przyszło mu nagle do głowy. Zadzwoić do mamy i zostać u Katriny. Przez chwilę oczywiście by się złościła, ale co miałyby zrobić? Ostatni autobus przecież pojechał. Taksówka była za droga, a pora ani pogoda nie były odpowiednie na samotny spacer dla młodego chłopaka.

Ani dla matki, żeby go do tego nakłaniała.

Ale tak tylko myślał. Zdecydowanym krokiem szedł naprzód. Przez miejski lasek, skąpo oświetloną ścieżką dla rowerów i pieszych, niemal przebiegł truchtem i do głównej drogi dotarł szybciej, niż się spodziewał. Wziął głęboki oddech i nieco zwolnił tempo. Już tylko ostatni kawałek, pomyślał. Długi, monotony marsz wzdłuż głównej drogi; też niezbyt przyjemny odcinek, jeśli miał wybrzydzać. Mało miejsca dla rowerzystów i pieszych. Załedwie wąski pasek między



przydrożnym rowem a jezdnią, a samochody jeździły szybko. Nie było ograniczenia prędkości, o nadmiernym oświetleniu też nie można było mówić.

Dwadzieścia minut marszu ciemną szosą w listopadzie. Nie uszedł nawet kilkuset metrów, jak zerwał się zimny wiatr i rozwiął mgłę; złapał go deszcz.

Cholera, pomyślał. Mógłbym teraz leżeć w łóżku Katriny. Nagi, z przytuloną Katriną, czując ciepło jej ciała, delikatne dłonie, jej nogi, jej piersi, na których prawie mógł położyć rękę... ten deszcz musi być znakiem.

Ale nie przerwał marszu. Szedł dalej w deszczu, wietrze i mroku i myślał o tej, która będzie pierwsza.

Byłaby pierwsza.

Zaparkował trochę krzywo, musiał wycofać i dokładnie w chwili, kiedy pomyślał, że akurat się zmieścił, uderzył prawym błotnikiem w ciemnego opla.

Szlag by trafił, pomyślał. Dlaczego nie wziąłem taksówki? Otworzył ostrożnie drzwi i zerknął w tył. Skonstatował, że było to bardzo lekkie uderzenie, nic, czym należałoby się przejmować. Błahostka. Zamknął z powrotem drzwi. Tłumaczyło go też to, przekonywał się, że szyby były zaparowane, a widoczność minimalna.

Nie troszczył się już o sprecyzowanie, w jaki dokładnie sposób go to tłumaczyło, tylko wyjechał szybko z placu i bez problemów wjechał na Zwille. Ruch był niewielki, wyliczył sobie, że powinien być w domu za kwadrans, góra dwadzieścia minut. Czekać na zielone światło przy Alexanderlaan, zaczął się zastanawiać, czy została mu jeszcze eukaliptusowa pianka. Kiedy zmieniło się światło, nie nadążył, zgasł mu silnik. Szybko ponownie zapalił, dodał gazu... to ta cholerna wilgoć. Następnie skręcił nieco za ostro na skrzyżowaniu i zahaczył o wysepkę.

Tylko przednim kołem. Nic poważnego się nie stało... zupełnie nic, jeśli być precyzyjnym. Pozostaje uśmiechnąć się i jechać dalej, wmawiał sobie, ale nagle zrozumiał, że jest znacznie bar-

dziej pijany, niż sądził.

Cholera, pomyślał. Muszę uważać, żeby trzymać się drogi. Nie byłoby dobrze, gdyby...

Opuścił boczną szybę o jakieś dziesięć centymetrów i włączył na całego nawiew, żeby przynajmniej mieć niezaparowane szyby. Potem przez długą chwilę jechał z przykładowie niską prędkością przez kręte uliczki Bossingen i Deijkstraa, na których drogówka nie pokazała się przez ostatnich trzydzieści pięć lat, a kiedy dotarł do głównej drogi, spostrzegł, że obawy co do gołoledzi były nieuzasadnione. Za to mocno się rozpadało; włączył wycieraczki i po raz pięćdziesiąty tej jesieni przeklął własne lenistwo, z powodu którego ich nie wymienił.

Jutro, pomyślał. Jutro pierwsze, co zrobię, to podjadę na stację. To szaleństwo jeździć, nie mając dobrej widoczności...

Później nigdy nie potrafił rozstrzygnąć, czy pierwsze było wrażenie wzrokowe, czy słuchowe. Miękki, głuchy odgłos i lekkie szarpnięcie kierownicą było tym, co najwyraźniej utkwilo mu w pamięci. I powracało w snach. Nie od razu dotarło do niego, że to, co w ułamku sekundy przekoziółkowało na skraju jego pola widzenia po prawej stronie, miało związek ze wstrząsem i tą drobną wibracją, która przeszła przez jego ręce. A w każdym razie nie na płaszczyźnie świadomości.

Dopóki nie zaczął hamować.

Dopóki - po pięciu czy sześciu sekundach, które upłynęły, zanim udało mu się zatrzymać samochód - nie zaczął biec z powrotem po mokrej jezdni.

Biegając, myślał o swojej matce. Jak kiedyś, gdy chorował - musiało to być w pierwszych latach szkoły - siedziała przy nim, trzymając chłodną dłoń na jego czole, a on wymiotował, ciągle wymiotował: żółtozieloną żółcią do czerwonego plastikowego wiaderka. Piekielnie bolało, a ta dłoń była taka chłodna i przyjemna. Zastanawiał się, dlaczego, na Boga, przypomniało mu się to właśnie teraz. Było to wspomnienie sprzed ponad trzydziestu lat, lecz nigdy wcześniej nie pojawiło się w jego pamięci. Matka nie żyła od ponad dziesięciu lat,

więc niewątpliwie było zagadką, dlaczego pomyślał o niej akurat teraz, i o tym, jak...

Zobaczył go, kiedy niemal go minął, i wiedział, że nie żyje, zanim się zatrzymał.

Chłopak w ciemnej budrysówce. Leżał na samym dnie rowu; dziwacznie wykręcony plecami do cementowej rury, a twarzą wprost ku niemu. Jakby wpatrywał się w niego i próbował nawiązać jakiś kontakt. Jakby chciał mu coś powiedzieć. Twarz częściowo przesłaniał naciągnięty kaptur, ale prawa połowka - która, na co wszystko wskazywało, uderzyła prosto w cement - była odsłonięta jak... jak anatomiczne obscena.

Nie ruszał się, walcząc z odruchami wymiotnymi. Takimi samymi, dokładnie takimi samymi jak trzydzieści lat temu, bez wątpienia. Przejechały dwa samochody, po jednym w każdą stronę, ale najwyraźniej nikt nie zwrócił na niego uwagi. Spostrzegł, że zaczął się trząść, wziął dwa głębokie oddechy i zszedł do rowu. Zamknął oczy i otworzył je po kilku sekundach. Pochyliwszy się, ostrożnie poszukał pulsu, zarówno na przegubach rąk, jak i na zakrwawionej szyi.

Pulsu nie było. Boże, pomyślał, czując nadciągającą panikę. Boże, Boże, muszę... muszę... muszę...

Nie wiedział, co musi. Ostrożnie wsunął ręce pod spód, ugiął kolana i podniósł chłopaka. Strzyknęło w kręgach lędźwiowych; ciało było trochę cięższe, niż się spodziewał, może z powodu przemoczonego ubrania. O ile w ogóle czegokolwiek się spodziewał. Dlaczego miałby to robić? Nieco kłopotu sprawiał plecak. Plecak i głowa, które z uporem opadały w tył w całkowicie niedorzeczny sposób. Odnotował, że krew skapywała z ust wprost do kaptura i że chłopak nie mógł mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Piętnaście, szesnaście lat... mniej więcej tyle, co syn Greubnera. Widać to było mimo obrażeń po jeszcze nie do końca ukształtowanych rysach... przypuszczalnie całkiem przystojny chłopak, bez wątpienia będzie atrakcyjnym mężczyzną.

Byłby.

Przez dobrą chwilę stał w rowie ze zwłokami na rękach, myśli tłukły mu się po głowie. Rów miał nie więcej niż metr, ale brzeg był stromy, a wskutek deszczu śliski i zdradliwy; wątpił, by znalazł stabilne oparcie dla nóg. Kiedy tak stał, nie przejeżdżały żadne samochody, ale w oddali słyhać było zbliżający się motorower. Albo lekki motocykl, pomyślał. Kiedy go mijał, usłyszał, że to skuter; na moment oślepił go reflektor. Przypuszczalnie - tak przynajmniej mu się wydawało, kiedy później wracał do tego myślami - przypuszczalnie właśnie ta sekunda oślepiającej jasności spowodowała, że znowu zaczął funkcjonować.

Funkcjonować i myśleć racjonalnie.

Ostrożnie położył ciało z powrotem koło rury. Rozważał, czy nie wytrzeć umazanych krwią rąk o mokrą trawę, ale nie wytarł. Wyszedł z rowu i pośpiesznie wrócił do samochodu.

Odnotował, że odruchowo musiał zgasić silnik, ale zostawił zapalone światła. Odnotował, że deszcz siecze niczym jakiś rozszalały żywioł. Odnotował, że jest mu zimno.

Usiadł za kierownicą i zamknął drzwi. Zapiął pasy i ruszył. Widoczność była teraz nieco lepsza, jakby deszcz przemył szyby także od środka.

Nic się nie wydarzyło, pomyślał. Nic.

Poczuł pierwsze objawy zbliżającego się bólu głowy, ale wtedy znowu pojawiło się wspomnienie chłodnych dłoni matki i naraz był całkowicie pewien, że w buteleczce z eukaliptusem została resztką płynu.

## 2

Obudził się i najpierw odczuł niesłychaną ulgę.

Trwała trzy sekundy, potem zrozumiał, że nie był to zły sen.

Że to była rzeczywistość.

Ulewny deszcz, nagle lekkie szarpnięcie kierownicą, śliski rów – wszystko było rzeczywiste. Ciężar chłopca na jego rękach i krew kapiąca do kaptura.

Przez dwadzieścia minut leżał w łóżku jak sparaliżowany. Jedynie od czasu do czasu przechodziły go dreszcze. Zaczynały się od stóp, przebiegały przez ciało ku górze, żeby eksplodować palącymi białymi błyskawicami w głowie; za każdym razem miał wrażenie, że jakaś witalna część jego mózgu i świadomości ulega zniszczeniu. Zamarza albo wypala się i nigdy nie da się jej ożywić i przywrócić do działania.

Lobotomia, pomyślał. Jestem poddawany lobotomii.

Kiedy uporczywie czerwone cyfry radiobudzika dotarły do 7.45, podniósł słuchawkę i zadzwonił do pracy. Głosem tak słabym jak lód po nocnych przymrozkach, ale jednak słyszalnym, wyjaśnił, że złapała go grypa i musi przez kilka dni zostać w domu.

Grypa, tak.

Tak, pechowo, ale jest jak jest.

Tak, gdyby coś się działo, proszę dzwonić.

Nie, niech położy się do łóżka. Niech weźmie jakieś proszki i pilnuje, żeby dużo pić.

Tak. Tak. Nie.

Wstał pół godziny później. Podeszedł do okna w kuchni i wyjrzał na ponurą przedmiejską ulicę, z której deszcz chwilowo się wycofał, ustępując miejsca ciężkiej, rannej szarówce. Kiedy tam stał, powoli, stopniowo wracała myśl, którą, jak pamiętał, miał w głowie również wczorajszego wieczoru - i później, przez rozpaczliwe bezsenne godziny, zanim w końcu udało mu się zapaść w sen.

Nic się nie wydarzyło. Nic.

Poszedł do kuchni. W spizarni znajdowała się nieotwarta butelka whisky. Glenalmond, z letniego wyjazdu. Odkręcił zakrętkę i pociągnął dwa głębokie łyki. Nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej tak pił whisky. Prosto z butelki. Nie, nigdy.

Usiadł przy stole i z głową w dłoniach czekał, aż alkohol rozejdzie się po ciele.

Nic się nie wydarzyło, pomyślał.

Potem nastawił kawę i zaczął analizować sytuację.

W porannych gazetach nic nie było. Ani linijki w „Telegraafie”, który prenumerował, czy w „Neuwe Blatt”, po który poszedł do kiosku. Na kilka chwil zdołał niemal sobie wmówić, że jednak wszystko mu się przyśniło, ale jak tylko przypomniał sobie rów, ulewę i krew, wiedział, że się ludzi. To było rzeczywiste. Tak rzeczywiste jak whisky na stole. Jak okruszki wokół tosterka. Jak jego własne ręce, które bezsilnie, mechanicznie wertowały gazety, zrzuciły je na podłogę i z powrotem sięgnęły po butelkę.

Zabił chłopca.

Prowadził samochód po wpływie alkoholu i zabił piętnasto-, szesnastoletniego wyrostka. Stał tam w rowie, w deszczu, trzymając jego zwłoki na rękach, a potem go zostawił i wrócił do domu.

Stało się, co się stało. Nic się nie da zrobić. Nieodwołalnie.

Dopiero kilka minut przed dziesiątą włączył radio i wiadomości o dziesiątej przyniosły potwierdzenie.

Młody chłopak. Prawdopodobnie wracał do domu w Boorkehejm. Nazwisko na razie nieznane.

Ale dokładnie podane miejsce.

W nocy. Przypuszczalnie między jedenastą a pierwszą. Ciało znaleziono dopiero nad ranem.

Najprawdopodobniej zginął na miejscu.

Żadnych świadków.

Potrącony przez samochód, też raczej nie ma co do tego wątpliwości. Kierowca nie mógł nie zauważyć, co się stało. Wzywa się wszystkich, którzy w nocy przejeżdżali koło miejsca wypadku albo mogą mieć jakieś informacje. Policja prosi o kontakt wszystkich, którzy...

Miejsce zabezpieczono, podobnie jak część śladów, deszcz utrudnił czynności... Poszukuje się kierowcy, który zbiegł z miejsca wypadku... Ponowne wezwanie do wszystkich, którzy...

Zgasił radio. Przelknął jeszcze dwa łyki whisky i wrócił do

łóżka. Leżał tam przez dobrą chwilę w chaosie myśli, ale kiedy po raz drugi wstał tego szarego czwartkowego poranka, wykrystalizowały się trzy.

Trzy ważne myśli. Precyzyjne wnioski, z których nie miał zamiaru się wycofać. Nie odstąpi od nich bez względu na to, co się wydarzy. Po prostu się zdecydował.

Po pierwsze: chłopak zginął, a on był winien jego śmierci.

Po drugie: jakkolwiek by postąpił, nie był w stanie wrócić chłopakowi życia.

Po trzecie: dobrowolne zgłoszenie się nic nie przyniesie.

Nic.

Przeciwnie, pomyślał odnośnie do tego trzeciego punktu. Dlaczego w zamian za jedno zniszczone życie niszczyć drugie? Jego własne.

Kiedy przeprowadził to rozumowanie, wiedział, że jest na właściwej drodze. Wreszcie poznawał samego siebie. Wreszcie. Trzeba tylko być silnym. Nie dać się złamać.

Tylko tyle.

Po południu postępował praktycznie.

Umył samochód w garażu, cały, na zewnątrz i w środku. Mimo dokładnych oględzin przodu i prawego błotnika nie mógł znaleźć żadnych uszkodzeń ani śladów; założył, że musiał uderzyć chłopca dość nisko, na wysokości kolan, pewnie zderzakiem, może nawet niezbyt mocno. Wyglądało na to - kiedy ponownie próbował odtworzyć scenę w mokrym rowie - że fatalne skutki wypadku były raczej wynikiem tego, że chłopak uderzył głową w cementową rurę, niż kolizji na jezdni. Co w jakiś osobliwy, nienaturalny sposób nieco zmniejszyło jego wyrzuty sumienia. Tak to przynajmniej odczuwał. Tak to chciał odczuwać.

W środku, na siedzeniu kierowcy, znajdowała się jedna niepokojąca rzecz: ciemniejsza owalna plama, mniej więcej wielkości jajka, na samym skraju beżowego obicia, po prawej stronie. Miał powód zakładać, że to krew, i poświęcił pół godziny, próbując ją wytrzeć. Na próżno, plama nie zeszła,

najwyraźniej krew wsiąkła głęboko w materiał, zdecydował więc, że w najbliższym czasie kupi nowy komplet frotowych pokrowców. Nie od razu... za jakiś tydzień, kiedy sprawa trochę przycichnie.

Było więcej śladów krwi chłopca, zarówno na kierownicy, jak i na dźwigni skrzyni biegów, ale usunięcie ich nie nastąpiło żadnych trudności. Zebrał starannie rzeczy, które miał na sobie poprzedniego wieczoru, i spalił w kominku, zadymiając nieco duży pokój. Kiedy skończył, na chwilę ogarnęła go panika na myśl, że ktoś o nie zapyta. Uspokoił się jednak dość szybko; było oczywiście niedorzecznością, że ktoś wpadnie na jego ślad czy zażąda wyjaśnienia czegoś tak banalnego. Para zwykłych mancze-sterowych spodni? Stara marynarka i niebieskoszara bawełniana koszula? Mógł się ich pozbyć na tysiąc niebudzących podejrzeń sposobów: wyrzucić, podarować organizacji charytatywnej, cokolwiek.

Jednak przede wszystkim: nikt nie wpadnie na jego ślad.

Późnym popołudniem, kiedy zmierzchało i zaczął siąpić deszcz, poszedł do kościoła. Do starej bazyliki Vroon położonej o dwadzieścia minut na piechotę od jego domu. Siedział przez pół godziny w jednej z bocznych kaplic ze złożonymi rękami, próbując otworzyć się na głosy z własnego wnętrza - lub skądś wyżej - ale nic nie zdołał przywołać ani nic się nie pojawiło, co budziłoby jego niepokój.

Kiedy wyszedł z pustego kościoła, uświadomił sobie, jak ważne było, że zdecydował się na tę wizytę; znalazł czas, by posiedzieć przed ołtarzem bez ukrytych zamiarów czy nadziei. Bez złudzeń i fałszywych motywów.

Uświadomił sobie, że był to rodzaj próby, którą pomyślnie przeszedł.

Dziwne, ale to uczucie było intensywne i jednoznaczne, kiedy wyszedł z mrocznej budowli. Coś na kształt katharsis. Po drodze do domu kupił dwie popołudniówki; obie zamieściły zdjęcie chłopca na pierwszej stronie. To samo zdjęcie zresztą, tylko w innym powiększeniu; radośnie uśmiechnięty chłopak z



dołkami na policzkach, o lekko skośnych oczach i ciemnych, zaczesanych do przodu włosach. Żadnego kaptura, żadnej krwi. Nie poznał go.

Kiedy wrócił do domu, mógł się dowiedzieć, że chłopak nazywał się Wim Felders, skończył szesnaście lat zaledwie kilka dni temu i był uczniem liceum Wegera.

Obie gazety wypełnione były szczegółami, danymi i spekulacjami, a dominujący pogląd na sprawę podsumowywał chyba nagłówek „Poosta” na trzeciej stronie:

**POMÓŻMY POLICJI UJAĆ ZBIEGŁEGO KIEROWCĘ!**

Pisano też o ewentualnych sankcjach, gdyby policji udało się wyśledzić sprawcę. Od dwóch do trzech lat więzienia wydawało się normą.

Dodał spożycie alkoholu - co z pewnością da się ustalić z pomocą bystrego personelu restauracji - i wyszło mu pięć, sześć. Przynajmniej. Prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości. Nie zachowanie należytej ostrożności w ruchu drogowym i nieumyślne spowodowanie śmierci. Ucieczka z miejsca wypadku.

Pięć, sześć lat za kratami. Czemu miałyby to służyć? - pomyślał. Kto miałby pożytek z takiego finału?

Wyrzucił gazety do śmieci i wyjął butelkę whisky.

### 3

Trzy noce z rzędu śnił mu się chłopiec, potem zniknął.

Podobnie jak z gazet. O Wimie Feldersie pisano w piątek, sobotę i niedzielę, ale kiedy zaczął się nowy tydzień, w poniedziałek, relacja ograniczyła się do notki, że policja nadal nie ma żadnego tropu. Nie zgłosił się ani jeden świadek, nie zabezpieczono żadnego technicznego materiału dowodowego - co też to sformułowanie miało oznaczać? Nieznany kierowca najechał na chłopca, zabijając go, po czym pod osłoną deszczu i ciemności uciekł z miejsca wypadku; to wiedziano od samego początku i tyle samo wiedziano po czterech dniach.

W poniedziałek wrócił też do pracy. Przyniosło mu to ulgę, jakby znalazł odskocznię do normalniejszej rzeczywistości. Na nowo życie toczyło się utartymi koleinami, znanymi, a zarazem dziwnie obcymi, i wielokrotnie w ciągu dnia przyłapywał się na tym, że zdumiony zastanawia się, jak w istocie cienka jest ta błona oddzielająca codzienność od okropności.

Jak cienka i jak niesłychanie łatwo ją zerwać. Tę błonę.

Po pracy pojechał do supermarketu w Löhr i kupił nowe pokrowce na fotele do samochodu. Od razu znalazł odcień niemal identyczny z dotychczasowym kolorem, a kiedy wieczorem w garażu naciągnął elastyczny materiał na siedzenia, co sprawiło mu pewną trudność, poczuł, że w końcu znalazł się w bezpiecznej przystani. Ostatnia luka została zlikwidowana. Luka w niczym. Doszedł do ostatniego punktu tej strategii bezpieczeństwa, którą po dojrzałym namyśle nakreślił. Podjął wszelkie działania, zatarł wszystkie ślady i lekko zdziwiony uświadomił sobie, że od wypadku nie minął nawet tydzień.

I nie było żadnych niepokojących oznak. Nie pojawiło się nic, co mogłoby wskazywać, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za tych kilka nieszczęsnych sekund w czwartek wieczorem. Tych przerażających i coraz bardziej nierzeczywistych sekund, które szybko odlatywały coraz głębiej w mrok przeszłości.

Uda mu się. Głęboko odetchnął, wiedział, że mu się uda.

Podawano wprawdzie - w paru gazetach i programach telewizyjnych, które w miarę możliwości śledził - że policja ma jakieś punkty zaczepienia, ale zorientował się, że były to puste słowa i frazesy. Nieudolna próba stworzenia pozorów, że zna się więcej faktów, niż rzeczywiście ma to miejsce. Jak zwykle.

Nigdzie ani słowem nie wspomniano o czerwonym audi, które stało zaparkowane na poboczu w pobliżu miejsca wypadku z zapalonymi światłami. Tego właśnie najbardziej się obawiał; może nie, że ktoś dostrzegł kolor czy markę - ani tym bardziej numer rejestracyjny - ale że ktoś zwrócił uwagę na stojący tam pojazd. Przejechały przecież dwa samochody, kiedy zszedł do

rowu... a może kiedy jeszcze stał na jezdni? Nie potrafił sobie przypomnieć. W każdym razie dwa samochody i skuter, to pamiętał dokładnie. Wykalkulował sobie, że kierowca nadjeżdżający z przeciwnej strony - z Boorkhejm albo z Linzhuisen - w gruncie rzeczy mógł wziąć jego audi za jadące z naprzeciwka, ale dwaj pozostali, ci raczej musieli zwrócić uwagę na samochód stojący na poboczu z zapalonymi światłami.

Czy też było to coś takiego, co umykało z pamięci? Drobinę wspomnień, które zatrzymywało się zaledwie na kilka sekund czy pół minuty, a później traciło na zawsze? Trudno powiedzieć, trudno rozstrzygnąć, ale bez wątpienia to pytanie nie pozwalało mu zasnąć w nocy. Ci domniemani, utajeni świadkowie.

W czwartek - po kilku dniach ciszy w mediach i tydzień po wypadku - z apelem wystąpiła rodzina chłopca: matka, ojciec i młodsza siostra. Przemawiali w telewizji i radiu, a ich zdjęcie pojawiło się w kilku gazetach; chcieli, by sprawca posłuchał własnego sumienia i się zgłosił.

Przyznał się i poniósł karę.

To zagranie, co wydawało się dość oczywiste, było kolejną poszlaką, że policja drepcze w miejscu i nie ma nic, za czym mogłaby pójść. Żadnych wskazówek, żadnych śladów. Kiedy zobaczył matkę chłopca - zaskakująco opanowaną ciemnowłosą kobietę w wieku czterdziestu pięciu lat - siedzącą na kanapie przed telewizorem i w ten sposób zwracającą się wprost do niego, ogarnął go najpierw gwałtowny strach, ale jak tylko zniknęła z ekranu, natychmiast odzyskał równowagę. Czuł i rozumiał, że mógł wprawdzie czasami ulegać takim atakom, ale zawsze miał dość siły, żeby im się nie poddać. Żeby pokonać słabość. Byleby tylko nie stracił głowy.

Dobrze było wiedzieć, że to miał, że był w posiadaniu tego, co najważniejsze. Siły.

Jednak chciałby z nią porozmawiać.

Dlaczego? - chciałby zapytać.

Co to da, że zamkną mnie w więzieniu na pięć lat?

Zabiłem pani syna, żałuję z całego serca, ale to był wypadek, co uzyska się przez to, że się zgłoszę?

Zastanawiał się, co by odpowiedziała. Czy rzeczywiście miałyby mu coś do zarzucenia? To był wypadek, a wypadki nie mają sprawców. W ogóle żadnych aktorów, tylko czynniki i obiekty poza wszelką kontrolą.

Później wieczorem chodziła mu po głowie myśl, żeby wysłać rodzinie anonimowy list. Albo po prostu zadzwonić i przedstawić swój punkt widzenia, ale uświadomił sobie, że byłoby to zbyt ryzykowne i porzucił wszystkie takie pomysły.

Zrezygnował również z próby posłania wieńca na pogrzeb Wima Feldersa, który odbył się w zatłoczonym Kościele Keymer- skim w sobotę, dziesięć dni po wypadku.

Z tego samego powodu. Ryzyko.

Poza rodziną i przyjaciółmi na ceremonię przybyli licznie uczniowie i nauczyciele z liceum Wegera, a także przedstawiciele różnych organizacji zajmujących się ofiarami wypadków samochodowych. Przeczytał o tym obszerną relację w niedzielnym „Neuwe Blatt”, ale też była to ostatnia wielka erupcja wiadomości w tej sprawie.

Ku swojemu zdumieniu w poniedziałek spostrzegł, że czuje pustkę.

Jakby coś stracił.

Jak wtedy, kiedy straciłem Marianne, pomyślał nieco później z tym samym zdumieniem; było to dziwne porównanie, ale do czegoś musiał się odnieść. Do czegoś ważnego w swoim życiu. Przez dziesięć dni to przerażające zdarzenie zdominowało całą jego egzystencję. Wciskało się we wszystkie pory i w każdy zakątek jego świadomości. Nawet jeśli dość szybko zapanował nad paniką, to cały czas była obecna. Tam, pod spodem, gotowa, by się ujawnić. Niemal w każdej sekundzie krążył myślami wokół tej piekielnej jazdy, wokół tego miękkiego, głuchego odgłosu i szarpnięcia kierownicą; wokół deszczu, martwego ciała chłopca i śliskiego rowu... w dzień i w nocy, a

kiedy w końcu pojawiły się chwile, w których o tym nie myślał, czuł, że czegoś mu brakuje.

Pewną pustkę.

Jak po jedenastu latach bezdzietnego małżeństwa... tak, tu były punkty wspólne.

Muszę być bardzo samotnym człowiekiem, uderzyło go w tych dniach. Odkąd Marianne mnie zostawiła, nikt właściwie nie dla mnie nie znaczył. Nikt. Poddaję się zdarzeniom, ale nie działam. Egzystuję, ale nie można powiedzieć, że żyję.

Dlaczego nie znalazłem sobie nowej kobiety? Dlaczego nawet nie zadałem sobie tego pytania? A teraz nagle jestem kimś innym.

Kim? Kim jestem?

W sumie było dziwne, że takie myśli mogły pojawić się w wyniku śmiertelnego potrącenia chłopca, ale coś zabraniało mu dalej to rozgrzebywać. Uznawszy, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, postanowił zadziałać i nim się spostrzegł - nim dał sobie czas na zastanowienie i zrezygnowanie - zaprosił do siebie na kolację kobietę. Natknął się na nią w stołówce, usiadła po prostu przy tym samym stole co on, jak zwykle było mało wolnych miejsc. Nie wiedział, czy już kiedyś ją widział. Pewnie nie.

Ale zgodziła się.

Nazywała się Vera Miller. Miała wesołe usposobienie, rude włosy i w nocy z soboty na niedzielę - ponad trzy tygodnie po tym, jak pierwszy raz w swoim życiu zabił człowieka - kochał się z kobietą pierwszy raz od blisko czterech lat.

Następnego przedpołudnia kochali się ponownie, po czym opowiedziała, że jest mężatką. Porozmawiali o tym chwilę i zauważył, że porusza ją to znacznie bardziej niż jego.

W poniedziałek przyszedł list.

*Minęło trochę czasu, odkąd zamordował Pan chłopca. Można było oczekiwać, że Pańskie sumienie się obudzi, ale teraz widzę, że jest Pan słabym człowiekiem, który*

*nie ma odwagi ponieść konsekwencji swojego czynu.  
Jestem w posiadaniu jednoznacznych informacji,  
które zaprowadzą Pana do więzienia, jak tylko  
przekazę je policji. Moje milczenie będzie kosztowało  
dziesięć tysięcy guldenów, śmieszna suma dla  
człowieka o Pańskiej pozycji, ale mimo to dam Panu  
tydzień (dokładnie siedem dni) na jej zebranie. Proszę  
być przygotowanym.*

*Do usłyszenia.  
Przyjaciel*

Napisany odręcznie. Małymi, pochyłymi drukowanymi literami. Czarnym atramentem.

Przeczytał go pięć razy.

#### 4

- Czy coś cię gnębi? - zapytała Vera, kiedy zjedli kolację.

- Sprawiasz wrażenie przygaszonego.

-Nie.

- Na pewno?

- To nic. Tylko trochę kiepsko się czuję - wyjaśnił. - Pewnie mam niewielką gorączkę.

- Nie chodzi o mnie? To znaczy o nas?

Obracała kieliszek w palcach, patrząc na niego poważnym wzrokiem.

- Nie, ależ skąd...

Próbował się zaśmiać, ale sam usłyszał, że zabrzmiało to sztucznie. Dopił więc wino.

- Dla mnie zaczęło się bardzo dobrze, to między nami - powiedziała. - Chciałabym, żeby był też drugi i trzeci rozdział.

- Oczywiście. Przepraszam, jestem trochę zmęczony, ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Mam takie same odczucia jak ty... przysięgam.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po rękę.

- Wspaniale. Niemal już zapomniałam, że w łóżku może być tak cudownie. Niewiarygodne, że na cztery lata wypadłeś z obiegu. Jak to się stało?

- Czekałem na ciebie - odparł. - Pójdziemy się położyć?

Kiedy wyszła od niego w niedzielę, prawie natychmiast zaczął za nią tęsknić. Kochali się do samego rana i było dokładnie tak, jak powiedziała: niewiarygodne, że mogło to być aż tak intensywne doznanie. Wrócił do łóżka i wwiercił głowę w poduszkę. Wciągnął głęboko nosem zapach Very i próbował ponownie zasnąć, ale bez skutku. Pustka była nazbyt duża. Czy nie było to cholernie dziwne?

Największa różnica na świecie, pomyślał. Między kobietą, która jeszcze leży w łóżku, a tą, która właśnie sobie poszła. Kochaną kobietą. Nową kobietą?

Po jakimś czasie poddał się. Wyszedł po gazetę, zjadł śniadanie i ponownie sięgnął po list.

Było to oczywiście zbędne. Znał go na pamięć. Każde sformułowanie, każde słowo, każdą literę. Mimo to przeczytał go jeszcze dwa razy. Przesuwał po nim palcami, sprawdzał jakość papieru. Bez wątplenia wysoka; papier listowy i koperta z tym samym wzorem. Gruby, tłoczony papier, domyślał się, że kupiony w jednej z księgarni w centrum, które sprzedawały go na sztuki.

Kolor też wyszukany. Bładoniebieski. Znaczek z motywem sportowym, dyskobolka szykująca się do rzutu. Prawidłowo naklejony co do milimetra w prawym górnym rogu. Jego nazwisko i adres napisane tymi samymi drukowanymi, lekko pochyłymi literami, co sam list. Nazwa miejscowości podkreślona.

I to wszystko, co dało się o nim powiedzieć. Czyli nic. Albo prawie nic. Nawet płeć nadawcy nie była możliwa do ustalenia. Chyba skłaniał się ku mężczyźnie, ale tylko zgadywał. Równie dobrze mogła to być kobieta.

Dziesięć tysięcy? - pomyślał po raz setny od poniedziałkowego wieczoru. Dlaczego tylko dziesięć tysięcy?

Z pewnością to znaczna suma pieniędzy, ale - jak nadawca sam słusznie zauważył - żądanie nie było wygórowane. Na koncie miał ponad dwa razy tyle, posiadał dom i inny majątek wart dziesięć razy więcej. Szantażysta użył ponadto sformułowania „człowiek o Pańskiej pozycji”, co świadczyło, że znał jego status i sytuację materialną.

Dlaczego więc zadowalał się dziesięcioma tysiącami? Może nie „śmieszna suma”, ale rzeczywiście było to niewiele. Nader umiarkowana cena, wzięwszy pod uwagę, o co chodziło.

Nadawca przypuszczalnie też był w miarę wykształcony. Równy, staranny charakter pisma, żadnych błędów językowych, precyzyjne sformułowania. Bez najmniejszych wątpliwości powinien (musiał?) być świadom, że mógłby uzyskać więcej. Że żądał niskiej ceny za swoje milczenie.

Do tego wniosku wracał wielokrotnie. Później dziwił się, jak łatwo przyszło mu analizować tę sprawę w stosunkowo racjonalny sposób. List spadł na niego jak bomba, ale gdy tylko oswoił się z tym faktem i go zaakceptował, skupił się na logicznych i zasadnych pytaniach.

Przez cały tydzień i teraz, w niedzielne popołudnie.

Dlaczego więc tylko dziesięć tysięcy?

Co to oznaczało? Czy była to dopiero pierwsza rata?

I kto? K t o go zobaczył i dostrzegł szansę zarobienia na jego nieszczęściu? I nieszczęściu chłopca.

Skuterzysta lub jeden z dwójki kierowców, którzy go minęli, kiedy z martwym ciałem na rękach stał w rowie? Albo na jezdni.

Czy mógł to być ktoś inny? Nie sądził.

W każdym razie musiał zdradzić go samochód, jego czerwone audi, szybko przyjął to za pewnik. Ktoś zwrócił uwagę na dziwnie zaparkowane auto na drodze, zapamiętał numer rejestracyjny i w Wydziale Komunikacji ustalił jego personalia. Był przekonany, że to odbyło się w ten sposób. Coraz bardziej przekonany, szybko więc przestał brać pod uwagę inne możliwości - aż uderzyła go przerażająca myśl.



Co, jeśli chłopiec miał tamtego wieczoru towarzystwo? Mogło być na przykład tak, że dwoje młodych ludzi szło poboczem, ale tylko Wim Felders zabił się o cementową rurę.

Trochę dalej... kilka metrów za rurą leżała może zamroczona jego dziewczyna... nie, nie jego dziewczyna, ta była u siebie w domu, wiedział to z gazety... raczej kolega albo przypadkowy znajomy... który leżał tam nieprzytomny, ukryty w mroku. Albo zszokowany i śmiertelnie przerażony widokiem martwego chłopca oraz mężczyzny trzymającego go na rękach, podczas gdy krew kapłała do kaptura...

Był to oczywiście przerażający scenariusz i nawet kiedy powoli zdołał przekonać samego siebie, iż niezbyt prawdopodobny, dość uporczywie wracał do niego myślami. Próbował czysto rozumowo odrzucić ten makabryczny wariant - tę nieprawdopodobną możliwość - gdyż był on nieistotny. Nie miało żadnego znaczenia, kto go zaobserwował podczas wypadku ani jak ten ktoś się dowiedział, co się wydarzyło. Inne kwestie wymagały uwagi i skupienia.

I decyzji.

Czy mógł mieć pewność, że na tym się skończy?

Na dziesięciu tysiącach guldenów. Że zapłaci raz i później nie będzie musiał się więcej tym martwić?

W tym tkwił szkopuł. Jaką gwarancję zamierzał dać mu nadawca listu, że po zainkasowaniu pieniędzy nie zgłosi się po więcej za miesiąc czy rok?

Albo że po prostu nie pójdzie na policję i mimo wszystko go nie zadenuncjuje?

Czy dostałby taką gwarancję? I jak miałyby ona wyglądać?

Czy też - i oczywiście to pytanie było najistotniejsze - nie powinien uznać, że zabmął w sytuację bez wyjścia? Czy nie powinien uświadomić sobie, że przegrał i nadeszła pora, by sam zadzwonił na policję?

Czy nie powinien się poddać?

Jeszcze w niedzielę wieczorem nie odpowiedział ostatecznie na żadne z tych pytań. To, że już w piątek wstąpił do Spaarkasse i

wypłacił ze swojego rachunku jedenaście tysięcy, nie oznaczało podjęcia decyzji.

Jedynie znak, że na razie zostawił wszystkie drzwi otwarte.

W głowie miał też rozmowę, którą odbyli w sobotę.

-A twój mąż? - zapytał, kiedy wracali do samochodu po spacerze na plaży. - Powiedziałas mu?

- Nie - odrzekła, rozpuszczając włosy dotąd schowane pod włóczkową czapkę. Żeby mieć czas do namysłu, przeczesała je palcami i potrząsnęła nimi w geście, który uznał za przesadny.

- Nie wiedziałam, na ile poważnie będzie między nami... to znaczy na początku. Teraz wiem. Ale jeszcze nie miałam okazji z nim porozmawiać. To wymaga czasu i sposobności.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- Że chcesz się z nim rozwieść?

-Tak.

- Dlaczego nie macie dzieci?

- Bo ja nie chciałam mieć dzieci.

- Z twoim mężem czy w ogóle?

Zrobiła nieokreślony ruch głową. Zrozumiał, że nie chce

O tym mówić. Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na wzburzone morze.

- Jesteśmy małżeństwem zaledwie od trzech lat. To od samego początku była pomyłka. Idiotyczna pomyłka.

Skinął głową.

- Gdzie on pracuje?

- Jest bezrobotny. Pracował w Zindersie, ale zamknęli zakład.

- Przykre.

- Nigdy nie twierdziłam, że to szczególnie zabawne.

Zaśmiała się. Objął ją ramieniem i przytulił.

- Nie jest tak, że ogarnęły cię wątpliwości?

- Nie. Nie chcę z nim żyć, wiedziałam to cały czas.

- Dlaczego za niego wyszłaś?

- Nie wiem.

- Wyjdź za mnie.

Wymknęło mu się, zanim zdążył się powstrzymać, ale od razu uświadomił sobie, że powiedział to szczerze.

- Wow - odpowiedziała i zaśmiała się. - Spędziliśmy razem dwie noce i wreszcie pytasz, czy za ciebie wyjdę. Może jednak najpierw pojedziemy do ciebie coś zjeść, tak jak planowaliśmy?

Zastanowił się.

- Niech pomyślę. Tak, chyba masz rację, jestem głodny jak wilk.

Przez resztę wieczoru nie powtórzył swoich oświadczeń, ale też ich nie wycofał. Podobało mu się, że są jakby zawieszane w powietrzu i nie trzeba się do nich odnosić ani ich komentować. Jak struna pomiędzy nimi, której nie musieli trącać, ale która bez wątpienia się tam znajdowała i łączyła ich w parę. Miał wrażenie, że Vera nie ma nic przeciwko temu. Że odczuwa mniej więcej tak samo.

Rodzaj tajemnicy. Przymierza.

A kiedy później się kochali, było tak, jakby pili ze studni miłości.

Niepojęte, do pewnego stopnia było to niepojęte.

Jak życie mogło tak bez ostrzeżenia zostać rzucone na zupełnie nowe tory? Tory, na których wszystkie przyzwyczajenia, cały rozsądek i doświadczenie stanęły na głowie? Jak to było możliwe?

I to w ciągu zaledwie kilku tygodni. Najpierw ten potworny czwartkowy wieczór, potem Vera i miłość. Nie rozumiał tego. Czy dało się to zrozumieć?

Większość niedzielnego wieczoru przeleżał na kanapie przy zapalanej tylko świecy, mając wrażenie, że miota się między skrajnościami. Między poczuciem chwiejnego, pokrętnego i fragmentarycznego postrzegania rzeczywistości a bardzo spokojnym i racjonalnym rozpatrywaniem własnej sytuacji. Rozsądek i odczucia, ale bez połączeń, bez synaps.

Powoli doszedł do przekonania, że nie była to kwestia rzucenia na nowe tory, mimo wszystko. Istniała tylko jedna

rzeczywistość i ta cały czas trwała; jego emocjonalny stosunek do niej i próby jej kontrolowania były całkowicie w porządku, zmieniał się wyłącznie punkt widzenia. Perspektywa.

Awers i rewers monety, pomyślał. Jak przełącznik. To zwyczajne i to niepojęte. Życie i śmierć? Ta cienka błona pomiędzy nimi.

Dziwne.

Po radiowych wiadomościach o jedenastej ponownie wziął list. Przeczytał go po raz kolejny, potem usiadł przy biurku. Siedział w ciemności przez dobrą chwilę, pozwalając myślom swobodnie biec, i szybko, bardzo szybko zaczął dostrzegać jeszcze jedną możliwość działania, tam gdzie wcześniej widział tylko dwie.

Trzecie rozwiązanie. Pociągało go. Długo siedział, próbując rozważyć jego wady i zalety.

Jeszcze było jednak za wcześnie na wybór. Zdecydowanie za wcześnie. Dopóki nie dostał dalszych instrukcji od „przyjaciela”, nie pozostawało mu nic innego jak czekać.

Czekać na poniedziałkową pocztę.

## 5

Był dwadzieścia minut przed czasem. Czekając w samochodzie na pustawym parkingu, ponownie czytał instrukcje. Nie dlatego, że musiał, czytał je przez cały dzień, ale żeby skrócić sobie oczekiwanie.

*Pieniądze:* Banknoty stu- i pięćdziesięcioguldenowe, zapakowane w podwójne woreczki, całość w reklamówce centrum handlowego Boodwick.

*Miejsce:* Trattoria Commedia koło pola golfowego w Dikken.

*Czas:* Wtorek, punktualnie godzina 18.

*Sposób postępowania:* Zająć miejsce przy barze. Zamówić piwo, wypić kilka łyków, po około pięciu minutach pójść do toalety. Wziąć ze sobą reklamówkę z pieniędzmi i zostawić w koszu na śmieci zasłoniętą papierowymi ręcznikami. Jeżeli w

toaletcie będą inni goście, zaczekać, aż wyjdą. Wyjść z toalety, pójść prosto na parking i odjechać.

To było wszystko.

Ten sam papier co poprzednim razem. Ten sam charakter pisma, zapewne ten sam długopis.

Ten sam podpis: *Przyjaciel*.

Żadnych gróźb. Żadnych komentarzy na temat jego słabości.

Tylko niezbędne instrukcje. Nie mogło być prościej.

Za dwie szósta podkręcił boczną szybę i wysiadł z samochodu. Zaparkował jak najdalej od restauracji, przy samym wyjeździe. Szybkim krokiem, ale bez pośpiechu, przeszedł pięćdziesiąt metrów po smaganym wiatrem żwirowym placyku, kierując się do restauracji. Niskiego budynku w kształcie litery „L” z fasadą z ciemnego nadmorskiego kamienia. Okna Gaudiego z czarnymi stalowymi wzmocnieniami. Pchnął drzwi z tworzywa imitującego palisander i wszedł do środka.

Stwierdził, że wewnątrz mimo braku ludzi robiło zachęcające wrażenie. Nigdy wcześniej tu nie był; zakładał, że to lokal przede wszystkim dla golfistów, a przy tej paskudnej jesiennej pogodzie nie było raczej mowy o szczycie sezonu. Bar znajdował się zaraz po lewej, siedziała przy nim samotna kobieta około czterdziestki paląca papierosa w towarzystwie popołudniówki i zielonego drinka. Podniosła wzrok, kiedy wszedł, ale uznała, że gazeta jest ciekawsza.

Zanim usiadł, rzucił okiem w głąb lokalu. Część niknęła za załomem muru, natomiast w zasięgu jego wzroku większość stolików była wolna. Tylko jakiś mężczyzna siedział pochylony nad zapiekanką makaronową. Na kominku płonął ogień; ciemny brąz, czerwień i zieleń dominowały w wystroju, a z ukrytych głośników dobywała się nieokreślona sonata fortepianowa. Postawił reklamówkę pod nogami i zamówił piwo u barmana, młodego mężczyzny z kitką i kolczykiem w uchu.

- Wieje? - zapytał barman.

- Ostro - odparł. - Pusto dzisiaj macie.

- Jak pan widzi.

Piwo dostał w wysokim kobiecym kielichu. Zapłacił, wypił połowę i zapytał o toaletę. Barman wskazał w stronę kominka. Podziękował i poszedł, wzięwszy reklamówkę.

W pomieszczeniu pachniało lasem piniowym i było uderzająco pusto. I czysto. Kosz na śmieci między umywalkami był zapełniony zużytymi ręcznikami papierowymi ledwie w jednej trzeciej. Włożył pod spód reklamówkę Boodwicka i przykrył nowymi ręcznikami, które wyciągnął pojedynczo z podajnika i lekko zmiął. Wszystko zgodnie z instrukcją. Cała procedura zajęła dziesięć sekund. Zatrzymał się jeszcze przez dziesięć, przyglądając się z łagodnym zdziwieniem swojemu odbiciu w lekko porysowanym lustrze nad umywalką. Potem wyszedł. Skinął barmanowi, przechodząc koło baru, i wrócił do samochodu. W powietrzu dawało się wyczuć zimne żelazo.

Gładko idzie, pomyślał, siedząc z powrotem za kierownicą. Cholernie gładko.

Potem otworzył schowek i wyjął rurkę.

Czekał dokładnie sześć i pół minuty.

Mężczyzna, który wyszedł z restauracji, wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat. Był wysoki i chudy; reklamówkę niósł w prawej ręce, w lewej zaś trzymał kluczyki, którymi beztrąsko wymachiwał. Całkiem wyraźnie zmierzał w stronę starego peugeota, zaparkowanego około dwudziestu metrów od jego audi. Jeden z pięciu pojazdów na ogromnym parkingu.

Zdążył poczynić refleksję nad amatorszczyzną szantażysty, zanim ten otworzył drzwi samochodu. To, że odczekał tak krótko, a potem po prostu wyszedł z reklamówką na widoku, świadczyło chyba o dość kiepskim rozeznaniu? Zrozumiał, że mimo wszystko nie miał do czynienia ze zbyt mocnym przeciwnikiem - i co ważniejsze: że przeciwnik zdecydowanie nie docenił jego kalibru.

Był przy nim w chwili, gdy ten miał włożyć kluczyk do zamka w drzwiach.

- Przepraszam - powiedział. - Wydaje mi się, że coś pan zgubił.

Stuloną lewą dłoń trzymał pół metra od twarzy mężczyzny.

- Co takiego?

Rzucił szybkie spojrzenie na parking i okolice. Mrok gęstniał z każdą sekundą. Nikogo w zasięgu wzroku. Z całej siły uderzył mężczyznę rurką w głowę. Trafił w skroń nad lewym uchem. Uderzony bezgłośnie upadł na ziemię. Płasko na brzuch z rękami pod sobą. Wziął zamach nad karkiem i uderzył jeszcze raz z tym samym zdecydowaniem. Usłyszał krótki chrzęst i wiedział, że mężczyzna nie żyje. Jeśli nie był martwy już po pierwszym uderzeniu. Rana na głowie obficie krwawiła. Ostrożnie zabrał zabitemu reklamówkę i kluczyki, wyprostował się i rozejrzał.

Nadal ani żywej duszy. Ciemno i pusto. Po kilku sekundach namysłu złapał mężczyznę za nogi i zaciągnął w bujne krzaki okalające parking. Na żwirze pozostał szeroki ślad, ale uznał, że deszcz go zmyje. Cofnął się o parę kroków i stwierdził, że z odległości kilku metrów nic nie widać. W każdym razie jeśli patrzący nie wiedział, czego szukać. Albo że w ogóle jest coś do szukania. Skinął zadowolony głową i wrócił do swojego samochodu. Nie zaszkodzi oczywiście, jeśli dopiero za kilka dni ktoś natknie się na zwłoki. Przypuszczalnie im później, tym lepiej. Zawinął rurkę w gazetę i włożył do reklamówki z pieniędzmi. Zapalił silnik i odjechał.

Gęstych czarnych włosów, brody i okularów o niebieskawych szklach nie zdjął aż do tej nieszczęsnej cementowej rury przy głównej drodze prowadzącej do Boorkhejm. Kiedy pół godziny później we własnej kuchni nalał sobie glenalmonda na dwa palce do zwykłej szklanki, skierował dziękczynną myśl ku tabletkom sobronu - tym słabo połyskującym niebieskim cudeńkom, które utrzymywały jego psychikę na stabilnym poziomie przez całe to popołudnie. I przez poprzednie dni. Nie było niczym złym mieć pewien wgląd we własną psychę i jej zapotrzebowanie na psychotropy, pomyślał. Absolutnie niczym złym. Wypił whisky.

Potem wziął długą, odprężającą kąpiel.

Potem zadzwonił do Very.

## II

### 6

Ciało znalazł niejaki Andreas Fische.

Nastąpiło to w czwartek po południu. Fische odwiedził swoją siostrę na Windemeerstraat w Dikken (diabeł wcielony, nie siostra, ale co rodzina, to rodzina, a poza tym udało jej się wyjść za nader majątnego adwokata) i kiedy wracając na skróty przez parking przy Trattorii Commedia, przystanął, bo musiał się wysikać, odkrył, że coś leży w krzakach.

Fische wysikał się do końca i rozejrzał wokół. Potem ostrożnie odsunął kilka kolczastych gałązek i zjrzał w krzaki. Leżał tam człowiek. Martwy człowiek. Zwłoki.

Fische widywał już wcześniej zwłoki. Nie raz i nie dwa w swoim burzliwym życiu i kiedy zwalczył pierwszy impuls, żeby wziąć nogi za pas, dowodzenie przejęło jego lepsze - bardziej praktycznie nastawione - ja. Sprawdził, że w pępym zmierzchu na parkingu nie widać żadnych ludzi. Następnie delikatnie odsunął dalsze zarośla, uważając, żeby nie stanąć tam nogami i nie zostawić śladów w miękkiej ziemi - bo właśnie nie była to dla niego pierwszyna - i przyjrzał się dokładniej umarłakowi.

Dość młody i dość wysoki mężczyzna. Leżał na brzuchu z rękami wyciągniętymi nad głowę. Ciemnozielona kurtka i zwykle niebieskie dzinsy. Część twarzy zwróconą ku górze pokrywały ciemne zaschnięte smugi i Fische odgadł, że ktoś zakończył jego życie, czymś twardym i ciężkim rozbijając mu głowę. Po prostu. Takie rzeczy również widział, chociaż minęło już parę lat.

Po raz kolejny upewniwszy się, że w pobliżu nie ma ludzi, schylił się i obszukał zmarłemu kieszenie.

Nie zajęło mu to więcej niż kilka sekund, a rezultat był nader skromny. Stwierdził to, kiedy zostawił ciało dwieście metrów



za sobą. Zniszczony portfel bez kart kredytowych i z ledwie czterdziestoma guldenami w banknotach. Garść drobnych. Prawie pusta paczka papierosów i zapalniczka. Cztery klucze na breloku reklamowym firmy farmaceutycznej. Nic więcej. Wszystko poza pieniędzmi wyrzucił do kosza na śmieci, szybko oszacował swoją sytuację finansową i stwierdził, że mimo wszystko ma trochę grosza przy duszy. Doliczając stówkę, którą wyciągnął od siostry, spokojnie mógł sobie pozwolić na wieczór w knajpie i z odczuciem umiarkowanej satysfakcji wszedł do dwunastki jadącej do centrum. Oczywiście bez biletu. Andreas Fische nie skasował biletu od trzydziestu lat.

Klejne Hans po północnej stronie Maar należał do jego ulubionych lokali. To tutaj najczęściej spędzał te wieczory, kiedy stać go było na knajpę, i to tutaj skierował swoje kroki w ten deszczowy listopadowy czwartek. W środku było jeszcze dość pusto, dochodziła dopiero szósta, i przez jakiś czas siedział przy ławie sam z piwem i jałowcówką. Pił tak oszczędnie, jak się dało, palił papierosy umarlaka i rozważał, czy jednak nie byłoby dobrze od razu powiadomić policji. Są obowiązki i obowiązki, jak się kiedyś mawiało. Potem pojawili się trzej czy czterej kumple i Fische, jak to miał w zwyczaju, odłożył sprawę na później. Głupio być nadgorliwym, pomyślał. Nie Bóg wymyślił pośpiech, a facet na pewno nie zmartwychwstanie.

I kiedy Fische około pierwszej zwałił się na swoje zapadnięte łóżko w hotelu robotniczym przy Armastenstraat, to i owo zaprzętało wprawdzie jego myśli, ale nie jakieś zwłoki przy odludnym parkingu w Dikken czy natrętne głosy resztek jego sumienia.

Następnego dnia, w piątek, padało i ogólnie było ponuro. Andreas Fische większość czasu przeleżał w łóżku, czując się nieco chory i oklapły, tak że dopiero w sobotę przed południem zadzwonił na policję - z bezpłatnego aparatu na Dworcu Centralnym - pytając, czy chcą dostać cynk.

Chcieć chcieli, ale żeby wybił sobie z głowy, że coś za to dostanie, nie mają zamiaru zapłacić złamanego grosza.

Fische pośpiesznie przeanalizował szanse na negocjacje. Potem jego obywatelska postawa wzięła górę i całkiem darmo ujawnił, że w Dikken jest do zabrania trup. Na parkingu niedaleko pola golfowego przy restauracji, jak też ona się tam nazywa.

Zamordowany, jeśli się nie myli.

Kiedy policjant zaczął pytać o jego nazwisko, adres i wszystko, co możliwe, Fische już odłożył słuchawkę.

- Jak długo? - zapytał komisarz Reinhart.

- Trudno rzec - odparł Meusse. - Jeszcze nic pewnego nie mogę powiedzieć.

- Spróbuj - poprosił Reinhart.

- Hm. - Meusse rzucił okiem na ciało leżące na dużym marmurowym stole. - Trzy, cztery dni.

Reinhart szybko obliczył.

- Czyli wtorek albo środa?

- Wtorek - powiedział Meusse. - Jeśli już chcesz oddawać się czystym spekulacjom.

- Wygląda dość kiepsko - zauważył Reinhart.

- Nie żyje - wyjaśnił Meusse. - Padało.

- Tak, tak.

- Chociaż podkomisarz nie wychodzi pewnie na dwór?

- Jeśli nie muszę - potwierdził Reinhart. - I tylko dwa uderzenia?

- Wystarczy jedno. - Meusse przeciągnął ręką po swej łysej czaszce. - Jeśli się wie, gdzie celować.

- A sprawca wiedział?

- Może. W to miejsce celuje się raczej instynktownie. Skośnie nad ciemieniem ku skroni. Ciekawsze jest... to drugie... w kark. Trochę bardziej profesjonalne. Gruchocze kręgi szyjne. Można w ten sposób zabić konia.

- Rozumiem - powiedział Reinhart.

Meusse odszedł do umywalki w kącie i umył ręce. Reinhart został przy stole, przypatrując się zmarłemu. Mężczyzna najprawdopodobniej około trzydziestki. Może trochę młodszy.

Dość chudy i dość wysoki; metr osiemdziesiąt sześć, jak poinformował Meusse. Ubranie leżało na drugim stole, najzwyczajsze w świecie: niebieskie dżinsy, zielona półdługa wiatrówka, cienki, mocno wytarty wełniany sweter, kiedyś - i miejscami nadal - jasnoszary. Brązowe proste półbuty.

Żadnych dokumentów. Portfela, kluczy, w ogóle żadnych rzeczy osobistych. Ktoś splądrował mu kieszenie, to było jasne jak słońce.

Ktoś zabił go tępym uderzeniem w głowę i w kark, to było nie mniej jasne.

Aha, pomyślał Reinhart. Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia. Meusse odchrząknęła i Reinhart domyślił się, że pora zostawić go w spokoju. Zanim wyszedł, po raz ostatni rzucił okiem na twarz zabitego.

Pociągła. Nieco zniszczona, o szerokich ustach i topornych rysach. Długie włosy zaczesane za uszy i zebrane w kucyk na karku. Ciemny zarost i niewielka blizna pod lewym okiem. Było w nim coś znajomego.

Już cię kiedyś widziałem, pomyślał Reinhart.

Potem wyszedł z Zakładu Medycyny Sądowej i wrócił do komendy.

Inspektor kryminalny Ewa Moreno włożyła zdjęcia z powrotem do teczki i pchnęła ją przez stół do Reinharta.

- Pudło - powiedziała. - Nie ma go na liście. Mamy zresztą tylko trzy zgłoszone zaginięcia w ostatnim tygodniu. Kobieta z demencjąz domu starców w Löhr i piętnastoletni chłopiec, który uciekł z domu.

Rooth przestał żuć herbatnik.

- Trzy - zauważył. - Powiedziałaś „trzy”.

- Tak - potwierdziła Moreno. - Ale ten trzeci to waż. Myślę, że jego też możemy wykluczyć.

- Wąż? - zapytał Jung.

- Zielona mamba - sprecyzowała Moreno. - Podobno zniknęła z mieszkania przy Kellnerstraat w nocy z poniedziałku na wtorek. Według właściciela, śmiertelnie niebezpieczna. Ale

miła. Może zabić człowieka w dwie sekundy, wabi się Betsy.

- Betsy? Miałem kiedyś dziewczynę o imieniu Betsy - powiedział Rooth. - Nie była miła, ale też zniknęła...

- Dziękuję za informacje - przerwał Reinhart i postukał fajką w stół. - Myślę, że wystarczy. Tropikalny wąż nie pociągnie chyba długo przy tej pogodzie. Natomiast można by sądzić, że ktoś niedługo powinien zacząć szukać naszego zabitego młodzieńca. Jeśli Meusse się nie myli...

- Meusse nigdy się nie myli - wtrącił Rooth.

- Nie wpadaj mi w słowo. Jeśli Meusse się nie myli, leżał on w tych krzakach od wtorku, większość ludzi nie czeka dłużej niż dzień, dwa i dzwoni na policję... mówię o najbliższych.

- Jeśli ma jakichś najbliższych - zauważyła Moreno.

- Samotny staruszek może leżeć martwy i przez pół roku

- powiedział Jung.

- Takie czasy - westchnął Reinhart. - Zresztą równie dobrze może to być staruszka. Czytałem o kobiecie w Gösslingen, która dostawała emeryturę przez dwa i pół roku po swojej śmierci. Leżała w piwnicy, a pieniądze wpływały jej na konto... Brr, w cudownym świecie żyjemy. Jung, co powiedzieli w tej restauracji?

Jung otworzył notes.

- Jeszcze nie rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy tam pracują- wyjaśnił. - Nikt nie rozpoznał go na zdjęciach, ale jutro po południu mamy spotkać się z dwójką, która pracowała we wtorek. Jeśli wtedy to się wydarzyło, nie jest wykluczone, że go zidentyfikują. .. albo przynajmniej powiedzą, czy był u nich coś zjeść.

- Coś jeszcze? - zapytał Reinhart, zapalając fajkę.

- Tak, samochód - powiedział Jung. - Najwyraźniej od wtorku lub środy stał tam zaparkowany stary peugeot. Sprawdziliśmy, że należy do niejakiego Elmera Kodowsky'ego. Niestety, nie zastaliśmy go. Dozorca poinformował nas, że podobno pracuje na platformie wiertniczej gdzieś na Morzu Północnym...

- Pięknie - skonstatował Reinhart. - O tej porze roku jest tam

pewnie ładna pogoda. Ktoś na ochotnika?

- .. ale dał do zrozumienia, że może znajdować się dużo bliżej - dokończył Jung. - W każdym razie to nie Kodowsky leżał w krzakach.

- Że co? - zdziwił się Rooth. - Mów jaśniej.

- W więzieniu - wyjaśnił Jung. - Kodowsky, z tego, co powiedział dozorca, nie jest wzorem obywatela, więc całkiem możliwe, że platforma wiertnicza to tylko eufemizm, a w rzeczywistości siedzi gdzieś pod kluczem. Podobno nie byłby to pierwszy raz.

- No, to brzmi już lepiej - uznał Reinhart. - Sprawdź zakłady... albo niech to zrobi Krause. Z tym że jeśli ten Kodowsky siedzi, raczej miałyby trudności z pojechaniem i zaparkowaniem samochodu w Dikken.

- Przepustka - powiedział Jung. - Mógł go również pożyczyć.. . albo mu ukradziono.

- Niewykluczone - przyznał Reinhart, wydmuchując chmurę dymu. - Chociaż jeśli ten peugeot jest stary, ryzyko kradzieży jest niewielkie. Złodzieje samochodów są w dzisiejszych czasach wybredni. Nie, obawiam się, że w obecnej chwili wiele więcej nie wymyślimy. Czy też jeszcze ktoś ma coś na sercu?

Nikt nie miał. Był kwadrans po piątej w sobotę i istniały lepsze pory na jałowe rozmowy i spekulacje.

- Spotkamy się więc jutro przed południem na parę godzin

- przypomniał Reinhart. - Jeśli nie coś innego, to będziemy mieli gotowe odciski palców. Ale nie spodziewajmy się, że jakieś nadadzą się do wykorzystania. Na trochę więcej od Meussego i z laboratorium możemy w każdym razie chyba liczyć. Poza tym...

Wyjął ponownie zdjęcia z żółtej teczki i przyglądał im się przez kilka sekund.

- .. czy nikt z was nie ma wrażenia, że go poznaje?

Jung i Rooth popatrzyli na zdjęcia i pokręcili głowami. Moreno na chwilę zmarszczyła czoło, potem westchnęła, wzruszając ramionami.

- Może - orzekła. - Może jest w nim coś znajomego, ale nie wiem co.

- No cóż, miejmy nadzieję, że się dowiemy - powiedział Reinhart. - Identyfikacja ofiary to duży krok naprzód. Dotyczy wszystkich rodzajów śledztw. Życzę kolegom udanego sobotniego wieczoru.

- Dziękuję, nawzajem - powiedziała Moreno.

- Ja będę miał normalny - oświadczył Rooth.

- Da się koleżanka zaprosić na piwo? - zapytał Rooth kwadrans później. - Obiecuję trzymać ręce przy sobie i się nie oświadczać.

Ewa Moreno uśmiechnęła się. Wyszli właśnie z komendy główną bramą i owionął ich lodowaty wiatr.

- Brzmi kusząco, ale mam randkę z moją wanną i kiepską powieścią, obawiam się, że się nie wymówię.

- *No hard feelings* - zapewnił Rooth. - Też mi się całkiem dobrze układa z moją wanną. Jest równie kiepska w tangu jak ja, więc przypuszczam, że w końcu będziemy razem. Człowiek powinien doceniać to, co ma.

- Mądre słowa - przytaknęła Moreno. - Jedzie mój autobus.

Pomachała ręką na pożegnanie i pobiegła przez parking. Rooth spojrział na zegarek. W zasadzie mógłbym wrócić i przespać się w gabinecie, pomyślał. Na cholerę przemieszczać się po dworze o tej porze roku? Czysty idiotyzm.

Mimo to ruszył w stronę placu Grotę do tramwaju, zastanawiając się, kiedy właściwie po raz ostatni umył porządnie wannę.

Doszedł do wniosku, że nie było to wczoraj.

Telefon zadzwonił o siódmej piętnaście w niedzielę rano, a odebrał go aspirant Krause. Zdziwił się najpierw, że zadzwoniła na policję o tej porze - zwłaszcza że natychmiast zaczął się domyślać, o co chodzi, i że musiała zwlekać z tym

przynajmniej cztery dni - ale poznał po głosie, że nie przespała zbyt wielu godzin. Przypuszczalnie w ogóle się nie kładła. Może więc nie było to takie dziwne.

- Nazywam się Marlene Frey - przedstawiła się. - Mieszkam na Ockfener Plejn i chciałabym zgłosić zaginięcie.

- Już notuję - powiedział Krause.

- To było we wtorek wieczorem - wyjaśniła Marlene Frey.

- Miał tylko pojechać załatwić jedną sprawę. Obiecał, że później wróci do domu, ale od tego czasu się nie odezwał, a naprawdę nie ma w zwyczaju... to do niego niepodobne...

- Chwileczkę - przerwał Krause. - Gdyby pani była uprzejma powiedzieć, o kogo chodzi. Nazwisko i wygląd... jak był ubrany i tym podobne.

Zrobiła krótką przerwę, jakby zbierała się w sobie. Usłyszał ciężkie, przepełnione strachem westchnienie.

- Oczywiście, przepraszam. Jestem trochę zmęczona, nie zmrużyłam oka... chyba od kilku nocy.

- Rozumiem - powiedział aspirant Krause, po czym otrzymał wszystkie żądane informacje. Zajęło to nie więcej niż dwie minuty, ale po skończonej rozmowie Krause pięciokrotnie dłuższy czas przesiedział przy biurku, wpatrując się w dane, które zapisał na kartce, i próbując uporządkować myśli.

Kiedy stwierdził, że mu się to nie uda, ponownie podniósł słuchawkę i wybrał numer do komisarza Reinharta.

Synn na chwilę zasłoniła słuchawkę ręką, nim podała ją Münsterowi. Powiedziała bezgłośnie nazwisko, ale nie zrozumiał. Podniósł się do pozycji pólsidejacej i wziął słuchawkę.

- Münster.

- Reinhart. Co u ciebie?

- Dziękuję, dobrze. Dawno się nie słyszeliśmy.

- Leżysz jeszcze w łóżku?

- Jest niedziela - przypomniał Münster. - I nie ma jeszcze nawet dziewiętej. Co cię gnębi?

- Stało się coś nieprzyjemnego. Potrzebuję twojej pomocy.

Münster zastanowił się przez dwie sekundy.

-Aż tak wam brakuje ludzi? - zapytał. - Ja nadal jestem zajęty tym śledztwem, zapomniałeś? Wrócę najwcześniej w lutym.

- Wiem.

- To o co chodzi?

Na krótką chwilę w słuchawce zapadła cisza. Potem komisarz Reinhart odchrząknął i wyjaśnił w czym rzecz.

- Cholera - powiedział Münster. - Będę gotowy za kwadrans. Jasne, że przyjadę.

- Zróbmy najpierw rundkę po mieście - zaproponował Reinhart. - Potrzebuję trochę czasu.

- Ja też - przyznał Münster. - Jak to się stało?

- Silne uderzenie w głowę. Raczej umyślne zabójstwo.

- Kiedy?

- Przypuszczalnie we wtorek.

- We wtorek? Dzisiaj jest niedziela.

- Znaleźliśmy go dopiero wczoraj. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Wydawał mi się znajomy, ale widziałem go tylko raz czy dwa razy w życiu... no a dzisiaj rano zadzwoniła ta kobieta i zgłosiła zaginięcie. Była już, żeby go zidentyfikować. Niestety, nie ma najmniejszych wątpliwości.

Münster siedział przez chwilę w milczeniu, przypatrując się pracy wycieraczek.

Szlag by to trafił, pomyślał. Dlaczego coś takiego musiało się zdarzyć? Jaki to ma sens?

Wiedział, że na te pytania nie ma odpowiedzi, ale to, że ciągle się pojawiały, może jednak o czymś świadczyło. O czymś związanym z nadzieją i pozytywnym myśleniem. O odmowie kapitulacji przed siłami ciemności? Może w ten sposób należało interpretować to wieczne „dlaczego”?

- Często się z nim widywałeś w ostatnim czasie? - zapytał Reinhart, kiedy znaleźli się po drugiej stronie rzeki i dojeżdżali do wieżowców w Leimaar.

Münster wzruszył ramionami.

- Często jak często. Wychodzimy na piwo tak raz w miesiącu.



- W badmintona już nie gracie?
- Dwa razy do roku.
- Reinhart ciężko westchnął.
- I jak mu się układa?
- Chyba nie tak źle. Do dzisiaj. Jest nawet z jakąś kobietą.
- Reinhart skinął głową.
- Jestem ci wdzięczny, że mnie wspomagasz.
- Münster nie odpowiedział.
- Cholernie wdzięczny. Nie wiem, czy sam dałbym radę.
- Münster wziął głęboki oddech.
- Jedź już do niego. Nie ma sensu dłużej tego odkładać.
- Dzwoniłeś, żeby sprawdzić, czy jest w domu?
- Reinhart pokręcił przecząco głową.
- Nie. Ale jest w domu, czuję to. Nie unikniemy tego.
- Nie unikniemy. Ani my, ani on.
- W okolicach Klagenburga nie było gdzie zaparkować. Po kilku okrążeniach kwartału Reinhart znalazł wolne miejsce na rogu Morgenstraat i Ruyder Allé i musieli przejść dwieście metrów w deszczu, nim dotarli i zadzwonili do bramy numer cztery.
- Z początku nie dostrzegli wewnątrz żadnej reakcji, ale po ponownym, bezlitosnym dzwonku usłyszeli, że ktoś schodzi po schodach. Zanim drzwi się otworzyły, Münster poczuł - mimo wilgoci - całkowitą suchość w ustach i nagle zwątpił, czy będzie w stanie wydobyć z siebie choćby jedno słowo. Drzwi uchyliły się.
- Dzień dobry - powiedział Reinhart. - Możemy wejść?
- Van Veeteren miał na sobie coś granatowo-czerwonego, co mogło być - w dawnych czasach - szlafrokiem, i coś brązowego, co z pewnością było parą rannych pantofli. Nie wyglądał na świeżo obudzonego, pod pachą trzymał złożoną gazetę.
- Reinhart?! - wykrzyknął zdziwiony i otworzył drzwi na oścież.
- 1 Münster? Co za licho was przyniosło?
- Tak - zdołał wykrztusić Münster. - Tak można powiedzieć.
- Wejdźcie - zaprosił Van Veeteren, machając gazetą. - Cholerny deszcz. O co chodzi?

- Usiądźmy najpierw - powiedział Reinhart.

Weszli po schodach. Zostali wprowadzeni do dużego pokoju i usiedli na sfatygowanych fotelach. Van Veeteren stał. Münster ugryzł się w policzek i zebrał na odwagę.

- Twój syn. Erich. Przykro mi, ale Reinhart twierdzi, że został zabity.

Później uświadomił sobie, że mówiąc te słowa, zamknął oczy.

## 8

Kiedy Jung i Rooth zaparkowali przed Trattorią Commedia około drugiej w niedzielę, deszcz chwilowo ustał. Dwóch techników pod nadzorem inspektora le Houdego nadal zajmowało się porzuconym peugeotem; czerwono-białe taśmy odgradzały zarówno samochód, jak i miejsce znalezienia zwłok dziesięć metrów dalej.

Oraz wąski korytarz między nimi. Rooth przystanął i podrapał się po głowie.

- Jak myślisz, co znajdą w samochodzie?

- Nie mam pojęcia - odparł Jung. - Kumpel z pierdla pożyczył mu go parę miesięcy temu. Może jest w jakiś sposób zamieszany.

- Elmer Kodowski raczej nie wałnął go w głowę - sprzeciwił się Rooth. - Nie był na przepustce od ośmiu tygodni, trudno O lepsze alibi.

- Może. Wejdziemy zaatakować barmana czy długo jeszcze chcesz tu stać i się iskać?

-Właśnie skończyłem. Cholera, nie lubię tego. Nie lubię, jak przestępcy się rozzuchwalają i dopadają naszych. Taki ktoś jak W powinien być nietykalny.

- Wiem - zgodził się Jung. - Nie mówmy o tym. Wchodzimy do środka, robimy po prostu swoją robotę, a potem jedziemy na kawę.

- *All right.* Jestem za.

Barman nazywał się Alois Kummer i nie wyglądał na szczęś-

liwego.

Był młody, opalony i wysportowany, więc Jung nie do końca rozumiał powód. Usiedli przy całkiem pustym barze, gdzie mogli swobodnie rozmawiać, dopóki nie pojawią się jacyś goście. Tak w każdym razie uważali Jung i Rooth. Kummer najwyraźniej też, bo nie zgłosił obiekcji.

- Pracował pan we wtorek wieczorem? - rozpoczął Jung.

- Tylko do dziewiątej - odpowiedział Kummer.

- Skoncentrujmy się na tym czasie - powiedział Rooth.

- Mieliście dużo ludzi?

Kummer pokazał zęby. Wyglądały na mocne i zdrowe, a w tym momencie układały się chyba w ironiczny uśmiech.

- Ile? - zapytał Jung.

- Może tuzin. Góra. Podać coś?

Jung pokręcił głową. Rooth rozłożył zdjęcia na kontuarze.

- Ten człowiek? - zapytał. - Był wtedy tutaj? Proszę nie odpowiadać, dopóki nie będzie pan pewien.

Barman studiował zdjęcia przez dziesięć sekund, pociągając za koleczyk.

- Myślę, że tak.

- Myśli pan? Jest pan filozofem?

Dobre. Tak, był tutaj. Siedział przy stoliku tam, w głębi, zamówił coś dojedzenia, nie zwracałem na niego większej uwagi.

- O której był? - zapytał Jung.

- Między piątą a szóstą, mniej więcej... tak, wyszedł kwadrans po szóstej, tuż zanim przyszła Helene.

- Helene?

- Dziewczyna pracująca w kuchni.

- Coś was łączy? - zainteresował się Rooth.

- A co to, do cholery, ma wspólnego z waszą sprawą? - zirytował się Kummer.

- Nigdy nie wiadomo. Życie jest kłębkim dziwacznych powiązań.

Jung zakaszłał, żeby zmienić temat.

- Był sam czy w towarzystwie?

- Sam - odparł Kummer bez chwili wahania.
- Cały czas? - zapytał Rooth.
- Cały czas.
- Ile osób wtedy jadło? Między piątą a szóstą?

Kummer zastanowił się.

- Niedużo. Może cztery, pięć.
- Nie wygląda to na szczyt sezonu.
- Chciałby pan grać w golfa w taką pogodę?
- W golfa? To takie toczenie jajek po trawniku? - upewnił się Rooth.

Kummer nie odpowiedział, ale tatuaż na jego przedramieniu się poruszył.

- Nie usiadł przy barze? - Jung starał się wrócić do tematu.
- Na drinka?

Mężczyzna pokręcił głową.

- A dużo ludzi siedziało przy barze?
- Może dwoje, troje... nie pamiętam. Niektórzy siadali tylko na kilka minut. Jak zwykle.
- A kiedy ten gość wyszedł, ten, co jadł samotnie... nie zwrócił pan uwagi, czy ktoś za nim nie poszedł? Krótco potem?
- Nie. Jak miałbym zapamiętać coś takiego?
- Nie mam pojęcia. Ale tak się składa, że ktoś rozbił mu głowę na parking, zapewne kilka minut po tym, jak stąd wyszedł, więc byłoby dobrze, gdyby spróbował pan sobie przypomnieć.
- Staram się - zapewnił Kummer.

- Wspaniale - powiedział Rooth. - Nie chcemy wymagać od pana niemożliwego. Czy coś z tego wieczoru utkwiło panu w pamięci. .. coś nietypowego? Albo godnego uwagi?

Kummer ponownie się zastanowił.

- Nie sądzę. Nie, było jak zwykle, tylko... bardzo spokojnie.
- Czy ten człowiek bywał tu wcześniej? - Jung postukał długopisem w fotografię.
- Nie. W każdym razie nie na mojej zmianie.
- Wydaje się pan mieć dobrą pamięć do twarzy.
- Tak, zwykle zapamiętuję ludzi, których widziałem.

- Od jak dawna pan tu pracuje?

- Od trzech miesięcy.

Rooth wypatrzył miseczkę z orzeszkami stojącą kawalek dalej na barze. Zsunął się ze stołka, podszedł i wziął pełną garść. Barman patrzył na niego, marszcząc sceptycznie czoło. Jung odchrząknął.

- Ten samochód na parkingu. Peugeot... stał tam od wtorku?

- Tak mówią. Zwróciłem na to uwagę dopiero dzisiaj.

- Ma pan lepszą pamięć do twarzy niż do samochodów?

- Właśnie.

- Jaka była pogoda we wtorek wieczorem?

Kummer wzruszył ramionami.

- Szarówka, jak przypuszczam. I wiało. Ale, jak może za-  
uważyliście, bar nie znajduje się na zewnątrz.

- Co pan powie. - Rooth wziął resztę orzeszków.

- Jak pan tu dojeżdża? - zapytał Jung. - Też korzysta pan z  
parkingu? Bo chyba nie mieszka pan w Dikken?

Kummer pokręcił głową i znowu pokazał zęby.

- Zazwyczaj tramwajem. Czasami zabieram się z Helene albo z  
kimś innym. Ale nikt z pracowników nie korzysta z tego  
parkingu. Mają parking z drugiej strony.

-A ilu jest tych pracowników? - zainteresował się Rooth.

- Ze dwunastu. Ale nie więcej niż trzy, cztery osoby naraz. Jak  
ustaliliśmy, o tej porze roku jest poza sezonem.

- Tak ustaliliśmy. - Rooth rozejrzał się po pustym lokalu.

- Czyli nie wie pan, kto jest mordercą?

Kummer wzdrygnął się.

- Co, do cholery? Jasne, że nie wiem. To chyba nie nasza wina,  
że komuś przytrafiło się coś takiego akurat na naszym par-  
kingu?

- Oczywiście, że nie - przyznał Rooth - No nic, na dzisiaj chyba  
panu dziękujemy. Może jeszcze się pojawimy.

- Po co? - zapytał Kummer.

- Bo w ten sposób pracujemy - powiedział Jung.

- Bo lubimy orzeszki - dodał Rooth.

Moreno i Reinhart udali się na Ockfener Plejn w niedzielę wieczorem. Plac znajdował się zaledwie kilka ulic od komendy policji i mimo wiatru i zacinającego deszczu poszli na piechotę.

- Muszę przewietrzyć czaszkę - wyjaśnił Reinhart. - Może też dobrze mi zrobi, jeśli zewnętrzny i wewnętrzny pejzaż będą ze sobą w zgodzie.

- Jak to przyjął? - zapytała Moreno.

Reinhart, zanim odpowiedział, szedł przez chwilę w milczeniu.

- Nie wiem. Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. Na pewno nie zrobił się rozmowniejszy. Münsterowi naprawdę trudno to przyszło. Cholerna sprawa.

- Był sam?

- Nie. Na szczęście była u niego ta jego nowa kobieta.

- Na szczęście - przytaknęła Moreno. - Dobra jest dla niego?

- Myślę, że tak.

Dotarli na stary rynek i odszukali właściwy budynek. W szeregu ciasnych domów o wysokich, wąskich ścianach szczytowych; dość zaniedbany, fasada brudna od sadzy, okienne ramy w złym stanie. Do drzwi wejściowych prowadziły schodki, Moreno nacisnęła przycisk obok tabliczki z ręcznie wypisanym nazwiskiem.

Pół minuty później po kolejnym dzwonku Marlene Frey przyszła otworzyć. Twarz miała lekko opuchniętą, a oczy były jakieś trzy razy bardziej czerwone od płaczu niż przed południem, kiedy Moreno przesłuchiwała ją w swoim pokoju w komendzie. A jednak dostrzegąło się w tej drobnej kobiecie jakąś siłę woli i hart.

Moreno odnotowała też, że Marlene Frey się przebrała; wprawdzie zmieniała tylko dzinsy i włożyła żółty sweter zamiast czerwonego, ale może świadczyło to o tym, że już zaczęła akceptować fakty. Zrozumiała, że życie musi toczyć się dalej. Nie sprawiała również wrażenia, że zażyła środki uspokajające. Chociaż oczywiście trudno to było ocenić.

- Dobry wieczór - przywitała się Moreno. - Spała pani trochę?

Marlene Frey pokręciła przecząco głową.

Moreno przedstawiła Reinharta i weszli po wąskich schodach na trzecie piętro.

Dwa małe pokoje i ciasna, wyciębiona kuchnia stanowiły całość. Bordowe ściany i minimalna liczba mebli, głównie duże poduszki i kolorowe pufy do siedzenia lub leżenia. Kilka dużych roślin doniczkowych i parę plakatów. Przed piecem gazowym w większym pokoju stały dwa wiklinowe krzesła i niski stół. Marlene Frey usiadła na stołku i gestem zachęciła Moreno i Reinharta, żeby zajęli miejsce na krzesłach.

- Napiją się państwo czegoś?

Moreno pokręciła głową. Reinhart odchrząknął.

- Wiemy, że to dla pani potworne przeżycie. Jednak musimy zadać kilka pytań. Proszę powiedzieć, jeśli nie czuje się pani na siłach, to przełożymy to na jutro.

- Nie, wolę teraz.

- Jest pani sama? - zdziwiła się Moreno. - Nie przyszła żadna przyjaciółka?

- Przyjdzie później wieczorem. Poradzę sobie, proszę się O mnie nie martwić.

- Czyli tutaj razem mieszkaliście? - zapytał Reinhart, przysuwając się bliżej pieca. Najwyraźniej było to jedyne źródło ciepła w mieszkaniu i należało pilnować, by nie znajdować się odeń zbyt daleko.

-Tak. Mieszkamy tutaj. Mieszkaliśmy...

- Od jak dawna byliście razem? - zapytała Moreno.

- Dwa lata, z grubsza rzecz biorąc.

- Wie pani, kim jest jego ojciec? - spytał Reinhart. - Nie ma to oczywiście nic wspólnego ze sprawą, ale dla nas jest tym bardziej nieprzyjemne. Nawet jeśli...

- Wiem - przerwała Marlene Frey. - Nie utrzymywali ze sobą zbyt bliskich kontaktów.

- Zorientowaliśmy się. - Reinhart skinął głową. - Ale w ogóle kontakt mieli?

Marlene Frey zwlekała nieco z odpowiedzią.

- Nigdy mi go nie przedstawił, ale wydaje mi się... że ostatnio

było trochę lepiej.

Reinhart znowu skinął głową.

- Spotykali się? - zainteresowała się Moreno.

- Erich odwiedził go parę razy jesienią. Chociaż teraz to już bez znaczenia.

Głos jej zadrżał i szybko przeciągnęła otwartymi dłońmi po twarzy, jakby chciała to zneutralizować. Jej rude włosy wyglądały na farbowane i trochę przetłuszczone, stwierdziła Moreno, ale nie zauważyła żadnych widocznych oznak brania narkotyków.

- Gdybyśmy skupili się na wtorku - zaproponował Reinhart, wyciągając jednocześnie fajkę i tytoń, a Marlene skinęła przyzwalająco głową.

- Erich pojechał do tej restauracji w Dikken - powiedziała Moreno. - Ma pani jakieś pojęcie po co?

- Nie - odparła Marlene Frey. - Nie mam bladego pojęcia. Jak mówiłam rano.

- Pracował gdzieś? - zapytał Reinhart.

- Tu i ówdzie. Dorywczo jako stolarz, malarz i rzemieślnik... na budowach i takich tam. Obawiam się, że najczęściej na czarno, ale jest jak jest. Był złotą rączką.

- A pani? - drążyła Moreno.

- Chodzę na kurs dla bezrobotnych. Ekonomia, komputer i takie pierdoły, ale dostaje się zasiłek. Pracuję w kilku sklepach, kiedy potrzebują więcej personelu. Radzimy... radziliśmy sobie. Mówię o finansach. Erich dorabiał też w drukarni. U Stemmingera.

- Rozumiem - powiedział Reinhart. - Trochę miał na sumieniu, jeśli chodzi...

- A kto nie ma? - przerwała Marlene Frey. - Ale byliśmy na dobrej drodze, chcę, żebyście mieli co do tego jasność.

Przez chwilę wyglądało, jakby miała się rozplakać, ale wzięła głęboki oddech i tylko wytarła nos.

- Proszę opowiedzieć o ostatnim wtorku.

- Nie ma wiele do opowiadania. Przed południem miałam



kurs, po południu przez kilka godzin pracowałam w sklepie na Kellnerstraat. Z Erichem widziałam się tutaj między pierwszą a drugą, miał pomóc przy jakimś jachcie, a potem wieczorem załatwić jedną sprawę.

- Przy jachcie? Przy jakim jachcie?

- Przyjaciela. Chodziło chyba o wyposażenie.

Moreno poprosiła, żeby zapisała im nazwisko i adres, co Marlene Frey zrobiła, sprawdzivszy najpierw w notesie, który przyniosła z kuchni.

- A ta sprawa wieczorem? - dopytywał Reinhart, kiedy zostało to załatwione. - O co chodziło?

Marlene Frey wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Jakaś praca?

- Przypuszczalnie tak.

- Czy coś innego?

- Czyli co?

- No... nie praca, tylko...

Marlene Frey wzięła chusteczkę i ponownie wytarła nos. Oczy się jej zwężyły.

- Rozumiem. Doskonale rozumiem. Tylko ze względu na jego słynnego ojca jesteście tacy cholernie grzeczni. Normalnie traktowalibyście go jak zwykłego łobuza. A mnie jak zaćpaną dziwkę.

- No nie, teraz... - zaczęła mówić Moreno.

- Nie musicie udawać - ciągnęła Marlene. - Znam zasady. Erich miał niejedno na sumieniu, ale w ostatnich latach naprawdę z tym skończył. Żadne z nas już nic nie bierze i nie jesteśmy większymi przestępcami niż ktokolwiek inny. Ale chyba nie ma sensu przekonywać o tym gliniarzy?

Ani Moreno, ani Reinhart nie odpowiedzieli. Wybuch Marlene Frey zawisł przez chwilę w cieplej ciszy nad piecem. Rozproszył się, kiedy ulicą z piskiem przejechał tramwaj.

- W porządku - powiedział Reinhart. - Rozumiem, o co pani chodzi, i może ma pani rację. No, ale sytuacja jest jaka jest i

cholernie nieprzyjemnie, że dostajemy ochrzan za to, że akurat jak raz nie pomiatamy ludźmi... myślę, że to sobie wyjaśniliśmy i nie musimy do tego wracać. Możemy kontynuować?

Marlene Frey wahała się przez chwilę. Potem skinęła głową.

- Dikken? Co miał tam do roboty? Naprawdę nic pani nie wie?

- To mogło być cokolwiek. Pewnie węcycie za narkotykami, ale mogę przysiąc, że na pewno nie chodziło o narkotyki. Erich skończył z tym, zanim jeszcze się zeszliśmy.

Reinhart przyglądał się jej przez długą sekundę.

- Okej, wierzymy pani. Czy miał coś na tym zyskać? Mówię o jakimś zarobku... czy też chciał spotkać się na przykład z jakimś kolegą? Wyświadczyć komuś przysługę?

Marlene Frey zastanowiła się.

- Myślę, że chodziło o jakąś pracę.

- Nie powiedział, że jedzie do Dikken?

- Nie.

- Ani co ma tam do załatwienia?

- Nie.

- Nawet półsłówkiem?

-Nie.

- Nie pytała pani?

Marlene Frey pokręciła głową i westchnęła.

- Nie. Erich potrafił mieć siedem, osiem różnych prac w tygodniu, tylko czasami o nich rozmawialiśmy.

- Powiedział, o której wróci? - zapytała Moreno.

Marlene Frey ponownie się zastanowiła.

- Staralam się sobie przypomnieć, ale nie jestem pewna. Wydaje mi się, że miał być w domu o ósmej, dziewiątej, ale nie dam głowy, że faktycznie to powiedział. Cholera.

Zagryzła wargi i Moreno zobaczyła, że nagle jej oczy wypełniły się łzami.

- Proszę sobie popłakać. Naprawdę można jednocześnie płakać i mówić.

Marlene Frey od razu posłuchała tej rady. Moreno pochyliła się w przód i trochę niezgrabnie pogłaskała ją po ramieniu, podczas gdy Reinhart kręcił się na krześle. Manipulował fajką, zapalił ją.

- Jakies nazwiska? - zapytała Moreno, kiedy kobieta nieco się uspokoiła. - Nie wymienił żadnych nazwisk w związku z tym, co miał robić we wtorek wieczorem?

Marlene Frey pokręciła przecząco głową.

- Nie wie pani, czy był tam wcześniej? Czy częściej tam jeździł?

- Do Dikken? - Zaśmiała się. - Nie, to raczej nie nasze srodowisko, nie sądzicie?

Moreno uśmiechnęła się przelotnie.

- Nie obawiał się czegoś w ostatnim czasie? Nie wydarzyło się nic szczególnego, co mogłaby pani powiązać z tym wypadkiem?

Marlene Frey rękawem swetra otarła łzy, zastanawiając się.

- Nie. Nic mi nie przychodzi na myśl.

- Nie zawarł ostatnio nowych znajomości?

- Nie. Erich znał dość sporo ludzi... wszystkich kategorii, można powiedzieć.

- Rozumiem - przytaknął Reinhart. - Tego Elmera Kodowsky'ego na przykład... od którego pożyczył samochód?

- Na przykład - potwierdziła Marlene Frey.

- Mielście z nim kontakt w ostatnim czasie?

Pokręciła głową.

- Siedzi w więzieniu. Nie wiem gdzie. To dawny kolega Ericha. .. ja go nie znam. Widziałam go tylko parę razy.

- A pani sama nie czuła się w jakiś sposób zagrożona? - dociekała Moreno.

- Ja? - Marlene Frey wyglądała na szczerze zdziwioną. - Nie, skądże.

Na kilka chwil zapadło milczenie. Marlene Frey pochyliła się jeszcze bliżej pieca i rozcierała dłonie w unoszących się falach ciepła.

- Dość długo zwlekała pani z powiadomieniem policji - za-

uważył Reinhart.

- Wiem.

- Więc dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Może naturalny odruch? Jak pan myśli?

Reinhart nie odpowiedział.

- Miała pani jakiś kontakt z matką Ericha? - spytała Moreno.

- Nie. W ogóle żadnego. Ale chciałabym porozmawiać z jego ojcem, gdybyście się z nim spotkali. Mam mu jedną rzecz do powiedzenia.

- Aha? Jaką? - zaciekawił się Reinhart.

- To już powiem jemu.

Usiedli później na chwilę w Café Gambrinus i próbowali podsumować wrażenia.

- Jak dotąd niewiele - stwierdził Reinhart. - Co mówisz? Szlag by to trafił.

- Niewiele - zgodziła się Moreno. - Chociaż wygląda to niemal tak, jakby miał tam umówione spotkanie ze swoim mordercą. Nawet jeśli pewnie nie był świadom, jak to się skończy. Dziwne tylko, że siedział sam w restauracji i czekał. Jeśli możemy opierać się na ustaleniach Junga i Rootha... oznaczałoby to przecież, że ta osoba nie przysłała, jak było umówione.

- Możliwe. Ale nie zapominajmy, że wszystko mogło się odbyć znacznie prościej.

- Czyli jak? - Moreno wypięła łyk grzanego wina.

- Zwyczajny rabunek. Jakiś uzbrojony w młotek épun, który uznał, że potrzebuje trochę gotówki. Ogołocono go nawet z papierosów i kluczy, powinno nas to zastanowić.

Moreno potaknęła głową.

- Myślisz, że tak to się odbyło?

- Może tak, może nie. Mogły to zresztą być dwie różne osoby. .. morderca i złodziej, który opróżnił kieszenie. Ten typ, który zadzwonił i powiadomił o zwłokach, nie miał raczej czystego sumienia.

- Pewnie nie - przyznała Moreno. - W każdym razie ja skła-

niam się ku przekonaniu, że nie był to zwykły rabunek. Kryje się za tym coś więcej, ale nie wiem, czy nie uważam tak tylko dlatego, że to właśnie Erich jest ofiarą... jasne, że takie rozumowanie jest absurdalne.

- Wiele jest absurdów w świecie myśli - stwierdził Reinhart.

- Intuicja i przesady pachną ostatecznie dość podobnie. Chyba musimy zacząć od tego.

Wyjął sfatygowany zeszyt w czarnej ceratowej okładce, który pożyczyla im Marlene Frey, kiedy obiecali, że oddadzą zaraz po skopiowaniu.

- Musi być dowodem, że teraz jednak nie zbaczali z uczciwej drogi - zauważyła Moreno. - Kto przekazuje dobrowolnie policji notes z adresami, jeśli ma coś na sumieniu?

Reinhart przekartkował zeszyt i zrobił zmartwioną minę.

- Cała masa ludzi - westchnął. - Chyba będziemy musieli jeszcze raz z nią porozmawiać i poprosić o małą selekcję.

- Załatwię to jutro - obiecała Moreno. - Nic, dość wysiadania tutaj. Obawiam się, że dziś wieczorem nie znieśmy już złotych jajek. Reinhart spojrział na zegarek.

- Chyba pani inspektor ma rację - przyznał. - Jedna rzecz jest w każdym razie pewna.

- Co takiego?

- Musimy to rozwikłać. Nawet jeśli do końca stulecia mielibyśmy nie rozwiązać już ani jednej sprawy, to tę musimy. Przynajmniej tyle jesteśmy mu winni.

Moreno oparła głowę na dłoniach, zastanawiając się.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, uznałabym, że przemawia przez ciebie przewrażliwiony honor skauta. Ale muszę przyznać, że zgadzam się z tobą. Teraz jest fatalnie, a będzie jeszcze gorzej, jeśli pozwolimy, by mordercy uszło to bezkarnie. Skontaktujesz się jutro z W? Może chciałby wiedzieć, jak nam idzie?

- Obiecałem, że będę go na bieżąco informował. I będę. Bez względu na to, czy chcę, czy nie.

Moreno ponuro pokiwała głową. Dopili wino i wyszli, pozo-

stawiając kawiarnię, miasto i świat swojemu losowi.  
Przynajmniej na parę godzin.

## 9

Obudził się i spojrzął na zegarek.

Za piętnaście piąta. Spał dwadzieścia minut.

Erich nie żyje, pomyślał. To nie sen. Nie żyje, to rzeczywistość. Czuł, że oczy pieką go w oczodołach. Jakby chciały wyrwać się z głowy. Edyp, uderzyło go. Król Edyp... ociemniałym błąkać się przez resztę życia, szukając łaski, może to byłoby coś. Może w tym byłby sens. Erich. Erich nie żyje. Mój syn.

Dziwne, jak jedna myśl potrafiła zajmować całą jego świadomość godzina po godzinie. Te same trzy słowa - właściwie nawet nie myśl, tylko konstelacja słów, nieprzenikniona jak mantra w obcym języku: Erich nie żyje, Erich nie żyje, Erich nie żyje. Minuta po minucie, sekunda po sekundzie; każdy ułamek każdej chwili w każdej sekundzie. Erich nie żyje.

Albo wcale nie dziwne. Przypuszczalnie tak musiało być. I tak będzie dalej. To był kamień węgielny reszty jego życia. Erich nie żył. Jego syn wziął go ostatecznie w posiadanie; przez swoją śmierć zdobył wreszcie miłość i całkowitą uwagę ojca. Erich. Właśnie w ten sposób. Po prostu.

Jestem bliski załamania, pomyślał Van Veeteren. Rozpadnę się i pójdę na dno, i nie obchodzi mnie to. Trzeba było umrzeć, jak był czas.

Kobieta u jego boku poruszyła się i obudziła. Ulrike. Ulrike Fremdli. Ta, która została jego kobietą mimo całego niezdecydowania i rozterek ducha. Jego rozterek, nie jej.

- Spałeś trochę?

Pokręcił głową.

- W ogóle nic?

- Pół godziny.

Przeciągnęła ciepłą dłonią po jego piersi i brzuchu.

- Chcesz herbaty? Mogę wstać i zrobić.

-Nie, dziękuję.

- Chcesz porozmawiać?

-Nie.

Odwróciła się. Przysunęła się bliżej niego i po chwili, słysząc jej równy oddech, zorientował się, że znowu zasnęła. Odczekał jeszcze kilka minut, ostrożnie wstał, przykrył ją kołdrą i poszedł do kuchni.

Czerwone cyfry na tranzystorowym radiu na oknie wskazywały 4.56. Na dworze nadal było ciemno; jedynie światło latami padało ukośnie na węgiel pogrążonej w ciemności budowli po drugiej stronie ulicy. Guijdermann, zamknięta piekarnia. Przedmioty, które mógł rozróżnić w kuchni, okrywał ten sam żalobny całun. Stół i krzesła. Kuchenkę, zlew, półkę nad spizarką, stos „Allgemejne” w koszu w kącie. Otworzył lodówkę i z powrotem ją zamknął. Wyjął szklanekę z szafki i napił się wody z kranu. Erich nie żyje, pomyślał. Nie żyje.

Wrócił do sypialni i ubrał się. Ulrike poruszyła się niespokojnie kilka razy na łóżku, ale się nie obudziła. Wymknął się do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Włożył buty, szalik i płaszcz. Opuścił mieszkanie i cicho stąpając, zszedł po schodach na ulicę.

Padął słaby deszcz - czy raczej kołysał się jak miękka kurtyna z unoszących się, lekkich jak piórko kropel. Musiało być siedem, osiem stopni powyżej zera. Wiatr w zasadzie ucichł, a ulice były wyludnione jak przed oczekiwanym od dawna nalotem bombowym. Ciemne i pogrążone w sobie - i w pozbawionym tajemnic śnie okalających je budynków.

Erich nie żyje, pomyślał i poszedł przed siebie.

Wrócił półtorej godziny później. Ulrike czekała w półmroku kuchni, obejmując dłońmi filiżankę herbaty. Wyczuł jej niepokój połączony z wyrzutem i współczuciem, ale nie poruszyły go bardziej niż telefoniczna pomyłka czy formalne kondolencje.

Mam nadzieję, że wytrzyma, pomyślał. Mam nadzieję, że nie pociągnę jej za sobą.

- Zmokłeś - powiedziała. - Daleko poszedłeś?

Wzruszył ramionami i usiadł naprzeciw niej.

- W stronę Löhr. Nie pada tak mocno.

- Zasnąłam. Przepraszam.

- Musiałem się przejść.

Skinęła głową. Minęło pół minuty, potem wyciągnęła rękę przez stół. Położyła półotwarte dłonie dziesięć centymetrów od niego i po chwili zamknął je w swoich, niepewnie ściskając. Zrozumiał, że ona na coś czeka. Że musi coś powiedzieć.

- Pamiętam z dzieciństwa starą parę - zaczął mówić. - Nazywali się Bloeme.

Lekko przytaknęła głową, robiąc pytającą minę. Przez chwilę błędził spojrzeniem po jej twarzy.

- Może nawet wcale nie byli tacy starzy, ale sprawiali wrażenie najstarszych na świecie. Mieszkali w naszej dzielnicy, kilka domów dalej, i prawie nigdy nie wychodzili. Można było ich zobaczyć tylko w niektóre niedziele po południu i wtedy... wtedy zamierały wszystkie zabawy i całe życie na ulicy. Szli zawsze pod ramię po ocienionej stronie ulicy, mężczyzna niezmiennie w kapeluszu, i otaczał ich wielki smutek. Chmura smutku. Mama opowiedziała mi ich historię, wydaje mi się, że miałem wtedy nie więcej niż siedem, osiem lat. Bloemeowie mieli kiedyś dwie córki, dwie ładne młode dziewczyny, które pewnego lata pojechały do Paryża. Obie zostały tam zamordowane pod jakimś mostem i odtąd rodzice unikali ludzi. Dziewczyny wróciły do domu we francuskich trumnach. To była ich historia... my, dzieciaki, przyglądaliśmy im się zawsze z największym szacunkiem. Po prostu z cholernym respektem.

Zamilkł i puścił rękę Ulrike.

- Dzieci nie powinny umierać przed rodzicami.

Skinęła głową.

- Chcesz herbaty?

- Poproszę. Jeśli dodasz parę kropel rumu.

Podniosła się i nastawiła elektryczny czajnik. Przez chwilę



szukała rumu wśród butelek w szafce. Van Veeteren nadal siedział przy stole. Splótł ręce i oparł brodę na kłykciach. Zamknął oczy i ponownie poczuł, że go bołą. Pałący ból za powiekami i w skroniach.

- Przeżyłem to już wcześniej.

Ulrike odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie, nie w pracy. Chodzi o to, że wiele razy wyobrażałem sobie śmierć Ericha... że to ja będę musiał go pochować, a nie odwrotnie. Nie ostatnio, ale dawniej. Osiem, dziesięć lat temu. Wyobrażałem sobie całkiem namacalnie... ojciec grzebiący syna, nie wiem, może wszystkim rodzicom przechodzą przez głowę podobne myśli.

Ulrike postawiła dwie parujące filiżanki na stole i ponownie usiadła naprzeciwko niego.

- Nie mnie. A w każdym razie nie tak wyraziście. Dlaczego dręczyłeś się czymś takim? Musiał być jakiś powód.

Van Veeteren przytaknął, ostrożnie smakując słodki, mocny napitek.

- Tak... - Zawahał się chwilę. - Tak, był powód. Przynajmniej jeden... kiedy Erich miał osiemnaście lat, próbował odebrać sobie życie. Połknął tyle tabletek, że starczyłoby dla pięciu, sześciu dorosłych ludzi. Znalazła go przyjaciółka i w porę trafił do szpitala. Umarłby, gdyby nie ona. To było ponad dziesięć lat temu, przez jakiś czas śniło mi się to co noc. Nie tylko jego puste, rozpaczliwe, pełne winy spojrzenie na łóżku w Gemejnte... ale śniło mi się też, że mu się udało, że zmieniam kwiaty na jego grobie. I tak dalej. Mam niemal uczucie, jakbym... jakbym się do tego przygotowywał. Teraz to rzeczywistość, a w tamtych latach wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi... albo się spodziewałem. Prawie zdołałem zapomnieć, a teraz jesteśmy w tamtym miejscu. Erich nie żyje. Znowu zamilkł. Roznosiciel gazet albo któryś z sąsiadów przeszedł po schodach. Ulrike zamierzała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się.

- Chciałem wejść do Kościoła Keymerskiego - ciągnął Van

Veeteren - ale był zamknięty. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego musimy zamykać kościoły na klucz?

Delikatnie pogłaskała go po rękach. Minęła minuta. Minęły dwie. Domyślił się, że przesiewa słowa.

- Erich nie umarł dlatego, że chciał umrzeć - powiedziała w końcu. - To istotna różnica.

Nie odpowiedział. Uwolnił prawą rękę i upił łyk.

- Może. Może to istotna różnica. Trudno mi to w tej chwili rozstrzygnąć.

Potem znowu milczenie. Szare światło świtu przesączało się powoli przez okno. Było kilka minut po siódmej. Ulica i miasto obudziły się. By zmierzyć się z kolejnym listopadowym dniem. Życie toczyło się dalej.

- Nie mam siły więcej o tym mówić - powiedział Van Veeteren.

- Nie rozumiem, co da oplątanie tego masą słów. Przepraszam, że jestem taki milkliwy, jestem wdzięczny, że mam cię przy sobie. Bezgranicznie wdzięczny.

- Wiem - powiedziała Ulrike. - Nie, nie chodzi o słowa. W ogóle nie chodzi o nas. Połóżmy się jeszcze na chwilę?

- Chciałbym się z nim zamienić.

- To daremne.

- Wiem. Daremność jest boiskiem życzeń.

Dopił herbatę i poszedł za Ulrike do sypialni.

W porze lunchu zadzwoniła Renate; jego była żona, matka jego zmarłego syna. Rozmawiała z nim dwadzieścia minut: na przemian mówiła i płakała. Kiedy odłożył słuchawkę, pomyślał o słowach Ulrike.

W ogóle nie chodzi o nas.

Postanowił spróbować właśnie tego się trzymać. Ulrike straciła męża w podobnych okolicznościach; prawie trzy lata temu, tak się poznali. Van Veeteren i Ulrike Fremdli. Sporo przemawiało za tym, że rozumiała sytuację.

W takim stopniu, w jakim można było rozumieć. O drugiej wsiadł do samochodu i pojechał na maardamskie lotnisko, żeby odebrać Jess. Jej rozpacz rzucała się w oczy, już kiedy szła

ku niemu w hali przylotów; padli sobie w ramiona i stali pośrodku... godzinami, takie mieli wrażenie. Po prostu stali wśród ludzkiego mrowia i tumultu panującego zawsze na Sechshafen, kołysząc się w odartej ze słów, beczasowej wspólnej żalobie.

On i jego córka Jess. Jess z siedmioletnimi bliźniętami i mężem w Rouen. Siostra Ericha. Jego żyjące dziecko.

- Nie chcę jeszcze się widzieć z mamą - przyznała się, kiedy zeszli na podziemny parking do samochodu. - Nie moglibyśmy pojechać gdzieś sobie usiąść?

Pojechał aż do Zeeport, do małej knajpki w Egerstadt. Zadzwoił do Renate, że trochę się spóźnią, a potem spędzili resztę popołudnia, siedząc naprzeciw siebie przy stoliku i patrząc na deszcz i wydmy. I na ołowianoszare nadmorskie niebo, tworzące ciężką kopułę nad smagany wiatrem pasem wybrzeża o księżycowym krajobrazie. Obstawała przy tym, żeby spleli dłonie i tak się trzymali, nawet kiedy jedli, i podobnie jak Ulrike zdawała się rozumieć, że to nie słowa były potrzebne.

Ze to nie chodziło o nich. Tylko o Ericha, żeby go zatrzymać.

- Widziałeś go? - chciała się później dowiedzieć.

Tak, był krótko w Zakładzie Medycyny Sądowej w niedzielę. Uważał, że Jess też mogłaby tam pójść. Jeśli czuje, że chce. Może jutro, poszedłby z nią.

Zapytała go również, kto to zrobił, odparł, że nie wie.

Dlaczego?

Tego też nie wiedział.

O wpół do szóstej wyjechali z Egerstadt i czterdzieści pięć minut później wysadził Jess przed domem Renate na Maalerweg, gdzie na razie miała się zatrzymać. Renate wyszła na schody i ze szlochem przywitała się z córką, Van Veeteren poprzestał na wyjęciu toreb z tylnego siedzenia i umówieniu spotkania we trójkę następnego dnia. Przed południem, może po to, żeby pójść popatrzeć na Ericha, Renate również nie zdążyła tego zrobić. Albo nie miała siły.

Kiedy wrócił do domu, na stole w kuchni leżała wiadomość od Ulrike. Napisała, że go kocha i że wróci około dziewiątej. Przyrzucił sobie grog z wina i usiadł w ciemności w dużym pokoju. Nastawił CD z Pendereckim, ale po krótkiej chwili wyłączył odtwarzacz.

Słowa nie, pomyślał, i muzyka też nie. Erich nie żyje. Milczenie.

Po trzech kwadransach zadzwonił Reinhart.

- Jak się czujesz? - zapytał.
- A jak myślisz? - odparł Van Veeteren.
- Jesteś sam?
- Tylko chwilowo.

Na kilka chwil zapadła cisza, kiedy Reinhart szukał dalszych słów.

- Chcesz o tym porozmawiać? Moglibyśmy się jutro spotkać.
- Zobaczę - powiedział Van Veeteren. - Jak tak, to zadzwonię.

Wiecie, kto to zrobił?

- Nie mamy pojęcia - odrzekł Reinhart.
- Chcę, żebyście go znaleźli.
- Znajdziemy go... jest coś jeszcze.
- Coś jeszcze?
- Marlene Frey. Jego dziewczyna. Widziałeś się z nią?
- Rozmawiałem z nią przez telefon.
- Chce, żebyś się z nią skontaktował.
- Zrobię to - przyrzekł Van Veeteren. - Jasne. Mogę cię prosić o przysługę?
- Mów.

Van Veeteren wahał się przez parę sekund.

- Jak go złapiecie... jak znajdziecie sprawcę... chciałbym się z nim zobaczyć.
- Dlaczego?
- Dlatego że tak to funkcjonuje. Jeśli zmienię zdanie, zawiadomię cię.
- *All right* - powiedział Reinhart. - Nie ma sprawy. Będiesz mógł usiąść z nim oko w oko, obiecuję.

- Im wcześniej, tym lepiej.
- Zrobię, co w mojej mocy.
- Dzięki, polegam na tobie.

## 10

- Mam gdzieś, czym się poza tym zajmujecie - powiedział Reinhart. - Mam gdzieś, jeśli będziecie musieli wziąć trzysta nadgodzin tygodniowo. Mam całkowicie gdzieś, co mówicie, co uważacie i myślicie, ta sprawa jest absolutnie priorytetowa! Został zamordowany syn komisarza, więc jeśli zastrzelą ministra spraw wewnętrznych i zgwałcą papieża, odkładamy to na półkę, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy. Czy to jasne? Zrozumieliście? Czy ktoś ma jakieś obiekcje? Bo jeśli ma, to może od razu starać się o przeniesienie! Cholera jasna... *off the record*, co?

- Zgadzam się - powiedział Rooth.

Inni najwyraźniej też się zgadzali. A przynajmniej nikt nie oponował. Wokół biurka było już duszno. Reinhart zdołał wcisnąć do swojego gabinetu cztery dodatkowe krzesła; w komendzie nie brakowało oczywiście większych pomieszczeń, ale w żadnym nie mógł swobodnie palić, a odkąd urodziła im się córka, zawarł z żoną pakt, że palić będzie wyłącznie poza domem.

Siedmioosobowa ekipa śledcza. Inspektorzy Moreno, Rooth i Jung. Aspirant Krause, równie młody i obiecujący jak zawsze. Podkomisarz deBries i nowy nabytek, asystent kryminalny Bol- Imert, wypożyczony z Aarlach do czasu, aż podkomisarz Münster wróci po zakończeniu swojego śledztwa dla ministerstwa- wszczętego z powodu noża w nerce w trakcie pełnienia obowiązków służbowych przed dziesięcioma miesiącami. I z powodu nieco nadmiernej liczby nadgodzin.

No i on sam: obecnie komisarz Reinhart. Chociaż jeśli ktoś mówił o komisarzu, nigdy nie miał na myśli jego, z wyjątkiem komendanta Hillera, który silił się na ironię albo próbował być

po prostu zabawny. Komisarzem był zawsze komisarz Van Veeteren, szef maardamskiego Wydziału Kryminalnego przez półtorej dekady i jego *spiritus movens* przez dwukrotnie dłuższy czas, który jednak przed ponad dwoma laty zszedł z Parnasu sprawiedliwości, żeby doczekać emerytury jako współwłaściciel i sprzedawca w antykwariacie Krantzego w zaułku Kupińskiego.

Do czego miał zresztą pełne prawo; nie było nikogo, kto odmawiałby mu spokoju i książek ani nikogo, kto z mieszaniną strachu, respektu i podziwu nie odczuwałby jego braku.

A teraz po raz kolejny wciągnięty w sprawę. Komisarz. W najgorszy możliwy sposób... nie jako ofiara, ale prawie. Zamordowany syn. Cholera, pomyślał komisarz Reinhart. Szlag by to trafił! W wielu sprawach podczas jego tak zwanej kariery przychodziła mu do głowy myśl, że nic gorszego już nie może się zdarzyć, że tego nie da się przebić. Ale to było jeszcze gorsze. Tak perfekcyjnie diabelskie, że nie potrafiłby sobie tego wyobrazić.

Muszę zdławić moją osobistą złość, pomyślał. Muszę trzymać ją na cholerny dystans, bo inaczej stanie się zawalidrogą.

- Musimy jednak spróbować nie patrzeć przez pryzmat samego komisarza. To znaczy naszego czysto osobistego zaangażowania. Musimy działać dokładnie tak samo jak w każdej innej sprawie... tyle że ta jest priorytetowa. Musimy ją rozwikłać. Inaczej kanał. Najpierw, jak zwykle, nauka.

Odszukał właściwy papier w stertach na biurku i odchrząknął.

- Erich Van Veeteren został zabity dwoma uderzeniami w głowę tępym przedmiotem - zrelacjonował. - Każde z uderzeń było śmiertelne. A przynajmniej to drugie, w kark, jak mówi Meusse... przypisuje mu pewne znamiona profesjonalizmu. Narzędzie zbrodni musiało być dość ciężkie... z metalu, bez ostrych krawędzi, może rurka albo coś podobnego. Nie udało się nam go znaleźć.

- Szkoda - powiedział deBries. - Byłoby łatwiej.

Reinhart popatrzył na niego przez sekundę spode łba.

- Czas: wtorek pod wieczór. Biorąc pod uwagę ustalenia poczynione w Trattorii Commedia, prawdopodobnie tuż po 18.15. Możemy się domyślać, że sprawca zaatakował na parkingu, a potem zawłókł swoją ofiarę w krzaki, gdzie leżała aż do soboty, kiedy to otrzymaliśmy telefonicznie cynk. Na temat tego, kto zaopiekował się rzeczami, które zabity miał w kieszeniach, możemy tylko spekulować. Albo był to sam morderca, albo ktoś inny. Niewykluczone, że nasz anonimowy pan Cynk. Ślady? Wskazówki? Motyw? Proszę! Słucham komentarzy!

- Czy w jego ubraniu były jakieś ślady narkotyków? - zapytał asystent Bollmert. Przypuszczalnie próbując zrobić dobre wrażenie, uznał Reinhart. Rumiany asystent był w komendzie dopiero od kilku tygodni i z pewnością zależało mu, żeby się wykazać. Trudno było mieć mu to za złe.

To, że nigdy nie spotkał komisarza, również mogło okazać się jego zaletą. Akurat w tej sytuacji.

- W ubraniu nie - odparł Reinhart. - We krwi też nie, ani we włosach, ani w paznokciach. Możemy chyba uznać, że jego dziewczyna mówiła prawdę. Szkoda, że nie powiedział jej, po co wybiera się do Dikken, bo i w tym przypadku moglibyśmy polegać na jej słowach.

- Chyba miał nie do końca legalne plany, skoro tego nie zrobił - zauważył Rooth. - Nie powiedział nic ani jej, ani Ottonowi Meyerowi, któremu wcześniej pomagał przy jachcie.

- Nie powiedział nawet, że jedzie do Dikken? - zapytała Moreno. - Temu Meyerowi?

- Nie - włączył się Jung. - Tylko że musi zabrać się o wpół do piątej, bo ma jeszcze małą robotę.

- Robotę? - upewnił się Reinhart. - Użył tego słowa?

Jung skinął głową.

- Przycisnęliśmy Meyera dość mocno w tym punkcie. Tak, nazwał to „robotą”. Nie ma wątpliwości. Opuścił przystań na Greitzengraacht kilka minut po wpół do piątej, wykonywali jakieś prace wykończeniowe w kajucie, mieli zamiar kontynuować w tym tygodniu. A jacht niczego sobie...

osiemnaście metrów, sześć koi... boazeria tekowa, barek, wszystkie bajery. Z Meyera jest oczywiście kawał łobuza, ale z tych uznawanych, nic dla nas.

-I nic więcej nie wiedział? - zapytał Reinhart.

- Nic a nic - powiedział Rooth.

Jung wzruszył ramionami, dając miną do zrozumienia, że mu przykro. Reinhart westchnął.

- Wspaniale - powiedział. - Materiał chudszy od wegetarianina po biegunce. Co jeszcze mamy?

Odpowiedź znał, ale mimo to powiódł wzrokiem wokół, starając się wyglądać optymistycznie.

- Notes z adresami - powiedział w końcu deBries.

- Właśnie - przyznał Reinhart. - Głowa na karku, jak zwykle.

I co?

DeBries rozłożył ręce, o włos unikając trafienia Rootha w brodę.

- Uważaj do cholery, semaforze!

Bollmert zaśmiał się nerwowo.

- Działamy - wyjąknął nieporuszony deBries. - Odnotowanych jest sto czterdzieści sześć prywatnych osób i około pięćdziesięciu instytucji. Do tego z dziesięć niezrozumiałych wpisów... przekreślenia, bazgrały i tym podobne. Przypuszczalnie miał ten notes od sześciu, siedmiu lat, tak przynajmniej ocenia jego dziewczyna, chociaż ona zna go dopiero od trzech. Dotąd zidentyfikowała trzydzieści pięć osób, jutro zabieramy się do sprawdzania.

- Czy jacyś wspólni znajomi nie są wpisani do notesu? - zapytał Jung.

DeBries pokręcił głową.

- Chyba nie. Wygląda na to, że był skrupulatny. Jest na przykład telefon chłopaka, którego poznali na imprezie zaledwie kilka tygodni temu.

- Hm. Sugerujesz, że wśród tych nazwisk jest morderca?

- podsumował Reinhart.

- Jeśli to ktoś, kogo znał, istnieje spora szansa - przyznał



deBries.

- Dobra - powiedział Reinhart. - Masz do pomocy Moreno, Krausego i asystenta Bollmerta, i bądźcie cholernie dokładni, żebyście czegoś nie przegapili. Przesłuchujecie bezpośrednio, twarzą w twarz, i nagrywacie każdą rozmowę, nie wystarczą luźne pogaduchy przez telefon, pamiętajcie. Przygotujcie też baterię pytań... chcę najpierw na nie spojrzeć. Jakie ci ludzie mają alibi na wtorek i tak dalej... żadnych białych rękawiczek. Jasne? Jak dotąd to jedyne, co mamy, do cholery.

- Jasne jak słońce - odparł deBries. - Nie jestem idiotą.

- Czasami to może być atutem - mruknął Reinhart. Zapalił fajkę i wypuścił na zgromadzonych kilka gęstych obłoków dymu.

- Ta jego dziewczyna? - przypomniał Jung, - Ją chyba musimy przepytać jeszcze raz. O ostatnie dni, co robili i tak dalej?

- Rozumie się samo przez się - potwierdził Reinhart. - Wezmę to na siebie. Rooth i Jung pójdą jeszcze raz do restauracji, przynajmniej Rooth powinien być zadowolony. Jutro idzie komunikat w prasie, że poszukujemy każdego, kto zajrzał tam we wtorek. Powinno to coś dać... jeśli nie można łowić głęboko, trzeba łowić szeroko.

- Mądre słowa - odezwał się Rooth. - Choć brzydkie rybki nurkują głęboko, jeśli się nie mylę? Na przykład flądry.

- Zgadza się - przyznał Bollmert, który prawie urodził się na trawlerze, ale nie uważał, żeby akurat teraz trzeba było o tym mówić.

- Co, do cholery, mają z tym wspólnego flądry? - zirytował się Reinhart.

Na kilka sekund zapanowało milczenie, dowodzący śledztwem wypuszczał dalsze kłęby dymu, a pozostali patrzyli.

- Co myślicie? - odezwał się w końcu deBries. - Powinniśmy chyba mieć jakieś teorie? Dlaczego został zabity?

Reinhart odchrząknął.

- Powiem ci, jak trochę lepiej rozpracuję ostatni tydzień

- obiecał. - Młody Van Veeteren miał się spotkać z kimś w Dik-

ken i pewnie zarobić na tym jakiś szmal, i, jak przypuszczam, nie chodziło o zbieranie zamówień na świąteczne gazety. Tylko tego możemy trzymać się w tej chwili.

- No i został sprzątnięty - dodał Rooth.

- Przez tego, kogo miał spotkać, albo przez kogoś innego

- uzupełnił Jung.

- A ten typ, który pożyczył mu samochód...? -- zapytał Bollmert.

- Możemy go skreślić - powiedział Reinhart po dwóch sekundach namysłu. - Siedzi w więzieniu Holte i, o ile wiemy, nie mieli ze sobą kontaktu od wielu miesięcy. Od dawna nie był też na przepustce.

- Za co siedzi? - zapytał Rooth.

- Za parę rzeczy. Między innymi rozbój i przemyt ludzi. Nielegalne posiadanie broni. Cztery lata. Zostało mu około dwóch i pół.

- Okej. Skreślamy go - orzekł deBries. - Coś jeszcze? Głodny jestem, nie jadłem od zeszłego tygodnia.

- To tak jak ja - powiedział Rooth.

Reinhart odłożył fajkę na popielniczkę.

- Jeszcze tylko jedna rzecz - odezwał się poważnym tonem.

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem z komisarzem i obiecałem mu, że złapiemy mordercę. Mam nadzieję, że wszyscy zdają sobie sprawę, z jaką nadzwyczajną sytuacją mamy do czynienia? To, co powiedziałem na początku, nie było pustym gadaniem. Musimy go złapać. Musimy! Jasne?

Rozejrzał się wokół.

- Nie jesteśmy idiotami - zauważył deBries. - Już mówiłem.

- Uda się nam - stwierdził Rooth.

Dobrze mieć zespół znający swoją wartość, pomyślał Reinhart, ale nic nie powiedział.

Van Veeteren zatrzymał się w południowo-zachodnim rogu podłużnego rynku. Ockfener Plejn. Wzdrygnął się z zimna i wsunął ręce głębiej do kieszeni płaszcza. Rozejrzał się. Do zeszłej soboty nie wiedział, że Erich tu mieszkał - albo może

podświadomie zdawał sobie z tego sprawę? Spotkali się dwa razy jesienią; raz na początku września, drugi raz ponad trzy tygodnie temu. Mimo wszystko, pomyślał, szukając w kieszeni maszynki do papierosów, mimo wszystko miał jakiś kontakt z synem. W ostatnim czasie. Ugościł go u siebie w domu i rozmawiali jak cywilizowani ludzie. Na pewno tak. Do czegoś zmierzali; niezbyt dobrze wiedzieli do czego, było to mętne i beładne, ale zawsze... Erich opowiedział mu również o Marlene Frey, chociaż, o ile pamiętał, nie wymienił jej imienia, i z pewnością wspomniął, gdzie mieszkają, dlaczego miałby nie wspomnieć? Po prostu wypadło mu z głowy.

Czyli mieszkał tutaj... wtedy. Niemal w sercu starego miasta w tym zaniedbanym dziewiętnastowiecznym budynku o brudnej fasadzie, w którą się teraz wpatrywał. Trzecie, przedostatnie piętro; słabo oświetlone okno za miniaturowym balkonem z porzewiałą balustradą. Wiedział, że ona jest w domu i na niego czeka; narzeczona jego zabitego syna, której nigdy nie spotkał, i wiedział też - a świadomość ta przyszła z nagłą i porażającą siłą - że nie zdoła się przemóc. Nie zdoła nacisnąć dzwonka obok łuszczącej się bramy.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się szósta, ciemność, która zaczęła kłaść się nad miastem, wydała mu się zimna i wroga. Obcy zapach siarki albo fosforu w powietrzu. Nie poznawał go, w jakiś sposób tu nie pasował. Deszcz wziął na chwilę oddech, ale o tej porze roku nigdy nie odchodził daleko. Van Veeteren zapalił papierosa. Spuścił wzrok, czy ze wstydu, czy z innego powodu, nie wiadomo... dostrzegł kawiarnię w przeciwnym rogu rynku i kiedy skończył palić, tam skierował kroki. Zamówiwszy ciemne piwo, zajął miejsce przy jednym z okien, przez które jednak nie można było zajrzeć ani wyjrzeć. Oparł głowę na rękach i wrócił myślami do dzisiejszego dnia.

Trzeciego dnia z rzędu, w którym obudził się ze świadomością, że jego syn nie żyje.

Najpierw godzina w antykwariacie, gdzie wyjaśnił Krant- zemu sytuację i ustalili nowy podział dyżurów w tygodniu. Nie miał

nie przeciwko staremu Krantzemu, ale kimś więcej niż tylko współnikami nigdy nie zostaną. Na pewno nie, było jak było. Następnie kolejna wizyta w Zakładzie Medycyny Sądowej, teraz wspólnie z Renate i Jess. Został przed drzwiami, kiedy one weszły do chłodni. Na zmarłego syna wystarczy popatrzeć tylko raz, pomyślał. Nadal tak myślał, popijając piwo... tylko raz, są obrazy, których czas i zapomnienie nigdy nie zamażą. Których nie trzeba przywoływać, bo nigdy się nie chowają. Jess była opanowana, kiedy wyszły; ze zmiętą chusteczką w każdej ręce, ale opanowana.

Renate równie otepiała jak przy wejściu; zastanawiał się, ile i jakich tabletek wzięła.

Ponadto kilka minut rozmowy z Meussem. Nie poradzili sobie z tym zbyt dobrze. Meusse wyglądał na bliskiego płaczu, co mu się normalnie nie zdarzało.

Trochę później poznał Jess z Ulrike. Był to jasny punkt w ciemności; spotkanie, które przebiegło nadspodziewanie dobrze. Wystarczyło zaledwie pół godziny w dużym pokoju w Klagenbur- gu przy kieliszku wina i sałatce. Nie słowa, nie on i Ulrike... to było coś między kobietami, czego nigdy nie pojmie. Między niektórymi kobietami. Kiedy zęgały się w przedpokoju, poczuł się niemal obcy, aż się uśmiechnął mimo żałoby.

Potem zadzwonił do Marlene Frey i umówił się na spotkanie. Była w miarę opanowana i zaprosiła go do siebie. Po piątej będzie już w domu i komisarz może przyjść, o której chce. Cieszyła się, że będzie mogła z nim porozmawiać. Była jedna sprawa.

Cieszyła się? Jedna sprawa?

A teraz pot, który go oblewał, był zimniejszy od piwa. Dlaczego?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że dzisiaj się nie uda i po wypiciu piwa zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Pośród słabego odoru uryny, stojąc między toaletą męską a damską, zadzwonił do narzeczonej swojego zabitego syna, żeby wyjaśnić, że coś

mu przeszkodziło.

Czy pasowałoby jej, żeby przyszedł jutro? Albo pojutrze? Pasowało. Ale z trudem ukrywała rozczarowanie.

Odczuwał to samo, kiedy opuścił Ockfener Plejn, idąc w deszczu do domu. Rozczarowanie i wstyd.

Nie rozumiem już samego siebie, pomyślał. Przecież to nie o mnie chodzi. Czego się boję, co ja, do cholery, robię?

Ale wrócił prosto do domu.

Reinhart obudził się, kiedy Winnifred wyszeptwała jego imię.

I położyła zimną dłoń na jego brzuchu.

- Miałaś uśpić córkę, a nie samemu zasypiać.

Ziewnął i próbował przeciągać się przez dwie minuty. Potem ostrożnie wstał z wąskiego łóżeczka Joasi i opuścił dziecięcy pokój. Usiadł na kanapie w dużym pokoju, na której jego żona już pólleżała pod kocem.

- Opowiadaj - poprosiła.

Zastanowił się.

- Trójgłowo szatańskie - orzekł. - Tak, właśnie takie jest. Napijesz się wina?

- Chętnie. Szatan jest, jak wiadomo, trójgłowy już u Dantego, więc jak dotąd wszystko w porządku.

- W czasach Dantego kobiety, które wiedziały za dużo, palono na stosach. Czerwone czy białe?

- Czerwone. Nie, to było już po Dantem. No?

Reinhart wstał i poszedł do kuchni. Napelił dwa kieliszki i wrócił. Z powrotem zajął miejsce na kanapie i zaczął opowiadać. Trochę to zajęło, nie przerwała mu ani razu.

-A ta potrójność? - zapytała, kiedy skończył.

Reinhart zanim odpowiedział, dopił wino ze swego kieliszka.

- Po pierwsze, nie mamy bladego pojęcia, kto to zrobił. To fatalnie nawet w zwykłych sprawach.

- Wiem - powiedziała Winnifred.

- Po drugie, to syn komisarza jest ofiarą.

- Okropne. Po trzecie?

Reinhart znowu zrobił pauzę, zastanawiając się.

- Po trzecie, prawdopodobnie był w coś zamieszany. Jeśli znajdziemy sprawcę, znajdziemy też pewnie kryminalne powiązania Ericha Van Veeterena. Kolejne. Mimo zapewnień jego dziewczyny... i przypuszczalnie nie rozgrzeje to ojcowskiego serca, jak myślisz?

- Rozumiem - potaknęła Winnifred, obracając kieliszek w dłoni. - Tak, rzeczywiście trzy ostrza. Ale na ile pewne są te kryminalne powiązania? Może niekoniecznie...?

- Pewne jak pewne – przerwał jej Reinhart i postukał się palcem w czoło. - Niektórych sygnałów tu, w środku, nie da się ignorować. Poza tym... poza tym zażądał, żeby zostawić go sam na sam z mordercą, jeśli w końcu go złapiemy. Mówię o komisarzu. Cholera, choć może go rozumiem.

Winnifred zastanawiała się przez chwilę.

- Nieprzyjemna historia. Właściwie gorzej już chyba być nie mogło? Wygląda niemal na wyreżyserowaną.

- Właśnie to on zawsze tak mówi - powiedział Reinhart.

## 11

Apel policji o pomoc w sprawie Dikken ukazał się we wszystkich ważniejszych maardamskich gazetach we wtorek, równo tydzień po zabójstwie, i do piątej po południu zadzwoniło dziesięć osób, które odwiedziły Trattorię Commedia rzeczonoego dnia. Junga i Rootha oddelegowano do zajęcia się tymi zgłoszeniami i z miejsca skreślili sześć z nich jako „drugorzędnie interesujące” (określenie Rootha), ponieważ nie zgadzał się czas. Pozostała czwórka znajdowała się jednak w restauracji, według ich własnych słów, między 17.00 a 18.30, a cały kwartet był na tyle uprzejmy, że stawił się wieczorem w komendzie na przesłuchanie.

Pierwszy był Rupert Pilzen, pięćdziesięcioośmioletni dyrektor banku mieszkający przy Weimaar Allé w Dikken, który we wtorek zajrzał do Commedii i spędził chwilę przy barze. Tylko mała whisky i jedno piwo. Mniej więcej od piętnaście po piątą

do za piętnaście szosta. Czekał, aż żona będzie gotowa z obiadem; jak wyjaśnił, niekiedy pozwalał sobie na taką chwilę wytchnienia po ciężkim dniu pracy. Jeśli miał czas.

Odsunął okulary na czoło i uważnie przestudiował zdjęcia Ericha Van Veeterena. Stwierdził, że nigdy go nie widział, ani w Commedii, ani nigdzie indziej, i rzucił znaczące spojrzenie na swój mieniący się zegarek. Jung domyślił się, że pewnie miał w planach kolejną zasłużoną wizytę w barze, która teraz była zagrożona.

Czy zwrócił uwagę jeszcze na coś, co, jego zdaniem, mogło być dla nich istotne?

Nie.

Zapamiętał jakieś twarze?

Nie.

Czy przy barze siedzieli jeszcze jacyś ludzie?

Pilzen zmarszczył czoło, a podwójny podbródek ułożył w głębokie fałdy. Nie, chyba przez cały czas siedział sam. Chociaż, pod koniec przyszła jakaś kobieta. Krótka obcięta, około czterdziestki, raczej typ feministki. Usiadła przy barze i zamówiła drinka. Dość daleko od niego. Z tego, co pamięta, czytała gazetę. To wszystko.

- Gdyby mieli jeszcze jeden bar, z pewnością usiadłaby tam - skomentował Rooth, kiedy dyrektor Pilzen wytoczył się na swoich pałkowatych nogach. - Ty tłusty kołtunie.

- Hm. Człowiek staje się taki - powiedział Jung - kiedy ma dużo pieniędzy i żadnych ambitniejszych zainteresowań. Też byś taki był. Gdybyś miał dużo pieniędzy...

- Idź zawołaj następnego.

Następna okazała się para. Państwo Schwarzwowie, którzy nie mieszkali w Dikken, ale odwiedzili tam znajomego, żeby podyskutować o interesach. O jakich konkretnie, to pominęli. W drodze powrotnej wstąpili do Commedii na obiad, mały luksus, na jaki pozwalali sobie od czasu do czasu. Chodzi o wyjście do lokalu. Nie akurat do Trattorii Commedia, tylko w ogóle do restauracji... zwłaszcza teraz, odkąd wycofali się z

życia zawodowego. Chociaż tylko raz czy dwa w tygodniu. Oboje mieli około sześćdziesięciu pięciu lat i oboje od razu rozpoznali Ericha Van Veeterena, kiedy Jung wyjął zdjęcie. Siedział kilka metrów od ich stolika - jadł zwykłą zapiekankę makaronową, jeśli pani Schwarz dobrze zapamiętała. Oni zamówili

rybę. Turbota, jeśli być dokładnym. Tak, ten młody człowiek był sam. Zapłacił i wyszedł mniej więcej w tym czasie, kiedy podano im deser. Tuż po szóstej.

Jacyś inni goście, kiedy oni tam byli?

Tylko para młodych ludzi siedząca trochę dalej. Przyszli krótko przed szóstą i chyba też zamówili ową tanią zapiekankę. Oboje. Zostali jeszcze, kiedy państwo Schwarzowie wychodzili.

O wpół do siódmej albo coś koło tego.

Jeszcze coś godnego uwagi?

Nie, co miałyby to być?

Zwrócili uwagę, czy przy barze siedzieli jacyś goście?

Nie, z ich stolika nie było widać baru.

Czy siedział tam ktoś, kiedy mijali bar, idąc do wyjścia?

Trudno powiedzieć... Tak, niski mężczyzna w garniturze, na pewno. O trochę smagłej cerze... może Arab. Albo Indianin?

Rooth zazgrzytał zębami. Jung podziękował i obiecał - na wyraźne żądanie pani Schwarz - że przypilnują, by morderca w try miga znalazł się za kratkami.

Bo to przecież było przerażające. W Dikken i wszędzie. Czy pamiętają tę przybitą gwoździami prostytutkę sprzed kilku lat? Tak, pamiętają, ale bardzo dziękują, bo teraz pora na następnego przedstawiciela Detektywa Społeczeństwo.

Nazywała się Liesen Berke. Miała około czterdziestki i siedziała przy barze w Trattorii Commedia od za piętnaście szósta do wpół do siódmej, mniej więcej. Dlaczego tam siedziała, nie wyjaśniła, miała chyba do cholery prawo wypić drinka gdziekolwiek, jeśli akurat naszła ją ochota.

- Oczywiście - przytaknął Jung.

- A nawet dwa - dodał Rooth.



- Rozpoznaje pani tego człowieka? - zapytał Jung, pokazując zdjęcie.

Przyglądała mu się przez trzy sekundy i kręciła głową przez cztery.

- Siedział przy stoliku w głębi restauracji między godziną...

- Czy to on został zabity? - przerwała.

- Właśnie on - powiedział Rooth. - Widziała go pani?

- Nie. Czytałam gazetę.

-Aha.

- Aha? - Liesen Berke spojrzała na Rootha znad swoich osmiokątnych okularów. Znad górnej krawędzi.

- Hrm - chrząknął Jung. - Czy przy barze byli jeszcze jacyś goście?

Przestała mierzyć Rootha wzrokiem i zastanowiła się.

- Dwóch, tak mi się wydaje... tak, najpierw siedział tłusty gość, typ dyrektora, ale sobie poszedł. Potem pojawił się zupełnie inny. Długie włosy i broda. Do tego ciemne okulary, jeśli dobrze pamiętam... wyglądał jak rockman. Generalnie macho. Zdeprawowany.

- Rozmawiała pani z nim? - zapytał Jung.

Liesen Berke pogardliwie prychnęła.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- A on nie próbował rozmawiać z panią? - spytał Rooth.

- Czytałam gazetę.

- Prawidłowo - podsumował Rooth. - Nie należy wdawać się w rozmowy z obcymi facetami w knajpach.

Jung rzucił mu takie spojrzenie, że ten zamilkł. Cholera, pomyślał. Dlaczego nie posła go na kurs dyplomacji?

Liesen Berke ściągnęła usta w wąską kreskę i też popatrzyła na Rootha; jakby był niezwykle uciążliwym psim gównem, w które wdepnęła i które trudno zetrzeć z podeszwy. Niewątpliwie po psie, a nie suce. Rooth spojrzał w sufit.

- Jak długo siedział? - zapytał Jun £ . - Ten zdeprawowany muzyk rockowy?

- Nie pamiętam. Chyba niezbyt długo.

- Co pił?
- Nie mam pojęcia.
- W każdym razie odszedł od baru wcześniej niż pani?
- Tak.

Jung zastanowił się.

- Rozpoznałaby go pani?
- Nie. Nie miał wyglądu. Tylko szopę włosów i okulary.
- Rozumiem. Dziękuję, panno Berke, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, pozwoli pani, że się odezwiemy. Okazała się pani niezwykle pomocna.
- Co miałaś na myśli z tym ostatnim? - chciał wiedzieć Rooth, kiedy zamknęli drzwi za Liesen Berke. - Niezwykle pomocna, co to za banialuki?

Jung westchnął.

- Próbowałam jedynie nałożyć trochę balsamu po twojej szarmanckiej ofensywie - wyjaśnił. — Poza tym ten drugi gość może okazać się do pewnego stopnia interesujący. Musimy zapytać barmana, czy też go pamięta.
- Jedna szansa na dziesięć. Chociaż może w tej rozgrywce nie da się uzyskać lepszych szans.
- Masz inną propozycję?

Rooth zastanowił się.

- Możemy skorzystać z okazji i od razu zjeść obiad, skoro już tam jedziemy. Żeby nabrać świeżego spojrzenia na sprawę.
- Zdeprawowany? - zapytał Jung. - Powiedziała „zdeprawowany”?

W gabinecie Reinharta Ewa Moreno usiadła na krześle przeznaczonym dla gości.

- Nadal pracujesz?

Reinhart spojrzął na zegarek. Wpół do siódmej. Wolalby, żeby było nieco wcześniej.

- Muszę co nieco podsumować. Późno złapałem pannę Frey. Jak wam idzie?

- Niespecjalnie - westchnęła Moreno. - Szczerze powiedziawszy, nie jest to jakaś rewelacyjna strategia...

- Wiem. Ale jakbyś miała lepszą, ujawniłabyś ją już na progu. Nie mam racji?

- Masz. Pewnie tak bym zrobiła. W każdym razie idzie dosyć ciężko. Rozmawialiśmy z szesnastoma znajomymi Ericha Van Veeterena... według listy ważności sporządzonej przez narzeczoną. Wszyscy tutejsi, z miasta... poza nasz teren wysłaliśmy Bollmerta, wróci w piątek. Jak dotąd nikt nie miał nic ciekawego do powiedzenia, ale chyba też nikt nic nie ukrywał. Przynajmniej w naszej sprawie.

- Ich alibi?

- Dzięki za pytanie. Nie zaskarbia się sobie bynajmniej sympatii ludzi, kiedy każe im się wykazywać alibi, ale może naszym zadaniem nie jest zaskarbianie sobie sympatii, jak mawiał komisarz. Jak dotąd wszystko wydaje się w porządku. Nie zdążyliśmy oczywiście wszystkich sprawdzić, ale chyba nie to jest najważniejsze?

- Nie, dopóki nie podejrzewamy trupa w szafie. Właściwego trupa... zakładam, że wśród tych nazwisk jest sporo szemranych typów?

- Są wszystkie kategorie - stwierdziła Moreno. - Niektórzy z pewnością nie byli zachwyceni, że Marlene Frey tak lekkomyślnie udostępniła notes wrogowi. Ale pomijamy wszystko, co nie dotyczy tej sprawy. Zgodnie z rozkazem.

- Zgodnie z rozkazem - potwierdził Reinhart. Odchylił się na krzesło i splótł dłonie na karku, zastanawiając się. - Jeśli wolisz odbyć jedną rundkę z panną Frey, to nie mam nic przeciwko temu. Sparzyła się trochę na dwóch rzeczach w życiu - na policji i mężczyznach. Ty przynajmniej nie jesteś mężczyzną. Moreno skinęła głową i przez chwilę siedziała w milczeniu.

- Jak myślisz? - spytała potem. - W co się Erich wpakował? Reinhart zacisnął zęby na cybuchu i podrapał się w skronie.

- Nie wiem. Nie mam bladego pojęcia, to właśnie jest takie wkurzające. Zwykle ma się jakieś domysły ... jakiś kierunek.

- Ale teraz nie masz?

- Nie. A ty masz?

Moreno pokręciła przecząco głową.

- Czy Marlene Frey wie coś, czego nie chce ujawnić? - zapytała. Reinhart znowu się zastanowił. Próbował odsłuchać popołudniową rozmowę swym wewnętrznym uchem.

- Nie. Nie sądzę. Choć może ty odniosłaś inne wrażenie, ta kobieca mistyka jest niesamowita.

- Mam ją w małym palcu - powiedziała Moreno. - Rozmawiałeś później jeszcze zkomisarzem?

- Od wczoraj już nie - przyznał się Reinhart. - Może zadzwonię dziś wieczorem. To dość nieprzyjemne uczucie, tak grzebać w życiu jego syna. Zwłaszcza że nie było całkiem kryształowe. Nieciekawo ten kosz z brudami; on chyba niezbyt przyjemnie się czuje, siedząc w żałobie w domu i mając świadomość, czym się zajmujemy. Cholera, co za syf!

- Naprawdę jest tam teraz tak dużo brudów? - zapytała Moreno. - W tym koszu?

- Może nie - powiedział Reinhart, podnosząc się. - Było dużo więcej kilka lat temu. Możliwe, że jest dokładnie tak, jak mówi panna Frey... że wrócili na dobrą drogę. Szkoda tylko, że nie zaszedł nią kawałek dalej. Choć oczywiście określenie „biedni ludzie” słyszałem.

Podszedł do okna. Rozsunął listewki żaluzji i spojrzał na miasto i ciemne niebo.

- Z iloma osobami spośród tych, z którymi spotkał się w ostatnim tygodniu... o których w i e m y, że się z nimi spotkał. .. z iloma rozmawialiście?

- Z siedmioma - powiedziała Moreno bez chwili wahania.

- Drugie tyle będzie do jutra, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

-*All right.* - Reinhart puścił żaluzję. - To, na co czekamy, to jedynie koniuszek nitki, po której dojdziemy do kłębka. Prędeż czy później ją znajdziemy, wystarczy mieć cierpliwość... nie jest to dla nas przecież pierwszozna?

- Nie pierwszozna - przyznała Moreno. - Chociaż nie zaszkodziłoby, gdyby szybko coś się ruszyło. Żebyśmy mieli kierunek,

jak powiedziałaś.

- Pobożne życzenia - westchnął Reinhart. - Nic, koniec na dzisiaj. Mam rodzinę, o ile pamiętam. A przynajmniej miałem rano. A jak z tobą?

- Zaślubiona z pracą.

Reinhart popatrzył na nią z uniesionymi brwiami.

- Musisz wystąpić o rozwód - powiedział poważnie. - Nie widzisz, że ona tylko cię wykorzystuje?

W czwartek wieczorem podjęli pierwszą próbę trochę bardziej formalnego podsumowania stanu śledztwa. Minęło pięć i pół doby, odkąd ciało Ericha Van Veeterena znaleziono w krzakach na parkingu w Dikken. Dziewięć, odkąd je tam umieszczono - jeśli nie pomylili się w obliczeniach. Czyli był najwyższy czas. Nawet jeśli dotąd niewiele ustalili.

Zaczęli od narzeczonej ofiary.

Marlene Frey była wielokrotnie brana w obroty, zarówno przez Reinharta, jak i Moreno - oczywiście przy zachowaniu maksimum taktu i szacunku - i, na ile oboje mogli ocenić, zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc policji, informacjami i nie tylko. Nie było powodu, by narzekać na brak chęci współpracy z jej strony. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, a wzięli.

Przeprowadzono siedemdziesiąt dwa przesłuchania przyjaciół i znajomych zmarłego - imponująca liczba składająca się na dość barwny zbiór przesłuchań, jeśli mieli być szczerzy, a byli szczerzy - ale powtarzały się dwa motywy: nikt nie umiał wskazać, komu mogłoby zależeć na pozbawieniu życia Ericha Van Veeterena, i nikt nie miał pojęcia, jaką sprawę miał do załatwienia w Dikken w ten fatalny wtorek.

Jeśli chodzi o zeznania świadków z samej Trattorii Commedia, przedstawione przez inspektorów Junga i Rootha, to również ich przybyło - choć nieznacznie - i tutaj wykrył się powoli jeden - dosłownie jeden - słaby trop, pierwszy i jak dotąd jedyny w całym śledztwie. Istnienie mężczyzny z długimi ciemnymi włosami i brodą, którego Liesen Berke

zaobserwowała przy barze tuż przed osiemnastą rzezonego wtorku, zostało potwierdzone przez dwóch dalszych świadków: barmana Aloisa Kummera i kucharza Larsa Nielsena - obaj byli na sto procent przekonani (czyli razem na dwieście, odnotował optymistycznie Rooth), że dokładnie taki osobnik krótko siedział przy barze nad piwem mniej więcej o tamtej porze.

Pewne jak amen w pacierzu i dziwki na Zwille, jak mawiało się w mieście.

Rysopisowi też nie można było nic zarzucić - przynajmniej jeśli chodzi o zgodność. Ciemne włosy, ciemna broda, ciemne ubranie i okulary. Ponadto kucharz Nielsen przypominał sobie, że gość miał reklamówkę, którą postawił na ziemi przy stolku, ale Kummer i Berke skwitowali to neutralnym wzruszeniem ramion. Nie potwierdzili, ale w gruncie rzeczy też nie zaprzeczyli.

Kiedy Jung i Rooth skończyli referować te ważkie fakty - ten jedyny jaśniejszy punkt po pięciu dniach żmudnego śledztwa - Rooth dojrzał do wyjścia przed szereg.

- To morderca tam siedział, daję głowę. Zapamiętajcie, że wiedziałem to już teraz!

Nikt nie był chętny, by od razu wyrazić poparcie dla tej prognozy, mimo to zdecydowali, żeby jak najszybciej rozesłać rysopis i list gończy.

Żeby mieć czyste sumienie.

I żeby podjąć na odprawie chociaż jedną decyzję.

## 12

Obudził się w nocy.

Zdarzało mu się to od czasu do czasu. Teraz.

Nigdy, kiedy była u niego Vera albo kiedy miała wkrótce przyjść. Wówczas nie. Tak się ułożyło, że spotykali się raz w tygodniu, z soboty na niedzielę, i właśnie wtedy, gdy jej brak odczuwał najgłębiej, to następowało. Budził się zlany zimnym

potem. W nocy.

I to w tych chwilach przebudzenia, między trzecią a czwartą, podczas tych bezlitosnych, długich jak wieczność minuty, kiedy cały świat spał, spoglądał przez błonę. W zimnym świetle retro- spekcji widział potworności, których się dopuścił, i zrozumiał, że ta scalająca cienka membrana mogła w każdej chwili pęknąć. W każdej chwili. Czy tam również były sny, nie wiedział. Nie potrafił przywołać z nich żadnych obrazów. Nawet nie próbował, co chyba zrozumiałe, ani tej nocy, ani w inne. Zamiast tego wstał w ciemności, podszedł do biurka i zapalił lampę. Opadł ciężko na fotel i policzył dni w kalendarzu; wyszło mu, że minęło dwadzieścia pięć, odkąd przejechał chłopca. Dziesięć, odkąd zabił szantażystę. Wkrótce miał się zacząć nowy miesiąc. Wkrótce wszystko miało popaść w zapomnienie.

Zapomniane, wymazane. Gazety przestały już pisać o sprawie. Zajmowały się nią w pierwszych dniach tygodnia. Policja znalazła tego młodego mężczyznę w sobotę, ale teraz media straciły już zainteresowanie. Żadnej wzmianki w czwartek ani w piątek.

Było jak było. Człowiek dwudziestego pierwszego wieku będzie efemerydą, pomyślał. Podkreślić, obliczyć sumę, jeśli jakaś jest. Zapomnieć, iść dalej. Dewiza naszych czasów. Uświadomił sobie, że właściwie jest taki sam. Z pewnością nadawał się na przedstawiciela przyszłości; tylko te bezsenne chwile wiązały go z dniem wczorajszym, wprowadzały ciągłość. Tylko one.

A jednak nic nie było jak wcześniej. To paradoksalne, jak ów wieczór z tym miękkim, głuchym odgłosem i chłopcem w gliniastym rowie mógł wszystko zmienić. Jak mógł do tego stopnia przesunąć perspektywę. Otworzyć drzwi. Zerwać cumy. Wpuścić Verę, wpuścić jego nowe życie. Tak, właśnie paradoksalne, a Chaos jest sąsiadem Boga.

Zabójstwo w Dikken nie miało takiego samego ciężaru gatunkowego. Wcale, to była tylko konsekwencja. Coś, co musiał

przeprowadzić, nieubłagane następstwo tego, że został zauważony pierwszego wieczora. Kule bilardowe wprawione w ruch, które nie miały innego wyboru, jak podążać w nadanym kierunku; czytał nie tak dawno o podobnych teoriach w fachowych czasopismach. Rodzaj nowomechanistycznego pojmowania świata, jeśli dobrze rozumiał... albo psychologia; zarazem oczywiście powinność wobec własnego życia; już dzień czy dwa dni później zdarzenie w Dikken przestało go poruszać. Mężczyzna, którego tam zabił, próbował obłowić się na cudzym nieszczęściu, na jego własnym i chłopca... można było nawet stwierdzić, że zasłużył na śmierć. Wet za wet, jak to się mówi. Prymitywny szantażysta, który w ciągu tygodnia stał się ogromnym zagrożeniem, ale którego spotkał na jego terenie i zlikwidował. Prosto i bezboleśnie. Przyszłość znowu stała otworem.

Przyszłość z Verą. Nie wątpił już, że tak będzie. Ani przez ułamek sekundy nie wątpił, nawet w te bezsenne noce. Jeszcze nie powiedziała mężowi, że ma innego i że chce rozwodu, ale była to tylko kwestia czasu. Kwestia kilku tygodni i delikatności. Andreas Miller nie był silnym człowiekiem, nie chciała go zniszczyć. Jeszcze nie. Ale wkrótce.

Czekając na to, wstrzymywali się zę, snuciem planów. Jednak unosiły się w powietrzu przez cały czas, kiedy byli razem. Kiedy się kochali, kiedy w nią wchodził, kiedy ssał brodawki jej piersi, twarde, sztywne i wrażliwe. Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie przy posiłku i kieliszku wina albo leżeli w jego dużym łóżku, tylko oddychając i słuchając w ciemności muzyki. Przez cały czas. Plany - na razie nieujęte w słowa nadzieje na przyszłość i nowe życie. Gdzie indziej. On i Vera. Kochał ją. Ona kochała jego. Oboje byli dorośli, nie mogło być nic prostszego. Będą żyć razem. Za pół roku. Za miesiąc. Wkrótce. Po cichu starał się to sobie wyobrazić. Mocne, ciepłe, nasyczone obrazy. Obrazy z przyszłości, w której nigdy nie będzie musiał budzić się w nocy. Nigdy nie będzie musiał patrzeć przez tę bliską pęknięcia błonę.



Nigdy nie będzie musiał ścierać z siebie zimnego, cuchnącego potu. Vera, pomyślał. Dla ciebie mógłbym znowu zabić.

W sobotnim „Neuwe Blatt” ukazał się list gończy za nim. Przeczytał go przy śniadaniu i najpierw się przeraził, ale po chwili wybuchnął śmiechem. Nie stanowił zagrożenia. Przeciwnie. Właściwie się go spodziewał. To przecież niemożliwe, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi w ciągu tych minut, które spędził przy barze, zupełnie niemożliwe. Szybko spostrzegł, że list gończy zamiast stanowić dla niego zagrożenie, stanowił niemal gwarancję. Gwarancję, że policyjne śledztwo utknęło i nie miał powodu czegokolwiek się obawiać. Najmniejszego powodu.

W przeciwnym razie po co ogłaszano by ten śmieszny list gończy?

Mężczyzna w nieokreślonym wieku. W ciemnym, prawdopodobnie czarnym ubraniu. Długie, ciemne, prawdopodobnie czarne włosy. Broda i okulary. Być może przebrany.

Być może! Uśmiechnął się. Oczekiwali, że włoży na siebie to wszystko jeszcze raz i wyjdzie pomiędzy ludzi? Że wróci na miejsce zbrodni i ponownie zajrzy do Trattorii Commedia? Czy co? Nigdy nie miał zbyt wysokiego mniemania o umiejętnościach policji i tego sobotniego poranka lepszego nie nabrał.

Kryminalni? - pomyślał. Ubodzy krewni z prowincji.

Po południu przyszła Vera. Miał wino i jedzenie kupione w Hali Targowej na Keymer Plejn, ale nie widzieli się od sześciu dni i zaczęli się kochać już w przedpokoju. Że mogło być tyle namiętności. Że mogła być taka kobieta.

Powoli zabrali się też do wina i jedzenia. Została na noc, kochali się jeszcze kilka razy, w różnych miejscach, i zamiast obudzić się w środku nocy, wtedy właśnie zasnął.

Ociężały i zaspokojony; wypełniony miłością i winem i z Verą niesłychanie blisko siebie.

W niedzielę została do południa. Przez godzinę poważnie rozmawiali o swojej miłości; co powinni z nią zrobić i o

wspólnej przyszłości.

Po raz pierwszy.

- Nikt nie wie, że istniejesz - powiedziała. - Ani Andreas, ani moja siostra, ani koledzy z pracy i przyjaciele. Jesteś moją tajemnicą, ale nie chcę, żeby dalej tak było.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Chcę ciebie mieć przez cały czas.

- A twój mąż? - zapytał. - Co zamierzasz zrobić?

Patrzyła na niego długo, zanim odpowiedziała.

- Powiem mu - oświadczyła. - W tym tygodniu. Zastanowiłam się, nie ma innego wyjścia. Kocham cię.

- Kocham cię - odrzekł.

W poniedziałek został dłużej w pracy. W drodze do domu

- akurat kiedy przejeżdżał koło rowu z cementową rurą - spostrzegł, że śpiewa przy wtórze radia, i uświadomił sobie, że od tamtego wieczoru nie minął jeszcze miesiąc. Nadal był listopad, a wszystko zmieniło się w niewyobrażalny sposób.

To było nieprawdopodobne. Całkowicie nieprawdopodobne. Ale to było życie.

Uśmiechał się i nadal nucił, wyjmując pocztę ze skrzynki, ale przestał, kiedy ledwie chwilę później czytał list przy stole w kuchni. Jeśli dobrze pamiętał - starych listów się pozbył - napisano go na dokładnie takim samym papierze i włożono do dokładnie takiej samej koperty jak dwa poprzednie. Był napisany odręcznie i miał nie więcej niż pół strony.

*Dwa istnienia, ma Pan teraz dwa ludzkie istnienia na sumieniu. Dostał Pan wystarczająco dużo czasu, by się ujawnić, ale schował się Pan jak tchórzliwy kundel. Cena za moje milczenie jest teraz inna. Ma Pan do dyspozycji tydzień (dokładnie siedem dni) na zebranie dwustu tysięcy guldenów. W używanych banknotach, niskie nominały.*

*Zgłoszę się z instrukcjami. Niech Pan nie popełni drugi raz tego samego błędu, nie dostanie Pan*

*kolejnej szansy na kupienie sobie wolności. Wiem, kim Pan jest, i mam niezbite dowody Pana winy, a moja cierpliwość jest ograniczona.*

*Przyjaciel*

Przeczytał wiadomość dwa razy. Potem utkwiał wzrok za oknem. Padało. Nagle uderzył go w nozdrza smród zimnego potu.

### III

#### 13

Erich Van Veeteren został pochowany podczas skromnej ceremonii w poniedziałek 30 listopada. Uroczystość odbyła się w jednej z bocznych kaplic kościoła keymerskiego i zgodnie z życzeniem najbliższych - zwłaszcza matki - uczestniczyło w niej jedynie wąskie grono żałobników.

Renate wybrała również celebransa i psalmy; według jakichś niejasnych kryteriów, które, jej zdaniem, miały być ważne dla Ericha, ale których Van Veeteren nie mógł do końca zrozumieć. Zresztą było-mu to obojętne; jeśli Erich miał jakąś potrzebę duchowości, nie znajdowała ona zaspokojenia pod osłoną tych kościelnych sklepień i iglic groźnie wznoszących się ku niebu, tego był pewien.

Książd był stosunkowo młody i energiczny; kiedy odprawiał rytuał, mówiąc swym przeciągłym wyspiarskim dialektem, Van Veeteren siedział przeważnie z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na kolanie. Po prawej stronie miał byłą żonę, której obecność nawet w takiej chwili trudno było mu znieść; po lewej siedziała córka, którą kochał nade wszystko.

Na wprost stała trumna z prochami jego syna.

Ciężko było mu na nią patrzeć, może właśnie dlatego zamykał oczy.

Zamykał oczy i myślał o żywym Erichu. Albo pozwalał myślom przychodzić i swobodnie płynąć; pamięć dokonywała wyboru całkowicie chaotycznie. Obrazy i wspomnienia z lat dziecięcych Ericha; czytanie bajek na wietrznej plaży, nie kojarzył na jakiej, wizyta u dentysty, wyjście na łyżwy, do wegeleńskiego zoo.

Wspomnienia z trudnego okresu dużo później. Lata nałogu i więzienia. Próba samobójcza, długie nocne czuwania w szpitalu.

Wspomnienia z ich ostatniego spotkania. Może przede wszystkim te. Kiedy wyłoniły się owe niedawne obrazy, boleśnie uświadomił sobie własne egoistyczne motywy - potrzebę wysssania światła z tego spotkania - ale, pomyślał, jeśli każdy nowy dzień niósł ze sobą sumę poprzednich, może on, jako ojciec, zasługiwał na przebaczenie.

Przynajmniej dzisiaj. Przynajmniej tu, przed trumną. Ostatnim razem spędził z Erichem pół godziny w Klagenburgu. Erich przyszedł oddać wiertarkę, którą pożyczył, usiedli w kuchni i wypili kawę. Nie pamiętał dokładnie, o czym rozmawiali, ale na pewno nie o takim czy innym nałogu, nie o tym, czy ktoś jest zdolny lub nie wziąć odpowiedzialność za swoje życie, i nie o prywatnej moralności w stosunku do społecznej. Nic z tych ciężkich rzeczy, walcowanych w nieskończoność i zużytych.

To była tylko pogawędka, pomyślał. Bez szukania winnego. Rozmowa między dwojgiem ludzi, jakimikolwiek, i właśnie to - prostota i bezpretensjonalność - stanowiło światło.

W ciemności. Lichy promyk światła w bezmiernej ciemności; przypomniał mu się znowu spacer po wodzie Gorczakowa z *Nostalgii*. Często mu się to zdarzało. *Nostalgia* Tarkowskiego... i kiedy teraz siedział w tej wielowiekowej katedrze, zamykając oczy przed trumną swego syna, przy powolnej litanii księdza wznoszącej się ku gotyckim sklepieniom, odczuwał jakby... rodzaj wspólnoty. Może wielkie słowo, ale niechybnie było to poczucie wspólnoty. Z Erichem, ze swoim niepojętym ojcem, który odszedł na długo przedtem, zanim on zyskał szansę, by go zrozumieć i się z nim pojednać, z cierpieniem i ze sztuką, i z tworzeniem - z każdym możliwym rodzajem tworzenia - powoli również z wiarą w coś po drugiej stronie, w wizję i ambicje budowniczego kościoła... z życiem i śmiercią, i ciągle upływającym czasem. Ze swoją córką Jess, która opierała się ciężko o niego i którą od czasu do czasu zdawał się przechodzić dreszcz. Wspólnota.

To działa, pomyślał. Rytuał działa. Formy pokonują zwątpie-

nie; przez stulecia nauczyliśmy się oplatać sensem pustkę i ból. Sensem i kanonami. Długo ćwiczyliśmy.

Magia nie znikła, dopóki nie przeszedł przed trumną z Jess uwieszoną u ramienia, dopóki nie odwrócił się plecami i nie wyszedł z prezbiterium. Wtedy przyszło lodowate uderzenie rozpaczy; poczuł, że niemal się zatoczył, i musiał wesprzeć się na córce. On na niej, ona na nim. Do Renate idącej u drugiego boku Jess było nieskończenie daleko i zastanawiał się, dlaczego musi utrzymywać taki dystans. Dlaczego?

Kiedy już wyszli poza ciężką bramę kościoła, na siąpiący deszcz, pomyślał tylko: kto go zabił? Chcę wiedzieć, kim jest człowiek, który zabił mojego syna.

Który zdmuchnął płomień.

- Jeszcze nie uporządkowałam jego rzeczy - powiedziała Marlene Frey. - Są przemieszane z moimi. Nie wiem, jak się robi... jeśli pan chciałby coś wziąć.

Van Veeteren pokręcił głową.

- Jasne, że nie. To przecież wy żyliście razem. Rzeczy Ericha są oczywiście twoje.

Siedzieli przy stoliku u Adenaara. Marlene Frey piła herbatę, on wino. Nawet nie palił. Nie wiedział, dlaczego go to dziwi, ale dziwiło. Erich zaczął palić, jak miał piętnaście lat... pewnie wcześniej, ale przyłapał go w piętnaste urodziny.

- Proszę jednak wstąpić któregoś dnia i rzucić na nie okiem

- powiedziała. - Może będzie pan chciał coś na pamiątkę.

- Zdjęcia - przyszło mu na myśl. - Masz jakieś zdjęcia? Chyba nie mam żadnego zdjęcia Ericha z ostatnich dziesięciu lat.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Oczywiście. Trochę jest. Przynajmniej kilka.

Skinął głową i popatrzył na nią z poczuciem winy.

- Przepraszam, że jeszcze do ciebie nie zajrzałem. Byłem... za dużo tego.

- Nigdy nie jest za późno. Wstąp, jak będziesz miał czas, to dostaniesz kilka zdjęć. Wiezorami jestem w domu. Przeważnie, ale może lepiej będzie, jak najpierw zadzwonisz.

Nie trzeba robić ceregieli.

- Nie. Nie trzeba.

Napiła się herbaty, a on skosztował wina w jakimś połowicznym goście empatii. Ukradkiem też się jej przyjrzał, odkrywając, że dobrze wygląda. Oczywiście była blada i zmęczona, ale miała czyste rysy i spojrzenie, którym nie uciekała w bok nawet na centymetr, gdy ich oczy się spotykały. Zastanawiał się, przez co przeszła w życiu. Czy przez to samo co Erich? Nie było tego po niej widać, a zazwyczaj u kobiet zostawały głębsze ślady. Dostrzegając oczywiście, że miała za sobą niejedno, ale nic w jej postaci nie zdradzało braku siły.

Siły, by iść przez życie. Tak, widział, że ją ma.

Niewybaczalne, pomyślał. Niewybaczalne, że poznaje ją dopiero teraz. W takich okolicznościach. Powinienem...

Ale później konstelacja *Erich-nie-żyje* nasza go z taką siłą, że niemal pociemniało mu w oczach. Wypił wino jednym haustem i wyciągnął maszynkę do papierosów.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

Uśmiechnęła się znowu na sekundę.

- Erich palił.

Gdy skręcał i zapalał papierosa, siedzieli w milczeniu.

- Powinienem rzucić - powiedział potem. - W każdym razie z takim aparacikiem wychodzi trochę mniej.

Dlaczego, do cholery, mówię o paleniu? - pomyślał. Jakie to ma znaczenie, że ojciec zmarłego syna za dużo pali?

Nagle położyła mu dłoń na przedramieniu. Poczuł, jak podskoczyło mu serce, i omal nie zakrztusił się dymem. Dostrzegła jego reakcję, ale nie próbowała udawać, że jej nie zauważyła. Nie cofnęła ręki, tylko przypatrywała mu się badawczym, choć nieco rozbieganym wzrokiem.

- Chyba bym cię polubiła. Szkoda, że wyszło jak wyszło.

Wyszło, jak wyszło? - pomyślał. Szkoda? Oględnie mówiąc.

- Tak. Przykro mi, że nie miałem więcej kontaktów z Erichem.

Oczywiście powinno...

- To nie twoja wina - przerwała mu. - Był trochę... jak to ująć? - Wzruszyła ramionami. - Ale go kochałam. Dobrze nam razem było, jakbyśmy rośli od tego, że siebie mamy... w jakiś sposób. Chciałam ci coś powiedzieć.

Kompletnie wypadło mu to z głowy.

- A, racja. Co?

Puściła jego rękę i przez chwilę patrzyła w filizankę. Powoli mieszała łyżeczką.

- Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale tak się składa, że spodziewam się dziecka. Jestem w ciąży, w trzecim miesiącu... tak po prostu jest.

- Boże święty! - wykrzyknął i tym razem zakrztusił się dymem. Wcześniej rano we wtorek odwiózł Jess na Sechshafen. Zre-lacionował jej i Renate rozmowę z Marlene Frey; Jess zadzwoniła do niej w poniedziałek wieczorem i umówiła się na spotkanie, jak tylko ponownie przyjedzie do Maardam. Miała nadzieję, że już na Nowy Rok.

Oczywiście Renate również miała pojechać z nimi na lotnisko, ale, jak powiadomiła, obudziła się z gorączką i zapaleniem gardła. Van Veeteren błogosławił bakterie i podejrzewał, że także Jess nie była zbyt zmartwiona z ich powodu.

Tego ranka też trzymała go za rękę, kiedy powolutku przejeżdżali przez mgłę zalegającą nad Landsmoor i Weill; od czasu do czasu mocny uścisk ciepłej dłoni. Uświadomił sobie, że były to sygnały zarówno córki miłości, jak i zwykłego, starego strachu przed rozstaniem. Silniejszego w takim dniu niż kiedykolwiek indziej, co rozumiałe. Przed oddzieleniem od korzeni w tym płaskim, północnoeuropejskim krajobrazie. Od Ericha. Może też od niego.

- Trudno się rozstawać - powiedział.

- Tak - przyznała. - Trudno.

- Człowiek nigdy się tego nie nauczy. Ale pewnie i w tym jest jakiś sens.

Odrobinę się umiera, chciał dodać, ale w porę się powstrzymał.

- Nie lubię lotnisk - powiedziała. - Zawsze trochę się boję, jak



mam gdzieś lecieć, Erich też się bał.

Skinął głową. Nie wiedział o tym. Zastanawiał się, ilu rzeczy nie wie o swoich dzieciach. Ile przeoczył po drodze i ile jeszcze da się naprawić, ile się dowiedzieć.

- Chociaż znałam go bardzo słabo - dodała po chwili. - Mam nadzieję, że polubię Marlene, to tak jakby mimo wszystko pozostawił po sobie ślad. Tak, naprawdę mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Byłoby straszne, gdyby...

Nie dokończyła zdania. Po chwili spostrzegł, że Jess płacze, i przytrzymał jej dłoń w długim uścisku.

- Teraz w każdym razie czuję się lepiej - mówiła dalej, kiedy przestała płakać. - Lepiej, niż kiedy przyjechałam. Nigdy się z tym nie pogodzę, ale chwilami czuję się niemal spokojna. Czy może człowiek jest po prostu oziębiały od ciągłego płaczu, jak myślisz?

Mruknął coś w odpowiedzi. Nie, pomyślał. Nic nie przechodzi, a suma cały czas rośnie. Dzień za dniem, im człowiek jest starszy.

Kiedy dojeżdżali do lotniska, puściła jego rękę. Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i otarła łzy.

- Dlaczego właściwie odszedłeś z policji?

Pytanie go zaskoczyło i przez chwilę poczuł się niemal postawiony pod ścianą.

- Tak do końca nie wiem. Miałem dosyć, po prostu... to chyba najprostsze wyjaśnienie. Wyraźnie to czułem, nie musiałem tego głębiej analizować.

- Rozumiem. Tak, chyba wiele rzeczy można zostawić bez analizy.

Zamilkła, ale usłyszał, że jeszcze coś leży jej na sercu. Domyślał się co; pół minuty później podjęła.

- To dziwne, ale zaczęłam myśleć o czymś, o czym na początku sądziłam, że nie będzie mnie obchodzić... to znaczy kiedy dowiedziałam się, że Erich nie żyje.

- Co takiego?

Znowu się zawahała.

- Morderca - powiedziała. - Ten, kto to zrobił. Chcę wiedzieć, kto to jest i dlaczego to się stało. Coraz bardziej chcę się tego dowiedzieć. Nie sądzisz, że to dziwne? Przecież Erichowi nie przywróci to życia...

Obrócił głowę, spoglądając na nią.

- Nie. To wcale nie jest dziwne. Myślę, że to jedna z najnormalniejszych reakcji, jakie można sobie wyobrazić. Jest powód, dla którego odszedłem z policji, ale był też powód, dla którego do policji wstąpiłem.

Popatrzyła na niego z boku i pokiwała głową.

- Chyba rozumiem. I teraz myślisz tak samo?

- Teraz myślę tak samo.

Zwlekła chwilę z następnym pytaniem.

- A jak im idzie? Policji? Wiesz coś... informują cię?

Wzruszył ramionami.

- Nie za wiele. Prosiłem o to, ale nie chcę za bardzo się wtrącać. Jak coś ustalą, oczywiście mnie powiadomią. Może zadzwonię do Reinharta i zasięgnę języka.

Byli na miejscu. Skręcił na wielopoziomowy parking, wjechał wąskim podjazdem i zaparkował przed szarą betonową ścianą.

- Zadzwoń. Chcę wiedzieć, kto zamordował mojego brata.

Skinął głową i wysiadł z samochodu. Dwadzieścia minut później zobaczył, jak Jess znika między dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami przy stanowisku kontroli bagażu.

Tak, pomyślał. Kiedy jest po wszystkim, pozostaje właśnie to pytanie.

Kto?

## 14

Z początku było to niepojęte.

Jego pierwszą myślą - pierwszą próbą wyjaśnienia - było, że tamten przeżył. Ze mężczyzna z parkingu w jakiś nieprawdopodobny sposób ożył po otrzymanych ciosach. Wyczołgał się

z krzaków, dotarł do restauracji i trafił do szpitala. Uratował się.

Ze strzaskaną czaszką i zgruchotanymi kręgami?

Potem przypomniał sobie fakty. Pisano o tym we wszystkich gazetach. Radio i telewizja relacjonowały to zdarzenie - nie było żadnych wątpliwości. Ten młody chudzielec, któremu koło pola golfowego zadał ciosy, nie żył. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Ergo? - pomyślał. Ergo zabiłem niewłaściwego człowieka. Tak musiało być. Czy istniały jakieś inne możliwości?

Nie dostrzegął żadnych. Wychodziło na to, że... po raz drugi zabił przypadkowego człowieka.

Było to tym bardziej niepojęte.

Przeliczył się, i to zdecydowanie, sądząc, że zdoła zasnąć tego poniedziałkowego wieczoru i po paru bezsennych godzinach wstał. Była druga; wypił w kuchni herbatę z odrobiną rumu, potem wziął samochód i pojechał nad morze. Przez półtorej godziny siedział w samochodzie zaparkowanym na parkingu przy drodze z Behrensee do Lejnie i próbował przeprowadzić jakieś rozumowanie, wsłuchując się przez opuszczoną szybę w potężne akordy morza. Wiał silny południowo-zachodni wiatr i słychać było, że fale uderzające o brzeg mają wiele metrów wysokości.

Niewłaściwy człowiek? Zabił niewłaściwego człowieka. To nie szantażysta wyszedł tamtego wieczoru z Trattorii Commedia, nonszalancko kołyszając w rękę reklamówką Boodwicka. To był ktoś inny.

Ktoś, kto wszedł do toalety i przypadkowo odkrył reklamówkę w koszu? Mogło to być takie proste?

Przypadek? Ktoś, kto mając szczęście - albo pecha, jeśli wziąć pod uwagę skutek - ubiegł szantażystę? Czy mogło tak być?

Niemal natychmiast wykluczył tę możliwość. Była zbyt nieprawdopodobna. Naciągana. Wszystko odbyło się inaczej, zupełnie inaczej. Nie zabrało mu dużo czasu, by domyślić się jak.

Szantażysta miał pomocnika. To jego zabił. Anonimowy nadawca listu zdecydował się posłać kogoś po swoje brudne pieniądze, zamiast przyjść po nie samemu. Żeby nie narażać się na niepotrzebne ryzyko; dobrze pomyślane, bez wątpienia, i w tej sytuacji wcale niezaskakujące. Powinien był to przewidzieć. Powinien był wziąć to pod uwagę.

W gruncie rzeczy popełnił niewybaczalny błąd, im więcej o tym myślał, tym wyraźniej to sobie uświadamiał. Straszliwy błąd. Ironicznie komentował amatorszczyznę swojego przeciwnika w Dikken, a on tymczasem okazał się człowiekiem niebywale przezornym. Człowiekiem, który działał z dużo większą starannością i precyzją niż on sam.

A teraz wykonał swoje drugie posunięcie. Dwieście tysięcy guldenów. Dwieście tysięcy!

Kurwa! Zaklął głośno, waląc rękami w kierownicę. Kurwa mać! W ślad za złością pojawił się strach. Strach przed tym, co zrobił, i przed przyszłością. Przyszłość? - pomyślał. Jaka przyszłość? Jeżeli jego życie nie zostało rozstrzygnięte w ostatnich tygodniach, rozstrzygnie się w najbliższych. W najbliższym. To było jasne jak słońce. Po prostu kwestia dni, sytuację raczej trudno było ocenić inaczej.

Rozstrzygnie się jeszcze raz.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Smagany wiatrem ruszył wzdłuż drogi. Morze huczało.

Czy nadal jestem sobą? - zastanowiło go nagle. Czy wciąż jestem tym samym człowiekiem? Czy w ogóle jeszcze jestem człowiekiem?

Czy kulą bilardową toczącą się powoli ku nieuchronnemu losowi? Dwie bile, dwie zmiany kierunku... a później?

Obraz chłopca w rowie i obraz młodego mężczyzny, jak zdziwiony unosi brwi na sekundę przed pierwszym uderzeniem, pojawiały się coraz częściej przed jego oczami. Wpychały się, nakładały na siebie, nie zostawiając wiele miejsca na coś innego. Próbował skierować myśli ku Verze, ku tej śmiejącej się, cieszącej się życiem rudowłosej Verze, ale na

próżno.

Gdy tak szedł, ciężko pochylony w przód, w ciemności - w środku nocy! uświadomił sobie z apatyczną rezygnacją - kuląc się z zimna, osłaniając przed słonym wiatrem, pojawiała się myśl, żeby po prostu dać za wygraną. Uporczywa myśl, żeby oddać się w objęcia morza albo w ręce policji i wszystko zakończyć.

Pójść za tym słabym podszeptem, który musiał jednak być głosem sumienia - i który jakoś zaskakująco harmonizował z hukiem fal, a zarazem go zagłuszał. Dziwne, pomyślał. Pasują jak w filmie. Cholernie dziwne. Huk i szept.

Na koniec przeważała Vera. Na koniec jej roześmiana twarz z błyszczącymi zielonymi oczami i jej gorąca wilgotna szparka, która zamykała się wokół jego członka, odsunęły strach i beznadzieję i zdusiły szept. Niezłomna siła jej miłości. Siła i c h miłości.

I przyszłość.

Nie mogę się poddać, pomyślał. Nie teraz. Muszę też myśleć o Verze.

Była za pięć piąta nad ranem, gdy znalazł się z powrotem w domu. Kiedy wracał, ogarnął go spokój, może tylko w wyniku zmęczenia. Co się stało, to się nie odstanie, pomyślał. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Ważna jest przyszłość. Najpierw ta najbliższa, później dalsza - życie z Verą.

Chociaż jeśli nie uda mu się zneutralizować „przyjaciela”, nie będzie oczywiście żadnej dalszej przyszłości. Wtedy poza najbliższym tygodniem nie będzie nic innego, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Musiał obmyślić jakąś strategię. Obronę, kontrposunięcie. Co robić?

Właśnie, co? Gdyby po prostu zdecydował się zapłacić te żądane dwieście tysięcy, oznaczałoby to utratę całego majątku. Oszczędności i domu - a i tak by nie starczyło. Musiałby jeszcze wziąć kredyt na przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy. A co potem?

Potem? Nawet gdyby pozwolił, by ogołocono go w ten sposób,

jakie miał gwarancje? Szantażysta wiedział, co wiedział, i raczej tego nie zapomni, a czy coś przemawiało za tym, że zadowolony się otrzymaną sumą?

Nie, nic, brzmiała odpowiedź na jego retoryczne pytanie. Absolutnie nic.

A jak miałby wyjaśnić Verze, że nagle jest bez grosza przy duszy? Jak?

Ergo?

Istniało tylko jedno wyjście.

Zabić go.

Zabić tym razem właściwą osobę. Chociaż kiedy dojeżdżał ostatnimi krętymi i ciasnymi uliczkami przedmiejskiego Boorkhejm, przyszło mu nagle do głowy, że może jednak zabił właściwą osobę. Mimo wszystko.

Poniekąd właściwą. Bo mogły być dwie. Wtedy mogły być dwie. Raczej nie ulegało wątpliwości, że listy, które dotąd dostawał, napisała ta sama osoba, ale przecież mogła je pisać... na przykład żona szantażysty. Nie da się tego wykluczyć, pomyślał. Żona zabitego, która teraz samodzielnie przejęła grę. Przejęła grę i podniosła stawkę.

Z pewnością nie dało się pominąć takiej ewentualności. Postanowił dowiedzieć się, jak nazywał się mężczyzna z Trattorii Commedia, i od tego punktu zacząć poszukiwania. Musiało przecież istnieć jakieś powiązanie - jakiegokolwiek - między nim a tym drugim.

Ten drugi? - pomyślał.

Przeciwnik.

Oddałbym prawą rękę za jego nazwisko.

Czas działał na jego korzyść i niekorzyść.

Oczywiście, że potrzebował czasu, by się przygotować i poczynić plany. Nawet jeśli nie miał zamiaru zebrać pieniędzy, jak obmyślił sobie „przyjaciela”. Nie, potrzebował czasu na coś innego. Na działania. Na ustalenia, na nastawienie się.

Po krótkim jednak czasie wyznaczony termin („dokładnie siedem dni” - to sformułowanie znalazło się w obu listach,

można by się zastanawiać dlaczego) zaczął mu się wydawać zbyt odległy. Co właściwie miał robić? C o? Jakie plany układać? Jakie przygotowania poczynić?

Tymczasem udało mu się jedynie ustalić, jak nazywała się jego druga ofiara. Erich Van Veeteren. Zapisał nazwisko w pamięci - włożył je do tej samej szufladki co Wima Feldersa. Szufladki zabitych. Ale podjęcie konkretnych działań, badanie i grzebanie w prywatnym życiu tego obcego człowieka, to było za dużo. Nie dał rady. Znalazł wprawdzie adres w zwykłej książce telefonicznej i w środę wieczorem patrzył przez chwilę z Ockfener Plejn na brudną od sadzy fasadę, zastanawiając się, które to może być piętro. Stał tam, drżąc od zimnego wiatru, ale nawet nie próbował się przemóc, żeby przeciąć tory tramwajowe, pokonać sześć schodków i przeczytać listę lokatorów przy domofonie.

Wystarczy, że go zabiłem, pomyślał. Nie muszę dodatkowo nawiedzać jego mieszkania.

Tego samego wieczoru porzucił wszelkie myśli o zabawie w detektywa. Uświadomił sobie, że to też mogło być niebezpieczne; policja mogła zwrócić na niego uwagę, na pewno pracowali na pełnych obrotach, żeby wyjaśnić zabójstwo tego młodego mężczyzny. Lepiej skupić się na czekaniu, zdecydował. Zaczekać na dalsze instrukcje, które ze stuprocentową pewnością przyjdą w poniedziałkowej poczcie.

Zaczekać na ten bładoniebieski list i potem spróbować rozwiązać problem w zależności od tego, jakie otrzyma wskazówki co do przekazania pieniędzy.

W jakiś sposób musi się to odbyć, myślał. W określonym czasie i miejscu musi dojść do fizycznego kontaktu między nim a szantażystą.

Czy raczej między nim, pieniędzmi i szantażystą - w tym łańcuchu były trzy ogniwa; mógł się też oczywiście spodziewać, że przeciwnik zadba o swoje bezpieczeństwo jeszcze staranniej niż poprzednim razem. Z całą pewnością; nie miał do czynienia z amatorem, przekonał się o tym dobitnie. Ale

szantażysta musiał w jakiś sposób przejąć pieniądze i musiał mieć jakiś słaby punkt.

Jaki, czas pokaże. Czas i następny list.

Po wyjściu na Ockfener Plejn spędził cały wieczór przed telewizorem w towarzystwie nowej butelki whisky, a kiedy koło północy się położył, łóżko i sypialnia wirowały.

O to mu zresztą chodziło. Musiał chociaż tej nocy przespać najgorsze godziny. Czwartek był dniem wolnym.

W czwartek miała zadzwonić Vera.

Trzy dni bez kontaktu, tak uzgodnili. Ten krótki czas miała wykorzystać na rozmowę z mężem. Powiedzieć o romansie. Uwolnić się.

Kiedy zadzwoniła, była siódma wieczorem, a on nadal odczuwał skutki wczorajszego picia bez umiaru.

Miała zmartwiony głos. Zazwyczaj jej się to nie zdarzało.

- To strasznie trudne - powiedziała.

Zazwyczaj tak nie mówiła. Nic nie odrzekł.

- Widzę po nim, że będzie to dla niego strasznym ciosem.

- Jeszcze mu nie powiedziałaś?

Milczała przez kilka sekund.

- Zaczęłam. Dałam do zrozumienia... wie, co powiem. Unika tego. Gdzieś pojechał, czuję, że tylko z tego powodu... ucieka.

- Przyjdź do mnie.

- Nie mogę. Andreas wróci za kilka godzin. Teraz muszę właściwie wobec niego postępować. Zobaczymy się w sobotę, tak jak się umawialiśmy.

- Kocham cię - zapewnił.

- Ja ciebie też.

- Chyba się nie rozmyśliłaś? - zapytał.

- Musisz mi dać trochę czasu - odrzekła. - Nie, nie rozmyśliłam się, ale czegoś takiego nie da się zrobić na siłę.

Czasu? - pomyślał. Trzy dni. Potem był poniedziałek. Gdyby wiedziała.

- Rozumiem. Najważniejsze, żeby wyszło tak, jak uzgodniliśmy. I żebym mógł zobaczyć się z tobą w sobotę.



- W sobotę jadę na kurs.

-Co?

Zaśmiała się.

- Na mój kurs. Wiesz. Czwarty weekend z rzędu... uwielbiam ten kurs.

Przypomniawszy sobie, co powiedziała o właściwym postępowaniu, ale nie poruszył tego tematu.

- Ja też - wymamrotał. - Potrzebuję cię.

- Masz mnie.

Kiedy skończyli rozmowę, rozplakał się. Przez dobrą chwilę siedział w fotelu, czekając, aż mu przejdzie, i zastanawiając się, kiedy ostatni raz płakał.

Nie przypomniał sobie.

Wziął za to dwie tabletki sobranu.

## 15

- Nie można powiedzieć, żebyśmy posunęli się do przodu  
- stwierdził Reinhart i policzył ekipę śledczą. Zostało pięć z siedmiu osób; Krause przeszedł do Hillera, a Bollmert nadal jeździł po wsiach, polując na podejrzane typy do przesłuchania.

-Ale do tyłu też nie - zauważył Rooth. - To, co wiedzieliśmy przed tygodniem, dzisiaj też wiemy.

Reinhart zignorował tę uwagę.

- Moreno - wywołał koleżankę. - Gdyby pani inspektor zechciała podsumować stan śledztwa, to moglibyśmy wygodniej usiąść i przynajmniej rozkoszować się pięknym głosem.

- Dziękuję - odparła Moreno. - Zdolność mężczyzn do wymyślania ciągle nowych komplementów nigdy nas, samiczek, nie przestanie zadziwiać. Ale może do rzeczy.

Reinhart lekko się uśmiechnął,-ale nic nie powiedział. Moreno przerzuciła kilka stron w notesie, docierając do podsumowania. Odnotowała, że Jung z jakiegoś nieznanego

powodu założył krawat i że deBries ma na nosie plaster. Z jakiegoś innego nieznanego powodu. Wzięła głęboki oddech i zaczęła referować.

- Mamy niejaką pewność co do następujących faktów: Erich Van Veeteren został zabity dwoma silnymi uderzeniami w głowę i kark tępym przedmiotem tuż po osiemnastej we wtorek dziesiątego listopada. Na temat narzędzia zbrodni się nie wypowiadam, może to być jakaś rurka, ale ponieważ jej nie znaleźliśmy, na razie nie ma większego znaczenia. Brak bezpośrednich świadków zabójstwa; parking był pusty, zapadał zmrok i morderca miał nawet czas, żeby zawlec ofiarę w pobliskie krzaki. Rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy przebywali w Trattorii Commedia w chwili morderstwa i przed nim. To znaczy ze wszystkimi oprócz dwóch osób... ofiary i sprawcy, jeśli przyjmiemy, że ten również wszedł do środka. Dziesięcioro gości i czworo pracowników... z nimi wszystkimi rozmawialiśmy. Nikt nie dostarczył żadnych kluczowych informacji poza tym, że troje opowiedziało o osobniku, który miał na krótko usiąść przy barze. Między szóstą a piętnaście po szóstej, mniej więcej. Mamy dość dokładny rysopis i wiele wskazuje na to, że zamaskował się, używając peruki, brody i okularów. .. sporo wskazuje też na to, że on właśnie jest mordercą.

- Przypomnę tylko, że ktoś doszedł do tego wniosku już przed tygodniem - odezwał się Rooth.

- Tak - przyznała Moreno. - Poszukiwaliśmy go przez kilka dni, ale się nie zgłosił, więc chyba punkt dla Rootha. Analizując dalej, żaden ze świadków nie zauważył, by ów Mr X i Erich Van Veeteren - który wyszedł z restauracji zaraz po nim - w jakiś sposób się kontaktowali. Mogli jednak mieć kontakt wzrokowy, Erich siedział przy stoliku, z którego miał całkiem dobry widok na bar.

- Hm - chrząknął Reinhart. - Czeka przez godzinę. Kiedy facet przychodzi, Erich nic nie robi, ale wychodzi za nim na parking, gdzie tamten go zabija. Ujmując to w skrócie. Czy ktoś, do

cholery, może mi powiedzieć, o co chodziło?

- Narkotyki - odezwał się deBries po chwili.

- Inne propozycje? - zapytał Reinhart.

- Nie jestem przekonany, że deBries ma rację - odezwał się Jung. - Ale jeśli przyjmujemy, iż rzeczywiście chodziło o przekazanie jakiegoś towaru, to zastanawiam się nad dwiema kwestiami. Po pierwsze: czy znali się nawzajem? Czy obaj wiedzieli, kto jest osobą kontaktową w restauracji? Czy też tylko jeden z nich znał tożsamość drugiego?

- To była jedna kwestia czy dwie? - zapytał Rooth.

- Jedna. Druga, to który z nich miał dostarczyć towar, a który odebrać.

Na kilka sekund zapadło milczenie.

- W takim razie jeszcze jedno pytanie - dorzucił deBries.

- Jeśli zawierali jakąś transakcję, gdzie się odbyła?

- W ogóle się nie odbyła - wyjaśnił Rooth. - Zamiast tego Mr X zamordował go.

- Gdzie miała się odbyć? - poprawił się deBries i z irytacją dotknął palcami plastra na nosie.

- Z pewnością na parkingu - stwierdziła Moreno. - Jest chyba również oczywiste, że Erich musiał rozpoznać Mr X. Poznał go, kiedy ten wszedł i usiadł przy barze, a potem wyszedł za nim zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

- Możliwe - przyznał Reinhart, zapalając fajkę. - Bardzo możliwe. Przypomina jednak bardziej spotkanie agentów niż transakcję narkotykową. Ale w zasadzie zgadzam się z deBriesem i zakładam, że to Mr X miał coś dostarczyć...

- ...ale nic nie dostarczył - wtrąciła Moreno - tylko zabił odbiorcę.

Znowu na kilka sekund zapadła cisza. Reinhart zamknął oczy i raz po raz wydychywał dym.

- Co nam to właściwie daje? - zapytał Rooth. - i co, do cholery, mogłoby wchodzić w grę, jeśli nie prochy? Czy ktoś poza mną głośuje na znaczek? Takie błędnie wydrukowane cholerstwo, które kosztuje osiemnaście milionów...

- Znaczek? - zdziwił się deBries. - Nienormalny jesteś.

Reinhart wzruszył ramionami.

- Cokolwiek. To mogły być fanty z kradzieży... trefny towar, na którym można zarobić... albo pieniądze, to przecież najprostsze rozwiązanie. Jeden z nich miał za coś zapłacić drugiemu. Z żądaniem pewnej dyskrecji, można powiedzieć. Ale też nie sądzę, że w tej chwili dojdziemy do czegoś więcej. Może czas, żeby zmienić nieco perspektywę. Dopóki nie uda nam się wykryć, co Erich miał tam do roboty, stoimy w miejscu, pod tym względem zgadzam się z Roothem.

- Też się ze sobą zgadzam - zapewnił Rooth.

- Podsumowuję więc burzę mózgów - oznajmiła Moreno.

- Erich rozpoznał w Mr X osobę kontaktową, kiedy ten wszedł i usiadł przy barze. Poszedł za nim, żeby coś od niego dostać, ale zarobił uderzenie w głowę i w kark. Śmiertelne. Dobrze zrozumiałam?

- Myślę, że tak - powiedział Reinhart. - Jakieś obiekcje? Nie? Ale pamiętajcie, do cholery, że to tylko spekulacje. No to przenosimy się na front zachodni. Tam mamy informacji od groma. Marlene Frey i jej notes. Kto chce zacząć? DeBries na ochotnika.

Uporanie się z frontem zachodnim zajęło im godzinę i dziesięć minut. Mieli przesłuchane sto dwie osoby, które z takiego czy innego powodu nawiązały znajomość z Erichem Van Veeterenem. Według zapisków w czarnym notesie z adresami.

Wszystko skrupulatnie nagrano; deBries i Krause spędzili środowe popołudnie i część nocy na odsłuchaniu całego materiału. Udało się też sporządzić listę osób, które kontaktowały się z Erichem w ostatnich tygodniach przed jego śmiercią, listę obejmującą dotychczas dwadzieścia sześć nazwisk. Do przeprowadzenia pozostawały jednak dalsze przesłuchania, tak że można było się spodziewać jeszcze kilku, zanim zostanie zamknięta.

Rezultat nie był w gruncie rzeczy zły, patrząc pod względem ilościowym, ale, jak skomentował deBries, ponieważ nie mieli

na celu badań socjologicznych, trzeba go było uznać za cholernie skąpy.

Ściśle rzecz biorąc, jak dotąd - szesnaście dni po morderstwie i dwanaście po odkryciu ciała - nie znaleźli najmniejszej wskazówki, którą można by określić mianem śladu czy podejrzenia. Nawet przy najlepszej woli, jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Dzięki przesłuchaniom, a przede wszystkim dzięki Marlene Frey, zaczęli w każdym razie rekonstruować, co jej chłopak robił w ostatnich dniach życia; była to dość pracochłonna układanka i na razie nie przyniosła nawet tak małych owoców jak agrest. Jak to zechciał sformułować inspektor kryminalny Rooth.

Nikt nie miał pojęcia, po co Erich Van Veeteren wybrał się do Dikken w ten nieszczęsny wtorek.

Ani jego narzeczona, ani policja, ani nikt inny.

- Na ile Marlene Frey jest wiarygodna? - zapytał Jung. -  
Wziąwszy pod uwagę prochy i inne sprawy.

-- Ja jej wierzę - powiedział Reinhart po chwili zastanowienia.

- Mogę oczywiście się mylić, ale mam wrażenie, że jest całkowicie po naszej stronie.

- W gruncie rzeczy nie ma nic dziwnego w tym, że nic dotąd nie znaleźliśmy - zauważyła Moreno. - Jeśli mimo wszystko natknęliśmy się na sprawcę wśród tych przesłuchiowanych, to trudno oczekiwać, żeby się załamał i przyznał tylko dlatego, że włączyliśmy magnetofon.

- To po co to robimy? - chciał wiedzieć Rooth. - Czy prawo nie nakazuje mówić prawdy policji?

- Hm - chrząknął Reinhart. - Nie doceniasz uroku siedzenia w ciemną noc przy magnetofonie i wyczekiwania na drobne przejęzyczenie mordercy, które go zdemaskuje... no, ale może trudno tego wymagać? Dalej! Co uważacie? Przecież ktoś z nas musi mieć jakiś pomysł... nie liczę tu znaczkowej teorii Rootha. Nam, do cholery, za to płacą. Czy może w waszych rybach mózdkach jest równie ciemno jak w moim?

Rozejrzał się wokół biurka.

- Ciemno choć oko wykol - powiedział w końcu deBries.  
- Ale nagrania są do waszej dyspozycji. Odsłuchanie ich zajmuje tylko osiemnaście godzin. Z pewnością jest tam gdzieś ułamek śladu, ale jaz Krausem się poddaliśmy.  
- Na razie spasuję - oznajmił Rooth.  
- Może by porozmawiać trochę więcej z najbliższymi przyjaciółmi Ericha - zaproponował deBries. - Jest trzech, czterech, którzy całkiem dobrze go znali. Może poprosić ich, żeby spróbowali pospekulować?  
- Można - przytaknął ponuro Reinhart. - Dlaczego nie? Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać?  
Nikt nie chciał. Rooth westchnął, a Jung starał się ukryć ziewnięcie.  
- Dlaczego włożyłeś krawat? - zapytał Rooth. - Nie masz guzików przy koszuli?  
- Opera - wyjaśnił Jung. - Maureen wygrała dwa bilety w pracy. Nie zdążę pojechać do domu się przebrać, wieczorem pojedę prosto stąd.  
- To uważaj, żebyś dzisiaj się nie pobrudził.  
Jung nie miał żadnego komentarza. Reinhart znowu zapalił fajkę.  
- Nie, do przodu się nie posuwamy. Ale jesteśmy przecież tytanami cierpliwości, możemy więc chyba patrzeć w przyszłość z pewnym optymizmem.  
- Wszystko w swoim czasie - powiedział Rooth.  
- Rozmawiałeś ostatnio z komisarzem? - zapytała Moreno.  
- Od kilku dni nie - odparł Reinhart.  
Van Veeteren pojechał do Dikken tramwajem. W tym parkingu było coś, co wykluczało przyjazd samochodem.  
Może po prostu ryzyko, że zaparkuje akurat w miejscu, gdzie został zamordowany jego syn.  
Poza tym parking był pusty i wyludniony jak pewnie zwykle O tej porze roku. Załedwie cztery samochody oraz podparta naczepa ciągnika siodłowego. Nie wiedział, gdzie dokładnie znaleziono ciało; do wyboru miał kilkaset metrów krzaków.

Nie chciał też wiedzieć. Na co by mu się to zdało?

Przeszedł szybkim krokiem przez plac i wszedł do Trattorii Commedia. Bar znajdował się na wprost drzwi, w tym momencie siedziało tam przy piwie dwóch starszych mężczyzn w pomiętych marynarkach. Barmanem był młody człowiek w żółtej koszuli i z kitką, który nieco roztargniony kiwnął mu głową.

Van Veeteren odwzajemnił pozdrowienie i wszedł głębiej do restauracji. Trzy stoliki z osiemnastu były zajęte; wybrał stolik, z którego miał widok na bar i usiadł.

Może właśnie tutaj siedział Erich, pomyślał.

U kelnerki o blond warkoczach zamówił danie dnia: kotlety jagnięce z zapiekаныmi ziemniakami. I kieliszek czerwonego wina.

Zabrało to pół godziny - czekanie na potrawę i zjedzenie. Smakowało nie najgorzej, stwierdził. Nigdy wcześniej tu nie zajrzał i z oczywistych względów więcej nie zamierzał, ale najwyraźniej mieli przyzwoitą kuchnię. Golfiści na ogół chyba nie zadowalali się byle czym.

Zrezygnował z deseru. W zamian wypił przy barze kawę i mały koniak.

Może właśnie tutaj siedział morderca, pomyślał. Może siedzę na tym samym stołku co zabójca mojego syna.

Kiedy barman podszedł, żeby dolać mu kawy, zapytał go, czy pracował tamtego wieczoru.

Tak, potwierdził młodzieniec. Pracował. Dlaczego pyta?

Van Veeteren przez chwilę zmagął się ze sobą, zanim odpowiedział:

- Policja.
- Znowu? - Barman wyglądał na średnio uradowanego.
- Rozumiem, że miał pan tu policjantów jak much. Ja jestem z innego wydziału.
- Z jakiego? - zainteresował się barman.
- Z wydziału specjalnego - poinformował Van Veeteren.
- Moglibyśmy trochę porozmawiać?

Barman zawahał się.

- Nie mam w tej chwili za dużo roboty - przyznał.

- Ta kielbaska jest darem bogów dla ludzkości - oznajmił Rooth.

- Widać to po tobie. - Jung spojrział na kolegę, który przeżuwał z przymkniętymi oczami i wyrazem niezziemskiego błogostanu na twarzy. - Miło wiedzieć, że masz również duchową stronę.

- To czosnek nadaje jej smak. - Rooth otworzył oczy. - Stara, dobra roślina lecznicza. Mam teorię.

- No proszę. Znowu znaczki?

- Lepiej. - Rooth napełnił usta sałatką ziemniaczaną.

Jung czekał.

- Mógłbyś się zdecydować, czy jesz, czy mówisz? Ułatwiłoby mi to posiłek.

Rooth skinął głową i przełknął.

- Dobra. Przyszło mi coś do głowy podczas dywagacji tam, na górze.

-Tak?

- Szantaż.

- Szantaż?

- Właśnie - potwierdził Rooth. - To by pasowało. Posłuchaj. Erich Van Veeteren jest szantażystą. Ma na człowieka jakiegoś haka, wyznaczył cenę za swoje milczenie i pojechał do Dikken, żeby skasować zapłatę. Ofiara szantażu nie chce bulić, więc go morduje. Proste jak konstrukcja drutu, popraw mnie, jeśli nie mam racji.

Jung zastanowił się.

- Niewykluczone. Teoria trzyma się kupy. Dlaczego nic nie powiedziałeś na odprawie?

Rooth nagle się zakłopotał.

- Wpadłem na to pod sam koniec - wyjaśnił. - Nie sprawialiście wrażenia zbyt otwartych. Nie chciałem już przeciągać.

- Byłeś głodny?

- To twoja interpretacja.



- Jeśli spojrzeć na to jak na raka - powiedział Reinhart - będzie to dość wyraźne.

- Biały człowiek mówi rozdwojonym językiem - odpowiedziała Winnifred, która była w jednej czwartej aborygenką.

- Co przez to rozumiesz?

- Wyrażaj się jaśniej, proszę.

Leżeli w wannie. To, że Winnifred Lynch, urodzona w Australii, ale wychowana i doktoryzowana w Anglii, zamieszkała z Reinhartem i urodziła mu dziecko, było w dużej mierze zasługą tej wanny. Tak przynajmniej twierdziła, kiedy pytał, czy naprawdę go kocha.

Wanna była duża i głęboka. Zabudowana. Wyłożona na zewnątrz małymi zielonymi i niebieskimi kafelkami, tworzącymi nieregularną mozaikę, z okazałym miedzianym kranem pośrodku. Dość pojemna, by zmieścić dwoje dorosłych ludzi. Półożących po obu stronach. Tak jak teraz. Wygodnie ze sobą splecionych. Urządzenie łazienki przed dwunastoma laty kosztowało Reinharta dwie miesięczne pensje.

Ale, jak widać, opłaciło się.

- Rak - powtórzył. - Guz daje przerzuty, jeśli nie, często pozostaje niewykryty. Tak samo jest w niektórych śledztwach, to miałem na myśli. Na przykład w tym dotyczącym syna komisarza. .. na razie jasne?

- Na razie tak.

- Świetnie. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego tylko można było się dowiedzieć o tych wydarzeniach. A jednak nie mamy żadnego punktu zaczepienia, co raczej kiepsko rokuje, że sprawę rozwiążemy... chyba że nastąpi pączkowanie.

- Pączkowanie?

- Przerzuty. Musi wydarzyć się coś więcej. Właśnie to próbuję wyjaśnić. Jeśli popełnisz tylko jedno przestępstwo - zabijesz kogoś, obrabujesz bank, cokolwiek - i na tym poprzestaniesz, masz spore szanse wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości.

Zwłaszcza jeśli poza tym jesteś w miarę praworządnym obywatelem. Ale zazwyczaj nie kończy się na tym pierwotnym guzie... przestępstwo daje przerzuty, myje odkrywamy i ustalamy, skąd się wzięły. W ten sposób docieramy do gówna. Rozumiesz?

Winnifred westchnęła.

- Błyskotliwa metaforyka - stwierdziła, poruszając palcami u nóg pod jego pachami. - Przestępczość jako rak na żywej tkance społeczeństwa... oryginalne, przyznaję. Nie słyszałam nic równie trafnego od kilku godzin.

- Głównie chodziło mi o te przerzuty.

- Okej. Musi nastąpić pączkowanie, inaczej nie znajdziecie mordercy Ericha, to jest konstatacja?

- Mniej więcej. Obecnie drepczemy w miejscu... nawet nie na stałym gruncie, tylko w wodzie, jeśli chcesz mieć bardziej trafny...

Urwał, bo Winnifred ugryzła go w łydkę.

-Aj.

- Czy coś przemawia za tym, że pączkowanie nastąpi?

Reinhart zastanowił się.

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Rak jest nieprzewidywalny.

- Prawda - przyznała Winnifred. - Ale jeśli wymasujesz mi stopy i podasz fakty ze sprawy, zobaczę, co mogę zrobić.

- Uczciwa transakcja. Jak tylko wyciągniesz stopy spod moich pach.

U Ulrike pojawiła się nowa cecha, której wcześniej nie zauważył. Pewna ostrożność. Rozmyślał o tym przez kilka dni, a kiedy odebrała go z antykwariatu w czwartek wieczorem po pracy, poruszył tę kwestię.

- Ostrożność? - zapytała. - Co masz na myśli?

- Patrzysz na mnie jak na pacjenta. Przestań. Mój syn został zamordowany i jeśli od tego zwariuję, będę miał dość tych cholernych terapeutycznych spojrzeń w szpitalu.

- Co, u diabła...?

Idąc pod ramię, minęli w milczeniu Yorrick's Café i wtedy

przystanąła.

- Okej, może masz rację. Koniec z fałszywymi względami, ale za to mógłbyś naprawdę czasami otworzyć buzię.

- Hm.

Ulrike spojrzała na niego z pionową zmarszczką między brwiami.

- Zgadzam się z tobą, że żałoba doskonale może być milcząca - powiedziała - ale nie wierzę, że jest to najlepszy sposób uczczenia zmarłych. Powinniśmy ich opiewać, a nie oplakiwać... jak w Meksyku czy gdzie to było. Dzień zmarłych i takie rzeczy. Milcząca żałoba jest dla tych, co ją kultuwują.

Van Veeteren rozważał przez chwilę jej słowa.

- Może - przyznał. - Tak, jeśli człowiek ma jednak żyć dalej, musi pewnie od czasu do czasu otworzyć buzię.

Nagle głośno się roześmiała. Objęła go i ucisnęła tak mocno, że zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno dałby jej radę w uczciwym pojedynku na rękę. Gdyby rzeczywiście musiało do tego dojść.

- Poddaję się - powiedział. - Jak uważasz...?

- Co takiego? - Puściła go.

- Jak uważasz, czy możemy znaleźć kompromis... coś pomiędzy pacjentem a sparingpartnerem? Myślę, że nasz związek by na tym zyskał.

Uśmiechnęła się i wzięła go znów pod rękę, poszli dalej.

- To, co próbujesz opisać, to mężczyzna idealny - objaśniła.

- Taki nie istnieje. Muszę chyba spodziewać się na przemian to pacjenta, to sparingpartnera... ale nie szkodzi. Niczego innego nie oczekiwałam. Teraz pójdziemy do Marlene, zobaczyć, czy ma jakieś zdjęcia.

Nastąpił w końcu ten pierwszy raz, ale wizyta była krótka. U Marlene Frey szwankował piec; temperatura w mieszkaniu wahała się od dziesięciu do dwunastu stopni i Marlene szykowałą się właśnie do przeprowadzki do przyjaciółki.

Wyszukała jednak z dziesięć zdjęć Ericha - niektóre przedstawiały zresztą ich oboje. Ma trochę więcej, wyjaśniła, ale nie

za dużo. Chciała oczywiście zachować kilka dla siebie, może spotkaliby się kiedy indziej i podzielili nimi? Kiedy nie będzie tak diabelnie zimno. Można też zrobić odbitki, jeśli zostały negatywy, a zostały. W każdym razie większość.

- Jak z...? - zapytał, zerkając kątem oka na jej brzuch.

- W porządku - zapewniła. - Nadal tam jest.

Widać było, że jest zestresowana; nie przypominała tej Marlene, z jaką spotkał się u Adenaara. Z Ulrike wymieniła tylko uścisk dłoni i przelotny uśmiech. Krótka wizyta pozostawiła pewien niesmak.

- Nadinterpretujesz - powiedziała Ulrike, kiedy pół godziny później znaleźli stolik w Krausie. - O co łatwo, kiedy człowiekowi samemu brakuje równowagi.

- Równowagi? - powtórzył Van Veeteren. - Nie wiem, co to jest, odkąd poszedłem do szkoły.

Czekając na Reinharta, skręcił cztery papierosy i wypalił dwa. Vox nie był lokalem, który zwykł odwiedzać, wybrał go Reinhart. Obawiał się, że jeśli zostaną za długo, będą musieli słuchać jazzu. Na afiszu przy wejściu widniała taka zapowiedź, a w głębi brązowobrudnej, zadymionej sali znajdowała się mała scena.

Nie był jakimś zagorzałym przeciwnikiem jazzu. Reinhart twierdził, że kiedy człowiek słucha - albo jeszcze lepiej, sam jest wykonawcą - nowoczesnego, improwizowanego jazzu, wtedy jego inteligencja rośnie w postępie geometrycznym. Jak funkcja wykładnicza czasu, koncentracji i spożytego alkoholu... czy coś w tym rodzaju; nie zawsze słuchał Reinharta do końca. Jednak dzisiaj dziękuję, pomyślał. Za wcześnie. Po śmierci Ericha nie miał większej ochoty na słuchanie ulubionej muzyki, nie trawił nawet Williama Byrda i Monteverdiego, tym bardziej nie zniósłby w tej chwili zgrzytliwych saksofonów.

Napił się ciemnego piwa i czekając na Reinharta, zastanawiał się. Zastanawiał się nad tym, co właściwie stało się w tych dniach z jego myślami i świadomością. Nad rozdarciem. Było to nieprzyjemne. Oscylowanie między stanami. Między tym

zwykłym: jego zaprawioną wiarą - niezbyt optymistyczną, ale znośną - w coś prawego pośród ciemności. W pewne wzorce. Pozytywną rezygnacją, żeby zapożyczyć wyrażenie starego Borkmanna. Z drugiej strony ten nowy stan: czarna beznadzieja. O którą wcześniej wielokrotnie się ocierał - zwłaszcza w pracy - ale która nigdy nie zdołała porwać go w swe szpony.

Nie w ten sposób. Nie na całe godziny. Czasami na pół dnia.

Niezdolny do działania. Niezdolny do myślenia.

Niezdolny do życia?

Muszę położyć temu kres, pomyślał. Muszę pójść w jakimś kierunku. To Erich umarł, ja dalej żyję. Każde życie się kiedyś kończy, jedno za wcześnie, drugie za późno. Nic tego nie zmieni... a ja nie chcę na dodatek stracić Ulrike.

Reinhart pojawił się o wpół do dziesiątej, pół godziny spóźniony.

- Przepraszam. Joasia ma zapalenie ucha. Strasznie bolesne. W twoich czasach dzieci też na to chorowały?

Van Veeteren skinął potakująco głową. Reinhart rzucił okiem na jego opróżniony do połowy kufel i dał znak ręką, żeby podano dwa nowe.

- Jak idzie? - zapytał Van Veeteren, kiedy dostali piwo i wypili po łyku. Reinhart zapalił fajkę i podrapał się po krótkich szpakowatych włosach.

- Tak sobie.

- Tak sobie? Co to, do cholery, znaczy? Nabawiłeś się afazji?

- Nie posunęliśmy się zbyt do przodu - sprecyzował Reinhart. - Czego właściwie chcesz? Poznać każdy pieprzony szczegół?

Van Veeteren ubił tytoń w papierosie, uderzając nim o blat, i zapalił.

- Tak. Interesuje mnie każdy pieprzony szczegół.

Zajął to trochę czasu i kiedy Reinhart skończył, na scenie trwał już występ. Tylko pianista i niegłośno śpiewająca ciemnoskóra piosenkarka, tak że bez problemu się słyszeli.

Van Veeteren spostrzegł, że był niesprawiedliwy w swoich z góry sformułowanych ocenach; piosenkarka miała przyjemnie niski głos, który przypominał mu wrzący aksamit (o ile aksamit może wrzeć i do tego wydawać dźwięki) i stwarzał coś w rodzaju przyjemnego dystansu wobec słów Reinharta. Zamykał śmierć Ericha i wszystkie jej okoliczności w czymś na kształt delikatnego, niemal zmysłowego całunu. Uświadomił sobie nagle, że Erichowi by się to spodobało.

Żaloba i cierpienie, pomyślał. Nie unikniemy ich. Jedyne, co możemy zrobić, to przyjąć je z otwartymi ramionami i właściwie ukierunkować. Zamknąć. W sztuce, w rytuałach czy innych dostępnych nam formach... byle tylko nie pozwolić, by wały się jak kłęby kurzu w kącie.

- Tak to z grubsza wygląda - podsumował Reinhart. - Sprawcę mamy wytypowanego, jest nim ten facet przy barze. To musi być on, wszystko na to wskazuje, ale nie mamy żadnej przekonującej hipotezy, co Erich tam robił. Czy miał zamiar robić. Można snuć takie czy inne domysły, ale okłamałbym cię, twierdząc, że mamy coś więcej.

- Rozumiem - powiedział Van Veeteren.

Reinhart przez chwilę niezdecydowanie bawił się fajką i tytoniem.

- Nadal bardzo ci zależy na tym, żebyśmy go złapali?

Van Veeteren przez moment przyglądał się piosence, zanim odpowiedział. Ta dziękowała właśnie za rozproszone oklaski i zapowiadała krótką przerwę.

- Tak. Coraz bardziej z każdym dniem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy na początku, ale to jest chyba zakorzenione w genach... człowiek musi odnaleźć mordercę swojego syna.

- Na pewno zakorzenione w kulturze - powiedział Reinhart. - i w mitologii.

- Mam gdzieś, czy to mity, czy coś innego. Chcę, żebyście go złapali. Złapiecie?

- Już ci to obiecałem.

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę.

- Masz mi za złe, że wtrącam się do śledztwa? Jeśli tak, to powiedz, do cholery.

Reinhart uniósł kufel.

- Uznałbym za cholernie dziwne, gdybyś się nie wtrącał. Zdrowie.

- Zdrowie. - Van Veeteren dopił piwo. - Wracaj do domu i zajmij się córką. Ja chyba jeszcze tu posiedzę i posłucham następnego występu tej piosenkarki.

-I słusznie - powiedział Reinhart, podnosząc się.

## 17

W piątek po pracy pojechał odwiedzić ojca. Od ostatniego razu minęły ponad dwa miesiące, no i był to sposób na zabicie czasu. Dom starców Oesterle znajdował się w Bredenburg, kawałek za Loewingen; pojechał przez Borsens, żeby uniknąć największego ruchu i dotarł na miejsce tuż po kolacji.

Ojciec siedział jak zwykle w łóżku, oglądając swoje ręce. Za zwyczaj nakłonienie go, by podniósł wzrok, trwało dobrą chwilę, ale tym razem uczynił to niemal natychmiast. Ledwie przystawił krzesło do brzegu łóżka i usiadł, ojciec wolno uniósł głowę i spojrzał na niego przekrwionymi, zażawionymi oczami. Może nawet przez sekundę go rozpoznał. Albo było to tylko złudzenie.

Dlaczego miałby go poznać właśnie dzisiaj, skoro nie poznawał od sześciu lat?

Po półminucie broda znowu osunęła się na pierś i starzec powrócił do studiowania swoich rąk, które leżały na niebieskim kocu i okręzały się nawzajem w ciągle powtarzanym, powolnym ruchu.

Został przez dziesięć minut. Dłużej nie wytrzymał. Nie dostrzegł żadnej znajomej pielęgniarki ani opiekunki i nie zadał sobie trudu, by zapytać o stan ojca.

Jak z nim? Czy dobrze się czuje?

Pytania pozbawione sensu. Pozbawione sensu od wielu lat, był

zadowolony, że nie musi ich zadawać. Wielokrotnie zastanawiał się, czemu właściwie służyło utrzymywanie go przy życiu, ale nikt ze szpitala nie zająknął się nawet o eutanazji, a on nie chciał być pierwszy. Jego siostra w Ameryce też byłaby przeciwko, nie musiał pytać.

Tak więc jego ojciec siedział, gdzie siedział. Nigdy z nikim nie rozmawiał, nigdy nie czytał książki ani gazety. Nie oglądał telewizji, nie słuchał radia. Teraz nie wstawał już z łóżka, nawet żeby pójść do toalety; jedyną oznaką jakiejś takiej świadomości było to, że otwierał usta, kiedy zbliżała się łyżka z jedzeniem.

Mój ojcie, pomyślał. Kiedyś będę taki jak ty. Dziękuję za wizytę.

I zdecydował się żyć, póki czas.

Noc z piątku na sobotę miał ciężką. Z myślą o odwiedzinach Very odstawił whisky. Nie mógł pozwolić, by weszło mu to w nawyk. Nie chciał również nadużywać sobronu. Wziął słabszą tabletkę nasenną, ale tylko poczuł się przez nią ocieężały i miał lekkie mdłości.

Postanowienie, by poczekać z decyzją do poniedziałkowego listu, było słuszne, jedyne możliwe, ale nie uwolniło go od natłoku myśli.

Uporczywe czarne myśli i wizje, co się z nim stanie. Spekulacje, jaki scenariusz transakcji przedstawi „przyjaciół” tym razem. I co on sam będzie zmuszony zrobić. Jeszcze raz.

Jeśli w ogóle będzie miał okazję.

Zabić.

Zabić po raz ostatni i ostatecznie określić stare życie. Bez potrzeby rozrachunku czy patrzenia wstecz. Tylko obudzić się i rozpocząć nowy, niezbrukany dzień.

Chciałby już być po tamtej stronie.

Chciałby, żeby już było po wszystkim. Żyć, póki czas?

Kiedy ostatni raz spojrział na zegarek, była za dziesięć szósta.

Padało, kiedy obudził się kilka godzin później. Ciągły deszcz i silny wiatr zacinający nim w okna. Został w łóżku, przez chwilę



się wsłuchując w odgłosy ulewy. Potem wstał i wziął prysznic. Przedpołudnie i wczesne godziny popołudniowe spędził, przygotowując wieczorną kolację. Posprzątał, posortował pranie i odkorkował wino, żeby się wietrzyło. Tuż po drugiej zadzwonił Smaage i przypomniał, że w najbliższy piątek wypada kolejne spotkanie Braci; porozmawiali chwilę i potem był zdziwiony, jak łatwo mu poszło. Jak swobodnie. A przecież zaczęło się po poprzednim spotkaniu... to po tym ostatnim cholernym spotkaniu z Braćmi jego dawne bezpieczne życie urwało się i zostało rzucone na nowe szalone tory. Obiecał Smaagemu, że przyjdzie, jeśli nie nastąpi nic nieprzewidzianego, a kiedy wymówił to słowo, poczuł, jak na moment zakręciło mu się w głowie. Smaage życzył mu miłego weekendu i odłożył słuchawkę.

Przygotowania zakończył godzinę przed czasem i nie miał nic innego do roboty, jak siedzieć i czekać na Verę. Między czwartą a piątą, kiedy zapadał zmrok, a wiatr jakby nieco zelżał. Deszczowe chmury jednak wciąż nadciągały i odpływały; przez dobrą chwilę stał przy oknie w sypialni, patrząc na niskie, niespokojne niebo nad rzadkim zagajnikiem rosnącym z tyłu domów szeregowych.

Stał w ciemności, zmagając się z zupełnie nową myślą.

Chcę jej powiedzieć. Zrozumie. Bylibyśmy w tym we dwoje i moglibyśmy się nawzajem wspierać. Ma to przecież sens?

Punktualnie o piątej zadzwoniła do drzwi. Kiedy szedł otworzyć, poczuł nagle, że uginają się pod nim kolana.

To był ich najpoważniejszy wieczór. W jej zachowaniu, przynajmniej na początku, wyczuł pewną rezerwę i nawet jeśli nie powiedziała tego wprost, widać było, że ciąży jej sytuacja z Andreasem.

Ciężyło jej, że musi powiedzieć mężowi, że zamierza go zostawić dla innego. Rozumiał, że jej trudno. Domyślił się również, że wbrew obietnicom nie przyparła go jeszcze do muru. Ale nie naciskał. Nie pozwolił, by zniecierpliwienie czy zawód wzięły nad nim górę. Mimo to nad ich spotkaniem kładł

się cieniem nastrój, który nigdy wcześniej się nie pojawił, i zaczęli się kochać dopiero po wypiciu prawie trzech butelek wina.

Było równie wspaniale jak zawsze. Może nawet wspanialej; przemknęła mu myśl, że dzieje się tak za sprawą gorzkiej domieszki nastroju upadku, ale zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Doprowadził Verę do szczytowania cztery czy pięć razy, a potem ona położyła głowę na jego piersi i rozplakała się. On sam miał w głowie pustkę jak po wybuchu jądrowym.

Powoli wysączyli jeszcze jedną butelkę wina; miał uczucie, że krew wreszcie znowu zaczęła płynąć w jego żyłach. Nieco później wziął ją ponownie - trochę brutalniej, jak lubiła - na stole w kuchni. Na zakończenie wypili po szklaneczce glenliv.

Przez resztę życia miał żałować tej szklaneczki whisky, bo właśnie przez nią opuścił go rozsądek i wydał na zgubę. Innego wyjaśnienia nigdy nie szukał.

Nie mogło być innego wyjaśnienia.

Kiedy mył się w łazience, uświadomił sobie, że jest porządnie pijany - bardziej niż na przykład tamtego wieczoru - ale również, że musiało to nastąpić. Potrzebował tego; dylematy i wątpliwości, które dręczyły go w ostatnim tygodniu, znikły bez śladu i kiedy przyglądał się swojej twarzy w lustrze, widział wyłącznie siłę.

Siłę i zdolność do działania.

Uśmiechnął się do swojego odbicia i wrócił do sypialni. Usiadł na brzegu łóżka i przez chwilę kciukiem i palcem wskazującym skubał brodawkę jej piersi. Uśmiechnęła się do niego.

Teraz jej powiem, pomyślał.

Zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd, w tej samej chwili, gdy zobaczył jej spojrzenie.

Vera Miller zrozumiała, że popełniła straszliwy błąd, obrzucając go takim spojrzeniem, w tej samej chwili, gdy zobaczyła, jak on wstaje i idzie po coś do przedpokoju.

## IV

18

Jochen Vlaarmeier był kierowcą autobusu na trasie Maardam-Kaustin od ponad jedenastu lat.

Sześć kursów w każdą stronę. Dzień w dzień. Nie licząc oczywiście dni wolnych według zmiennego grafiku i jednego czy dwóch tygodni urlopu.

Pierwszy i ostatni kurs były do pewnego stopnia pozbawione sensu. Choć tylko do pewnego stopnia. Nie istniał żaden racjonalny powód, żeby jechać do Kaustin o wpół do siódmej rano ani żeby wyjeżdżać z tej wioski dwanaście godzin później. Jednak autobus garażował w nocy przy Leimaar Allé, a Vlaarmeier nie miał nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zrobić pusty kurs. Absolutnie nic. Z biegiem lat zaczął postrzegać pasażerów jako uciążliwy element swojej pracy i zwłaszcza wieczorny kurs z powrotem do miasta zaliczał do najlepszych chwil w życiu. Żadnego ruchu na drogach. Pusty autobus i jeszcze jedna dniówka zaliczona. Czego więcej można chcieć?

W niedzielę liczba kursów była zredukowana do czterech. Dwa w każdą stronę. Wyjeżdżał o dziewiątej rano - zawsze na sto procent pusto - i wracał o dziesiątej z ładunkiem czterech chłopek, które wybierały się na sumę do Kościoła Keymerskiego. Ich własny z jakiegoś powodu im nie odpowiadał. Albo może był zamknięty. Vlaarmeier nie przepadał za religią, odkąd student teologii ze śladowym zarostem odbił mu dziewczynę, trzydzieści lat temu.

O drugiej wiozł chłopki do domu. Był już wtedy po kawie z drożdżówką w kawiarni Heimera przy Rozenplejn.

Zawsze ta sama czwórka. Dwie niskie pękate, dwie przygarbione mizeroty. Wiele razy zastanawiał się, dlaczego firma nie

podstawi taksówki. Wyszłoby dużo taniej.

Tej zimnej niedzieli - 29 listopada - jechały tylko trzy, gdyż panna Willmot, jedna z pękaty, leżała złożona grypą. Niezwłocznie powiadomiła go o tym zziębnięta od wiatru pani Glock, kiedy wsiadła do autobusu koło szkoły.

Trzydzieści osiem i dwie kreski, i powiększone migdałki, dowiedział się. Z nosa jej leci i jest obolała. Tak dla informacji.

To również pani Glock zaczęła krzyczeć tak, że omal nie wjechał do rowu. Nastąpiło to tuż przed długim zakrętem prowadzącym do wioski Korrim i miał wrażenie, jakby wleciała mu do ucha mewa.

Wyprostował autobus i spojrzął w lusterko wsteczne. Zobaczył, że staruszka na wpół uniosła się z siedzenia i wali ręką w szybę.

- Zatrzymać autobus! - krzyczała. - Boże święty, zatrzymać na Boga!

Jochen Vlaarmeier zahamował i stanął na poboczu. Cholera, pomyślał. Któraś dostała wylewu.

Kiedy jednak popatrzył w głąb autobusu, wydawało się, że wszystkie trzy są w dobrej formie. W każdym razie nie gorszej niż zwykle. Dwie siedzące bardziej z tyłu gapiły się z otwartymi paszczami na panią Glock, która nadal waliła w okno, wyrzucając z siebie niezrozumiałe słowa. Westchnął, opuścił kabinę i podszedł do niej.

- Ciszka na morzu - powiedział. - Załatwimy to trochę spokojniej. Co, u licha, się z panią dzieje?

Ucichła. Wpatrując się w niego, przełknęła dwa razy ślinę, aż kliknęła proteza.

- Zwłoki. Kobieta... martwa.

-Co?

Pokazała w tył, w stronę czerniejącego pola.

- Tam. Na poboczu... zwłoki.

Potem osunęła się na siedzenie, obejmując głowę dłońmi. Dwie pozostałe kobiety szybko zbliżyły się i niepewnie zaczęły dodawać sobie odwagi.

- Zwłoki? – zapytał Vlaarmeier.

Ponownie postukała w szybę, pokazując palcem. Vlaarmeier zastanawiał się przez dwie sekundy. Potem otworzył pneumatyczne drzwi, wysiadł z autobusu i ruszył wzdłuż pobocza.

Odkrył jaokoło dwudziestu pięciu metrów dalej. Ukośnie nad płytkim rowem, który oddzielał drogę od świeżo zaoranego pola, leżały zwłoki kobiety. Zawinięte były w płat materiału wyglądający prawie jak prześcieradło... bardzo brudne i lekko furkoczące prześcieradło, które odsłaniało jedną nogę i górną część tułowia; między innymi dwie duże białe piersi i ręce rozłożone pod nienaturalnym kątem. Leżała na plecach z twarzą zwróconą ku niebu, ale niemal w całości zakrytą mokrymi rudymi włosami, które sprawiały wrażenie przyklejonych.

Syf, pomyślał Vlaarmeier. Syf malaria. Potem zwymiotował całe swoje obfite śniadanie - kaszkę, kielbaski i jajka - i chwiejnym krokiem wrócił do autobusu, żeby zadzwonić.

Kiedy komisarz Reinhart i inspektor Moreno dotarli do wioski Korrim, zaczął padać śnieg. Duże białe płatki wirowały na otwartej przestrzeni i wtapiały się w błyszczącą wilgocią czarną ziemię.

Radiowóz z dwoma posterunkowymi, Joensuu i Kellermanem, był już na miejscu. Joensuu ustawił się na drodze obok martwej kobiety, plecami do niej, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Szeroko rozstawione nogi, nieprzekupny. Kellerman znajdował się przy autobusie, z notesem i długopisem, zajęty rozmową z kierowcą i pasażerami. Trzy stare kobiety przywarły do boku złotego autobusu, jakby szukały u siebie nawzajem ciepła, wszystkie trzy w ciemnych płaszczach i zniszczonych kapeluszach; Reinhartowi przyszły na myśl nastroszone wrony, które sfrunęły na drogę, żeby poszukać resztek jedzenia. Szofer Vlaarmeier krążył nerwowo, paląc papierosa.

Dlaczego nie wejdą do autobusu? - pomyślał Reinhart. - Nie

zauważyli, że pada śnieg?

Polecił Moreno, by wsparła Kellermana. Poszedł w stronę Joensuu, żeby popatrzeć na to, na co musiał popatrzeć.

Najpierw przez dwie sekundy. Później zamknął oczy na pięć. I spojrzął ponownie.

Tak miał zwyczaj robić. Nie wiedział, czy rzeczywiście łagodziło to wstrząs, ale z biegiem lat stało się pewnym rytuałem.

Martwa kobieta. Najprawdopodobniej naga, niedokładnie zawinięta w coś przypominającego prześcieradło, dokładnie tak, jak Vlaarmerier podał przez telefon. Leżała niemal płasko na plecach, głowa spoczywała na skibie wilgotnej ziemi, nogi sięgały wąskiego pasa trawy rosnącego przy samej jezdni. Czerwone paznokcie u nóg w samym środku tragedii, odnotował; wyglądało to niemal surrealistycznie, wzmacniało w każdym razie poczucie nierzeczywistości. Dość zgrabna, o ile mógł ocenić. Przypuszczalnie między trzydziestką a czterdziestką, choć oczywiście tylko zgadywał. Twarz przesłaniały półdługie ciemnorude włosy. Płatki śniegu spadały naturalnie również na nią-jakby niebo chciało przykryć to, na co nie chciało patrzeć, przebiegło mu przez głowę. Delikatne otulanie... to właśnie była taka myśl, jakie pojawiały się w sytuacjach podobnych do tej. Słowa, zwroty i obrazy; ta sama daremna próba przesłonięcia rzeczywistości, jaką podejmowało niebo.

- Cholerstwo - powiedział Joensuu. - Ładna babka. To znaczy nie teraz...

- Jak długo tu jesteście?

Joensuu spojrzął na zegarek.

- Czternaście minut. Dostaliśmy wezwanie dziesiąta trzydzieści dziewięć. Pięćdziesiąt osiem byliśmy tutaj.

Reinhart skinął głową. Zszedł z jezdni do rowu. Pochylił się nad zwłokami i przyglądał im się przez kilka sekund.

- Krew - powiedział Joensuu, nie odwracając się. - Na prześcieradle jest krew. I na głowie. Ktoś jej tam przyłożył.

Reinhart wyprostował się i zacisnął ręce w kieszeniach. Tak z

pewnością było. Prześcieradła - bo chyba zawinięto ją w dwa - miały plamy nie tylko od ziemi i brudu; nad jednym barkiem widniały smugi i ślady kropel i dokładnie tak jak powiedział Joensuu, włosy po lewej stronie skleiło coś, co mogło być jedynie krwią.

Chyba że była to masa mózgowa.

Nadjechały dwa kolejne samochody. Reinhart przywitał się z podkomisarzem Schultzem, szefem zespołu techników, który ważył sto dwadzieścia kilo.

- Śnieg pada - skonstatował ponuro Schultze. - Diabli nadali, musimy skombinować zadaszanie.

Reinhart przez chwilę przyglądał się, jak pomocnicy Schultzego wbijają metalowe pręty w miękką ziemię i rozpinają cienką płachtę metr nad ofiarą. Życzył im powodzenia i wrócił do autobusu. Rozkazał Kellermanowi, żeby dołączył do Joensuu i razem z nim porządnie odgrodził teren.

I żeby ogólnie byli pomocni Schultzemu i jego ludziom.

Moreno wydobyła tę odrobinę informacji, jaką dało się wydobyc od pasażerek i kierowcy. Przejeżdżali autobusem, jedno z nich przypadkiem dostrzegło zwłoki, tylko tyle. Po sprawdzeniu nazwisk i adresów Reinhart pozwolił im odjechać. Wywiązała się przy tym krótka dyskusja, bo żadna z kobiet nie miała już ochoty iść do kościoła - suma zresztą już trwała. Vlaarmeier w końcu się poddał, zgodził się zawrócić i zawieźć je z powrotem do Kaustin.

Rozkład jazdy i tak diabli wzięli, a innymi pasażerami nie musiał się przejmować. W niedzielę ich nie było.

Pół godziny później również Reinhart i Moreno opuścili miejsce znalezienia zwłok, mając pierwszy, ustny raport Schultzego: ofiarą była rudowłosa kobieta średniego wzrostu, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Została zabita kilkoma uderzeniami w głowę i kark, prawdopodobnie w nocy albo nad ranem. Raczej nie później niż o czwartej, wzięwszy pod uwagę *rigor mortis*. Była całkowicie naga, nie licząc dwóch prześcieradeł, w które ją zawinięto. Zapewne ciało wyrzucono

na pobocze z samochodu. Technicy nie zabezpieczyli żadnych śladów, które mogłyby mieć wartość dla przyszłego śledztwa, ale nadal przeszukiwali miejsce i mieli to robić jeszcze przez kilka godzin.

Zarówno pod zadaszeniem, jak i wokół niego.

Kiedy Reinhart i Moreno wsiadali do samochodu, zielony worek ze zwłokami kobiety wkładano do innego samochodu, żeby zawieźć je do Zakładu Medycyny Sądowej w Maardam. Nie pojawili się żadni gapie, nielicznym kierowcom, którzy przejeżdżali obok tego miejsca w tę zapomnianą przez Boga niedzielę, Joensuu lub Kellerman, albo obaj, nakazywali, że mają jechać dalej.

Śnieg nadal padał.

- Początek adwentu - powiedział Reinhart. - Dzisiaj jest pierwsza niedziela adwentu. Niezła oprawa. Powinno się zapalić świeczkę.

Moreno przytaknęła. Pomyślała sobie, że znacznie bardziej pasowałaby Niedziela Wieczności, ale ta była przed tygodniem. Obróciła głowę, spoglądając na płaski krajobraz, na rzadkie, duże płatki śniegi wirujące nad ciemną ziemią. Szarości. Same szarości, jak okiem sięgnąć. I prawie żadnego światła. Miała zamiar pospać dłużej tego ranka. Poleżeć w łóżku z gazetą i jeść śniadanie przez dwie godziny. Po południu pójść popływać.

Miała zamiar. Nic z tego nie wyszło. Zamiast tego spędzi dzień w pracy. Cały, jeśli szybko uda im się ustalić tożsamość zabitej. Przesłuchania i rozmowy z najbliższymi. Pytania i odpowiedzi. Łzy i rozpacz; nietrudno było przywołać ten obraz. Kiedy Reinhart, mrużąc i klnąc pod nosem, wiózł ich wąską, mokrą szosą, zaczęła mieć powoli nadzieję, że nie od razu dowiedzą się, kto to jest... że anonimowa zabita kobieta pozostanie anonimowa jeszcze przez kilka godzin. Albo do jutra. Może ta myśl oszczędzała najbliższych, kimkolwiek byli, ale nie dawała się pogodzić z jej zadaniami jako policjantki. Sprzeczna ze starą regułą, że pierwsze godziny śledztwa są zawsze



najważniejsze, za to zgodna, dużo bardziej zgodna, przyznała przed sobą Moreno, ze słabą nadzieją, że może jednak wybierze się po południu na kilka godzin na pływalnię.

Nie należy ukrywać przed sobą swoich motywów, uznała Moreno i westchnęła. Była to jedna z sentencji komisarza, jedna z tych, która utkwiała jej w głowie. Dlaczego zawsze po obejrzeniu zwłok chcę wziąć prysznic? - pomyślała potem. Zwłaszcza jeśli są to zwłoki kobiety. Musi to mieć związek z empatią...

- Zastanawia mnie, dlaczego zostawił ją właśnie tam - przerwał jej rozważania Reinhart. - W przydrożnym rowie. Rozsądniej przecież byłoby ukryć ciało w lesie.

Moreno myślała przez chwilę.

- Może mu się śpieszyło.

- Możliwe. W każdym razie w samochodzie powinna być krew. Sprawca musiał być samochodem. Jak tylko znajdziemy właściwy, będziemy mieć dowody. Co sądzisz?

- W tej chwili nic. - Moreno wzruszyła ramionami.

- Zawsze można mieć nadzieję - ciągnął Reinhart. - Nadzieję, że mąż czy ktokolwiek to zrobił, zadzwoni i sam się zgłosi. Chyba ku temu to zmierza... tak, czuję, że siedzi teraz u Krausego.

- Myślisz?

- Oczywiście. Czeka na nas. Na kacu, na wpół oszalały... sobota wieczór, trochę za dużo alkoholu... mała kłótnia, mała niewierność i w efekcie stał nad nią z żelazkiem w rękę. Biedni ludzie.

- Masz rację, chyba powinno się zapalić świeczkę.

Sprawca nie czekał ani u Krausego, ani nigdzie indziej w komendzie. W najbliższych godzinach nie zgłoszono też zaginięcia kobiety o pomalowanych na czerwono paznokciach u nóg i rudych włosach. Około wpół do drugiej Reinhart i Moreno dostali do obejrzenia komplet zdjęć z miejsca zbrodni, a trochę później nadszedł nieco bardziej wyczerpujący raport od lekarza i techników.

Zabita miała 172 cm wzrostu i ważyła 62 kilo. Miała ciem-

norude włosy, łonowe też, nigdy nie urodziła dziecka, ale odbyła stosunek w czasie nieodległym od morderstwa. *Przed morderstwem*, zinterpretowali to Reinhart i Moreno, nie wymieniwszy uwag w tej kwestii. W jej pochwie była sperma, jeszcze jeden niezbity dowód, pod warunkiem że dotrą do sprawy. Wystarczyło zamrozić spernę i przeprowadzić test DNA. Choć oczywiście nie musiała być to ta sama osoba, mężczyzna, który się z nią kochał na kilka godzin przed jej śmiercią i ten, który się do niej przyczynił. Do jej śmierci. Nawet jeśli wiele za tym przemawiało. Tak uważał zarówno Reinhart, jak i Moreno.

Zdrowe zęby i żadnych wyrazistych znaków szczególnych. Zabito ją trzema silnymi ciosami w głowę i jednym w kark. Stosunkowo duże krwawienie było wynikiem jednego z pierwszych uderzeń, które rozerwało tętnicę skroniową. Nie wiadomo, gdzie popełniono morderstwo, ale na pewno nie w miejscu znalezienia zwłok. Czasu zgonu na razie dokładnie nie określono, ale było to gdzieś między drugą a czwartą w nocy z soboty na niedzielę. Nie znaleziono ubrania, żadnych rzeczy osobistych ani innych przedmiotów. Zawartość alkoholu we krwi pozostałej w ciele kobiety wynosiła w chwili badania 1,56 promila.

- Była pijana - stwierdził Reinhart. - Można mieć nadzieję, że przez to łatwiej przyszło jej umrzeć. Do cholery.

Moreno odłożyła papiery z Zakładu Medycyny Sądowej.

- Dostaniemy trochę więcej wieczorem - powiedział Reinhart. - Meusse pracuje pełną parą. Zrobimy sobie kilka godzin wolnego?

Kiedy Moreno szła na pływalnię przy Birkenweg, śnieg przemienił się w deszcz. Zmierzch kładł się nad miastem, mimo że jeszcze nie było trzeciej. Przypomniała sobie słowa Reinharta

O zapaleniu świe

Chociaż kiedy wywołała w pamięci obraz tych bezimiennych kobiecych zwłok w Korrimie, poczuła się bardziej

spokrewniona z ciemnością.

To jest taki dzień, stwierdziła. Dzień, który nie chce się na dobre otworzyć - albo taki, kiedy my się nie chcemy otworzyć. Dzień, który najprościej przeżyć ze zmysłami i świadomością otwartymi na rzeczywistość jedynie wąską szparą.

Taki dzień. Może nawet taka pora roku?

Życie ostrygi, pomyślała i pchnęła ciężką bramę pływalni. Nurtuje mnie, jak ona się nazywa. Nurtuje mnie, czy to mogłam być ja.

## 19

- Mam go tutaj - oznajmił Krause. - Właśnie wróciliśmy.

- Kogo? - zapytał Reinhart. - Skąd?

- Andreasa Wollgera. Jej męża. Identyfikacja pozytywna.

Reinhart wytrzeszczył oczy na telefon. Potem przeniósł wzrok na zegarek. Było dwie po ósmej, poniedziałek rano.

- Znalazłeś tego, kto to zrobił, i mnie nie powiadomiłeś?

Krause odkasznął w słuchawkę.

- Nie tego, kto to zrobił. Jej męża. Siedzi teraz u mnie z aspirantką Dobbermann. Nie czuje się najlepiej, byliśmy właśnie w Zakładzie Medycyny Sądowej, żeby zidentyfikować ofiarę. Nie ma wątpliwości. Nazywa się Vera Miller.

- Vera Miller? - powtórzył Reinhart. - Dlaczego dzwonicz dopiero teraz? Skąd możesz wiedzieć, że to nie on miał w rękę żelazko?

- Żelazko? - zdziwił się Krause.

- Czy co to, do cholery, było... skąd wiesz, że to nie on?

Usłyszał, jak Krause przesuwają po podłodze pianino. Albo było to westchnienie.

- Jest przecież dopiero ósma. Wollger pojawił się za piętnaście siódma i od razu pojechaliśmy na identyfikację. Zamierza komisarz przyjść tutaj i z nim porozmawiać czy będzie przesłuchiwał mnie przez telefon? Nawiasem mówiąc, jestem raczej pewien, że w grę nie wchodzi żadne żelazko.

Robi się impertynencki, pomyślał Reinhart, kiedy odłożył słuchawkę. Aspiranci.

Krause trafnie zauważył, że Andreas Wollger nie czuje się najlepiej. Kiedy Reinhart wszedł do pokoju, mężczyzna siedział wyprostowany na krześle z rękami kurczowo zaciśniętymi na kolanach. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, koło niego zaś stała wyglądająca na bezradną aspirantka Elise Dobbermann. Ubrana w ostatni - niezbyt fantazyjny - model munduru dla policjantek. Reinhart zdążył ucieszyć się, że nie jest kobietą. To znaczy policjantką zobowiązaną do noszenia munduru.

- Hm - odezwał się. - Panie Wollger, jestem komisarz Reinhart.

Wyciągnął rękę. Po chwili Andreas Wollger podniósł się i podał mu rękę. Potem z powrotem usiadł i dalej wpatrywał się w nicość. Reinhart przyjrzał mu się, co tamten najwyraźniej przyjął obojętnie. Dość wysoki mężczyzna o masywnej budowie ciała, góra czterdzieści lat, ocenił Reinhart. Dżinsy, granatowy sweter polo, pomięta szara marynarka. Duża głowa z początkami łysiny. Błede oczy za okularami w metalowych oprawkach. Rys słabości w okolicy ust i brody.

To nie on jest mordercą, było pierwszym wnioskiem Reinharta.

Nie należy wyciągać pochopnych wniosków, było drugim..

- Jest pan w stanie odpowiedzieć na kilka prostych pytań?

- Pytań? - spytał Wollger.

- Podać panu coś do picia? Kawę? Herbatę?

Wollger pokręcił przecząco głową.

- Chwileczkę.

Reinhart wziął aspirantkę Dobbermann na bok. Zniżył głos i zapytał ogólnie o sytuację. Wyjaśniła szeptem, że Wollger przełknął trochę soku i pół filiżanki kawy w Zakładzie Medycyny Sądowej po konfrontacji ze zwłokami swojej żony. Nie wydobyli z niego zbyt wiele. Ani przed identyfikacją, ani po. Ani ona, ani Krause. Reinhart skinął głową i poprosił, żeby

sprowadziła doktora Schencka z jego gabinetu na pierwszym piętrze. Potem znowu zwrócił się do Wollgera.

- Muszę, niestety, uzyskać od pana kilka informacji. Później przyjdzie lekarz i zajmie się panem, żeby pan odpoczął. Nazywa się pan więc Andreas Wollger?

Wollger skinął głową.

- Byłbym wdzięczny za słowne odpowiedzi.

- Nazywam się Andreas Wollger.

- Pana żona uległa straszliwemu wypadkowi. Zidentyfikował ją pan jako... - rzucił okiem do notesu - Verę Miller. Zgadza się?

-Tak.

- Jaki jest państwa adres?

- Milkerweg osiemnaście.

- Mają państwo dzieci?

-Nie.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem?

- Od trzech lat.

- Czym się pan zajmuje?

- Jestem bezrobotny.

- Od kiedy?

- Od sześciu miesięcy.

- A wcześniej?

- Zakłady Zindersa. Ale je zamknęli.

Reinhart skinął głową, szukając w kieszeniach fajki i tytoniu. Zinders, jeśli dobrze pamiętał, produkował części do telefonów komórkowych. Nie wytrzymał konkurencji z Japończykami. Albo może Koreańczykami.

- A pana żona?

- Gdzie pracuje?

-Tak.

- Jest pielęgniarką.

- Co robił pan w sobotę wieczorem?

- Byłem na kolacji z przyjacielem.

- Gdzie?

- W restauracji Mefisto.

- Na Lofters Plejn?
- Tak.
- Razem z żoną?
- Żona była na kursie.
- Na jakim kursie?
- Dla pielęgniarek. Jest pielęgniarką.
- W jakim szpitalu?
- Gemejnte.
- I kurs odbywał się w Gemejnte?
- Nie. W Aarlach.
- Aarlach? - powtórzył Reinhart i zanotował. - To daleko. Wollger nie odpowiedział.
- Czyli w Aarlach odbywał się kurs dla pielęgniarek. Kiedy tam pojechała?
- W sobotę przed południem.
- A kiedy miała wrócić?
- W niedzielę po południu. Jak zwykle.
- Jak zwykle? Co znaczy „jak zwykle”?
- Wollger wziął głęboki oddech.
- Ma ten kurs od pewnego czasu co sobotę. To jakieś doskona-  
lenie zawodowe.
- Za każdym razem w Aarlach?
- Za każdym razem - potwierdził Wollger. - Nie wróciła do  
domu.
- Rozumiem. A kiedy nie wróciła, powiadomił pan policję?
- Ona nie żyje - powiedział Wollger. - Boże święty, Vera nie  
żyje!
- Głos podniósł się pod koniec o pół oktawy i Reinhart domyślił  
się, że załamanie jest blisko.
- Jak tam dojeżdżała? - zapytał. - To znaczy do Aarlach.
- Pociągiem - jęknął Wollger. - Jeździła pociągiem. Boże, ona  
nie żyje, dlaczego wypytuje mnie pan, jak dojeżdżała do Aar-  
lach?
- Reinhart odczekał kilka sekund.
- Pana żona została zamordowana - powiedział. - Ktoś zabił ją

w nocy z soboty na niedzielę. Czy potrafi pan wyjaśnić, dlaczego znaleziono ją tu w pobliżu Maardam, skoro powinna znajdować się dwieście kilometrów stąd?

Andreas Wollger nie potrafił tego wyjaśnić. Skulił się na krześle, zasłonił rękami twarz i zaczął jęczeć, kołysząc się tam i z powrotem. Rozległo się ostrożne pukanie do drzwi i pokazała się głowa doktora Schencka ozdobiona siwymi lokami.

-No i jak?

Reinhart westchnął i odsunął się, żeby rozpaczający wdowiec go nie słyszał.

- Jak można było się spodziewać. Chyba teraz twoja kolej. Nie wiem, kim są jego najbliżsi, ale musimy ściągnąć tu jakiegoś krewnego. Musimy więcej z nim porozmawiać, im szybciej, tym lepiej. Ale w tym stanie nie da rady.

- Okej. - Schenck kiwnął głową. - Widzę. Zobaczymy, co się da zrobić.

- Dzięki - powiedział Reinhart i opuścił pokój.

Kiedy wszedł do Zakładu Medycyny Sądowej, była właściwie pora lunchu, więc zaproponował, żeby wstąpili do Fiksa. Meusse nie miał nic przeciwko temu; zdjął poplamiony biały kitel i włożył marynarkę, która leżała rzucona na biurku.

Bar Fix znajdował się po drugiej stronie ulicy. Był dość zatłoczony, kiedy weszli, ale dzięki odrobinie dyplomacji Reinhartowi udało się dostać w miarę odosobniony stolik. Zapytał Meussego, czy chce coś zjeść, ale lekarz sądowy tylko pokręcił łusą głową. Nie było to zbyt zaskakujące. Jak głosiła fama, od lat nie spożył stałego pożywienia; Reinhart zamówił dwa ciemne piwa, usiadł naprzeciw niego i czekał.

- No? - powiedział. - Coś dla mnie miałeś?

Meusse pociągnął głęboki łyk i wytarł starannie usta serwetką.

- Jest pewna okoliczność.

- Okoliczność?

- Właśnie. Widzę, że nadążasz.

Reinhart nie odpowiedział.

- Chodzi o wysoce niepewne spostrzeżenie. Chcę, żebyś miał to

na uwadze.

- Rozumiem.

- Chodzi o uderzenia.

- Uderzenia?

- Uderzenia w głowę i kark - spreyczował Meusse. - Występuje pewne podobieństwo do sprawy chłopaka komisarza.

Upłynęła chwila, zanim Reinhart skojarzył, że to określenie dotyczy Ericha Van Veeterena.

- Co, do cholery?

- Tak można powiedzieć. - Meusse wypił kolejny łyk piwa.

- Nie zapominaj, że to tylko pobieżne spostrzeżenie.

- Oczywiście. Tak łatwo nie zapominam. Czy rzeczywiście twierdzisz, że w grę może wchodzić ta sama osoba?

- Mhm.

- Że ta sama osoba miałyby zabić Ericha Van Veeterena i tę kobietę? To właśnie mówisz?

-Nie wykluczam takiej możliwości - odparł Meusse po namyśle. -To właśnie mówię. Jeśli pan komisarz posłucha, wyjaśnię... hm. Mamy mianowicie do czynienia z dość osobliwym uderzeniem. Nic nie wskazuje też na to, że nie mogło zostać użyte to samo narzędzie zbrodni w obu przypadkach. Na przykład żelazna rurka. Dość ciężka. O uderzeniach w głowę nie nie mogę powiedzieć, poza tym, że sprawca jest praworęczny, o podobieństwie mówię przy uderzeniach w kark. W obu przypadkach zgruchotane kręgi szyjne. Trafienie z grubsza w ten sam punkt. Śmierć w ciągu sekundy... może to oczywiście być zbieg okoliczności, chciałem tylko, żebyście o tym wiedzieli.

- Dziękuję - powiedział Reinhart.

Nie odzywał się przez chwilę i próbował unaocznic sobie usłyszane fakty, rysując rząd kręgów w notesie, który leżał przed nim na stoliku. Nie do końca mu się udało.

- Ale tym razem było więcej uderzeń w głowę?

Meusse przytaknął.

- Trzy. Raczej zbędne. Wystarczyłoby to uderzenie w kark, ale



przy założeniu, że ofiara odwróci się właściwą stroną...

- Oceniasz je jako profesjonalne? - zapytał Reinhart.

Meusse zwlekał chwilę z odpowiedzią.

- Sprawca miał chyba świadomość, gdzie celuje i jaki będzie skutek. Czy to komisarz rozumie pod pojęciem profesjonalizmu?

Reinhart wzruszył ramionami.

- Może być dwóch różnych sprawców - stwierdził Meusse. - Może być ten sam. Tyle chciałem powiedzieć. Dziękuję za piwo.

Dopił resztkę i ponownie otarł usta.

- Zaczekaj - zatrzymał go Reinhart. - Chcę mieć też opinię. A nikt nie jest bardziej powołany do jej sformułowania niż ty. Czy mamy do czynienia z tym samym sprawcą? Nie możesz, do cholery, najpierw mnie tu ściągać, a potem oświadczać „albo albo”.

Meusse popatrzył na swój pusty kufel, marszcząc czoło. Reinhart gestem ręki przywołał kelnera i zamówił dwa nowe piwa. Kiedy je podano, lekarz sądowy przeciągnął otwartą dłońią po swej łysinie i wyjrzał przez okno. Musiał marzyć o aktorstwie, pomyślał Reinhart. Kiedy był młody... jakieś dwieście, trzysta lat temu.

- Nie chcę się definitywnie wypowiadać - wyjaśnił w końcu Meusse. - Ale nie byłoby mnie tutaj i nie mówiłbym ci tego, gdybym nie miał pewnych podstaw... o ile oczywiście inne fakty im nie zaprzeczają.

- Czyli najprawdopodobniej? Tak brzmi twoja ocena?

- Chciałem tylko dołożyć swoją cegiełkę.

Przez chwilę popijali w milczeniu. Reinhart zapalił fajkę.

- Nie ma żadnego powiązania między Verą Miller a Erichem Van Veeterenem. W każdym razie o żadnym nie wiemy... inna sprawa, że nie szukaliśmy.

- Wystarczy jedno - stwierdził Meusse. - Ale to już nie moja działka.

- Fakt - odparł Reinhart. - No nic, dzięki za rozmowę, zoba-

czymy, co da się z tym zrobić.

- Zobaczymy - przyznał Meusse, wstając. - Dzięki za piwo.

## 20

- W Aarlach nie ma żadnego kursu - oznajmiła Moreno, siadając naprzeciwko Reinharta. - W każdym razie żadnego weekendowego kursu dla pielęgniarek. Jak on się czuje?

- Kiepsko - odparł Reinhart. - Dałbym głowę, że ten kurs w Aarlach to lipa. Wollger nie chce jechać do domu. Leży u Schencka. Zajrzał do niego jakiś stary przyjaciel, ale Schenck zdążył już Wollgera czymś nafaszerować. Biedaczysko. Wieczorem przyjadą rodzice... dwoje siedemdziesięcioletków, samochodem z Frigge. Jego rodzice, bo z rodzicami Very Miller jeszcze nie udało nam się skontaktować. Zobaczymy, jak pójdzie, ale musimy postawić go na nogi, żebyśmy mogli z nim porozmawiać. Na lekach czy bez.

- Zdradzała go? - zapytała Moreno. - Przyjmujemy to za pewnik?

- Tak sądzę. W przeciwnym razie po co wyłgiwałyby się w każdą sobotę?

- Mogła mieć inne powody.

- Tak? Wymień jeden.

Moreno zastanawiała się przez chwilę, po czym odłożyła odpowiedź na później.

- Jaki on jest? - zapytała w zamian. - Naiwny?

Reinhart przeciągnął dłonią pod brodą, wyglądał na zamyślnego.

- Tak. Naiwny to chyba dobre słowo. Van Berle, ten przyjaciel Wollgera, nie potrafił za wiele powiedzieć o jego żonie. Najwyraźniej pojawiła się w jego życiu dość późno. Wcześniej mieszkała w Groenstadt. Van Berle i Wollger są przyjaciółmi z dzieciństwa, według słów tego pierwszego. To z nim Wollger chodził na piwo, kiedy żona się puszczała. Jeśli rzeczywiście się puszczała.

- Hm. Medal ma zazwyczaj dwie strony. Tylko nie rozumiem, jak, u licha, to się wiąże z Erichem Van Veeterenem.

- Ja też nie - przyznał Reinhart. - Ale przecież wiesz, jaką wartość mają domysły Meussego.

Moreno potaknęła głową.

- Co robimy teraz?

Reinhart podniósł się.

- Jung i Rooth rozmawiają z kolegami z pracy i przyjaciółmi. I z krewnymi, jeśli jakichś znajdziemy. My spróbujemy jeszcze raz z Wollgerem. Chyba możemy do niego zjechać, nie ma większego sensu czekanie na mamusię i tatusia, jak myślisz?

- W tej chwili nic nie myślę - przyznała się Moreno, podążając za Reinhartem w stronę windy. - Kto mu powie o tym kursie, ty czy ja?

- Ty. Ustępuję przed kobiecym sprytem i empatią. Może okaże się to bez znaczenia, skoro żona została zamordowana. Może przyjmie to jak mężczyzna.

- Z całą pewnością. Już się cieszę na spotkanie z nim.

Jung umówił się z Liljaną Milovic w kafeterii szpitala Gemejnte. Nie miała pojęcia, dlaczego chciał z nią rozmawiać, i na niego spadł mało przyjemny obowiązek poinformowania jej, że przyjaciółka została nieszczęśliwie zamordowana i to z tego powodu nie pojawiła się w pracy w ten ponury poniedziałek.

Liljana Milovic bez wątplenia była piękną i w innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko temu, by wziąć ją w ramiona i spróbować uciszyć jej płacz. Właściwie teraz też nie miał nic przeciwko temu - bo właśnie na to poświęcił dobrą chwilę ich spotkania. Liljana Milovic zarzuciła mu po prostu ręce na szyję i płakała. Przynęła się z krzesłem do niego i uwiesiła mu się na szyi. Głaskał ją trochę niezdarne po plecach i gęstych, ciemnych włosach pachnących kapryfolium, wodą różaną i Bóg wie czym.

- Przepraszam - łkała. - Przepraszam, nic nie mogę na to poradzić.

Ja też nie, pomyślał Jung, zauważając, że i jego coś dławi w gardle. Powoli jej płacz ucichł i zaczęła dochodzić do siebie, ale nie odsunęła się od niego. Nie całkiem.

- Przykro mi, myślałem, że panią poinformowano.

Pokręciła głową i wytarła nos. Dostrzegł, że goście przy pobliskich stolikach ukradkiem im się przyglądają. Ciekaw był, co sobie myślą. Zapytał ją, czy wolałaby pójść gdzie indziej.

- Nie, nie, tu jest okej.

Mówiła z lekkim tylko akcentem; domyślał się, że jako nastolatka przyjechała z Bałkanów, które wówczas były jeszcze Jugosławią.

- Dobrze znała pani Verę?

- Była moją najlepszą koleżanką w pracy.

- Spotykałyście się również prywatnie?

Wzięła głęboki oddech. Była smutna, co tylko dodawało jej urody. Pod wysokimi kośćmi policzkowymi kładł się załazek cienia, który z jakiegoś powodu zawsze przyprowadzał Junga o drżenie kolan. Przygryzł język, starając się wrócić do roli policjanta.

- Niezbyt często. Pracowałyśmy na tym samym oddziale dopiero od kilku miesięcy. Od sierpnia. Co dokładnie jej się stało?

Mocno ścisnęła jego ręce w oczekiwaniu na odpowiedź. Jung zawahał się.

- Ktoś ją zabił - powiedział po chwili. - Nie wiemy kto.

- Zamordował?

- Tak, zamordował.

- Nie rozumiem tego.

- My też nie. Ale tak jest.

Spojrzała mu prosto w oczy z odległości piętnastu centymetrów.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego ktoś chciałby zabić Verę? Była takim wspaniałym człowiekiem. Jak to się stało?

Jung odwrócił wzrok i postanowił oszczędzić jej szczegółów.

- Jeszcze nie wszystko jest jasne. Chcemy porozmawiać z

ludźmi, którzy ją znali. Zwróciła pani uwagę, czy w ostatnim czasie coś ją niepokoiło?

Liljana Milovic zastanowiła się.

- Nie wiem, ale w ostatnich dniach, może... w piątek była trochę... nie wiem, jak to określić. Trochę smutna.

- Rozmawiała pani z nią w piątek?

- Niewiele. Wtedy o tym nie pomyślałam, ale kiedy pan teraz pyta, to przypominam sobie, że nie była w tak dobrym nastroju jak zwykle.

- Nie rozmawialiście na ten temat?

- Nie. Miałyśmy dużo pracy, nie zdążyłyśmy. Gdybym wiedziała...

Znowu pociekły jej łzy, wytarła nos. Jung patrzył na nią, myśląc, że gdyby nie miał swojej Maureen, spróbowałby zaprosić Liljanę Milovic na kolację. Albo do kina. Gdziekolwiek.

- Gdzie ona teraz jest?

- Teraz? - zdziwił się Jung. - Aha, chodzi pani o... w Zakładzie Medycyny Sądowej. Badają...

-Ajej mąż?

- Jej mąż, tak. Zna go pani?

Opuściła wzrok.

- Nie. W ogóle. Nigdy go nie spotkałam.

- A sama jest pani zamężna? - zapytał i pomyślał o freudowskich pomyłkach, o których przeczytał ostatnio w jednym z tygodników Maureen.

- Nie. - Lekko się uśmiechnęła. - Ale mam chłopaka.

Na pewno na ciebie nie zasłużył, pomyślał Jung.

- Opowiadała o swoim mężu? Jak im się układało i o takich rzeczach?

Wahała się przez chwilę.

- Nie. Niezbyt często. Myślę, że nie układało im się najlepiej.

Po raz pierwszy spostrzegł, że zmieniała swoją odpowiedź i zastanawiał się, czy to coś oznacza.

- Aha? - Czekał na dalszy ciąg.

- Ale nie opowiadała mi. Wspomniała tylko, że nie zawsze było

dobrze. Rozumie pan?

Jung skinął głową, uznawszy, że rozumie.

- O... prywatnych sprawach nie rozmawiałyście?

- Czasami.

- Nie wie pani, czy nie była zainteresowana innym mężczyzną?

Może miała z kimś romans?

Liljana Milovic długo myślała, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Może. Tak, chyba mogła mieć romans. W ostatnim czasie, coś się działo.

- Ale nic nie powiedziała?

-Nie.

-I nie wie pani, kto to mógł być?

Pokręciła głową i znowu się rozpląkała.

- A pogrzeb? Kiedy będzie jej pogrzeb?

- Nie wiem - powiedział Jung. - Jeszcze chyba nie ustalono. Ale obiecuję panią powiadomić, jak tylko się dowiem.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Jest pan bardzo miłym policjantem.

Jung przełknął dwa razy ślinę i nic więcej nie zdołał powiedzieć.

## 21

W niedzielę spał do ósmej wieczorem.

Kiedy się obudził, miał uczucie, że w jego głowie coś uległo rozbiciu. Coś pękło w samym postrzeganiu świata. Śniły mu się kule bilardowe w wiecznym ruchu na olbrzymim stole bez otworów. Niezglobione wzory; bile i zmiany kierunku, gra, w której wszystko wydaje się niepewne, a jednak tak zdeterminowane jak życie. Prędkość i kierunek każdej kuli przemieszczającej się po zielonym suknie stanowiły tajemny kod, który zawierał wszystkie przyszłe zdarzenia i spotkania. Oczywiście razem z torami i kodami wszystkich innych kul, chociaż w jakiś mglisty sposób każda kula niosła ze sobą w swej prywatnej wstędze Möbiu- sa również losy pozostałych, przynajmniej ta kula, którą był on sam... nieskończoność zaprogramowanej przyszłości, pomyślał, leżąc jeszcze w łóżku i

próbując znaleźć jakąś perspektywę, jakieś oparcie w... tej zamkniętej nieskończoności. Jakiś czas temu przeczytał w jednym z czasopism, które prenumerował, kilka artykułów o badaniach nad chaosem i wiedział, że to, co podlega prawom, i to, co nie da się obliczyć, doskonale może zawierać się w tej samej teorii. Kompatybilne przeciwieństwa. Jedno życie.

Ta sama marionetka dyndająca na milionach sznurków. Ta sama pochyła powierzchnia. To przeklęte życie. Obrazów bez liku.

Samo pęknięcie, bo to ono nadało nowy kierunek, powstało, kiedy uderzył Yerę rurką w głowę. W tej chwili, kiedy to uczynił,

dostrzegł wyraźnie, że od samego początku było to nieuniknione, ale również, że wcześniej nie mógł o tym wiedzieć.

Dopóki tego nie zrobił. Wtedy stało się to oczywiste. Po prostu skutek, po fakcie przewidywalny i całkowicie logiczny rozwój wydarzeń... równie naturalny jak dzień po nocy, jak przesyty po przyjemności i równie nieświadomy jak świt jest nieświadomy zmierzchu; skutek wynikły z przyczyn, które przez cały czas znajdowały się poza jego kontrolą, niemniej istniały.

Konieczność.

Jeszcze jedna infemalna konieczność. Kiedy rozpaczliwie uderzał Verę w kark i w głowę, ta rozpacz nie była niczym innym, jak daremną rozprawą z samą koniecznością. Niczym innym. Oboje byli ofiarami w tym przeklętym, deterministycznym tańcu śmierci zwanym życiem, zarówno on, jak i Vera, tyle że on musiał ponadto odgrywać rolę kata. Ponadto; rodzaj dokładki, serdeczne dzięki... wyreżyserowanej, zamówionej i wykonanej zgodnie z tymi wszystkimi niedającymi się zmienić kodami i torami. Z tym wielkim planem. Instrukcja do ręki, wypadło na niego, a teraz było po wszystkim.

Krótko przed obudzeniem przyśniło mu się też, jak matka trzymała wtedy dłoń na jego czole, kiedy wymiotował żółto-

loną żółcią... i obrazy torów różnokolorowych kul... wiaderko z odrobiną wody na dnie... nieskończona czułość matki... i bile... wciąż na nowo aż do chwili, gdy wszystko zostało zalane strumieniem czerwonej krwi Very wypływającej z tętnicy na skroni, gdzie ze straszliwą siłą spadło pierwsze uderzenie, wszystko zgodnie z przeznaczeniem, znowu i znowu, ten makabryczny melodramat, ten gwałtowny wir szaleństwa... i właśnie kiedy to się rozgrywało, do granicy wstrętu, obudził się i wiedział, że coś pękło. Coś innego.

Błona. Ostatecznie pękła.

Kiedy wstał, zobaczył, że w rzeczywistości też było dużo krwi. Na łóżku. Na dywanie, na ubraniach porozrzucanych tu i ówdzie. Na jego rękach i na rurce, która potoczyła się pod łóżko i której z początku nie mógł znaleźć.

W samochodzie w garażu też. Na tylnym siedzeniu. Pełno krwi Very.

Połknął dwie tabletki. Popił szklanką wody i naparstkiem whisky. Położył się na kanapie na plecach, czekając, aż odczuje zbawienne działanie alkoholu.

Potem wziął się do pracy.

Epilog. Spokojnie i metodycznie, jak się da. Zmyć to, co można zmyć. Ścierać, skrobać, próbować różnych środków. Nie czuł podekscytowania, nie odczuwał już też żalu ani strachu... jedynie zimny spokój, wiedział, że gra nadal się toczy według reguł i układów, na które nie miał wpływu. Na które nikt nie miał wpływu i trzeba było uważać, by nie wejść z nimi w konflikt.

Kierunek ruchu. Kod.

Kiedy posprzątał, co dało się posprzątać, wziął samochód i pojechał do miasta. Spędził dwie godziny w restauracji Lon Pejs przy Zwille, zamówił tajską potrawę i zastanawiał się, jak będzie wyglądało kolejne posunięcie w tej nieubłaganej grze. Jak szerokie pole działania przypadnie mu w udziale.

Nie doszedł do żadnej konkluzji. Wrócił do domu tą samą drogą. Ku swojemu zdumieniu zauważył, że czuje się spokojny.



Wziął na noc jeszcze jedną tabletkę i zwał się na łóżko. W poniedziałek słońce nie wzeszło. Wcześniej rano zadzwonił do pracy, że jest chory. W „Neuwe Blatt” przeczytał o kobiecie, którą znaleziono zamordowaną w wiosce Korrim, i nie od razu dotarło do niego, że to była ona. Że to był on. Obrazy z sobotniej nocnej jazdy samochodem wśród rozległych pól były ciemne, nie wiedział, którędy jechał ani gdzie się w końcu zatrzymał i wyciągnął ją z samochodu. Nazwy Korrim nigdy wcześniej nie słyszał.

Nie było świadków. Mimo otwartej przestrzeni mógł wyrzucić ciało pod osłoną mroku i późnej godziny. Policja nie chciała ujawnić swoich informacji. Zdaniem dziennikarza nie miała żadnych znaczących śladów.

Jest jak jest, pomyślał. Nie ma powodu do obaw. Gra trwa dalej i kule się toczą.

Listonosz przyszedł tuż przed jedenastą. Odczekał jednak, aż ten zniknie za przedszkolem, i dopiero wtedy opróżnił skrzynkę.

Był tam. Ta sama bladoniebieska koperta co zawsze. Ten sam staranny charakter pisma. Przez chwilę ważył list w rękach nad stołem w kuchni, zanim go otworzył.

Tym razem był trochę dłuższy, choć nieznacznie. Wszystkiego pół strony. Przeczytał go wolno i metodycznie. Jakby nie do końca opanował sztukę czytania - albo bał się przeoczyć coś ukrytego czy tylko zaszyfrowanego.

*Czas sfinalizować naszą małą transakcję.*

*Jeśli tym razem nie wypełni Pan instrukcji co do joty, nie zawaham się powiadomić policji. Mam nadzieję, że rozumie Pan, że trochę za bardzo nadużył mojej cierpliwości.*

*Postąpi Pan następująco:*

*1) Włoży Pan dwieście tysięcy guldenów do białej reklamówki, którą proszę porządnie zawiązać.*

*2) Dokładnie o czwartej w nocy z poniedziałku na*

*wtorek 1 grudnia zostawi Pan tę reklamówkę w koszu na śmieci koło pomnika Hugona Maertensa w parku Randera.*

*3) Uda się Pan prosto do domu i zaczeka na telefon. Kiedy zadzwoni, odbierze Pan, podając swoje nazwisko, i postąpi zgodnie z instrukcjami, które Pan otrzyma.*

*Nie dostanie Pan kolejnej szansy na uniknięcie sprawiedliwości. Ta jest ostatnia. Opis wszystkich Pana czynów został zdeponowany w bezpiecznym miejscu. Jeśli coś mi się stanie, trafi w ręce policji.*

*Zakończmy tę sprawę bez dalszych potknięć.*

*Przyjaciel*

Przemyślane.

Musiał to przyznać. Mimo wszystko czuł zadowolenie, że ma prawdziwego przeciwnika.

Czuł też, że ostatecznie przechytrzy go i pokona. Niewątpliwie będzie to jednak wymagało sporo wysiłku.

W chwili obecnej - gdy siedział w kuchni przy stole z listem w rękę - nie potrafił sobie wyobrazić, jak do tego zwycięstwa miałoby dojść. Partia szachów, pomyślał, partia szachów, w której ustawienie figur jest jednoznaczne, a zarazem trudno je przeanalizować. Nie wiedział, dlaczego przyszła mu do głowy ta metafora. Szachistą był dość przeciętnym, grywał wprawdzie niemało, ale brakło mu niezbędnej cierpliwości.

Zręczny przeciwnik przygotował atak, którego skutki były nieprzewidywalne. Na razie. W oczekiwaniu na chwilę inspiracji pozostawało mu tylko wykonać ruch i czekać na otwarcie się przeciwnika. Odsłonięcie się.

Wyczekująca obrona. Czy istniały inne możliwości? Nie sądził, nie w tej chwili. Ale czasu było mało. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że zostało mniej niż siedemnaście godzin do momentu, gdy miał włożyć dwieście tysięcy guldenów do kosza na śmieci w parku Randera.

Szantażysta wykazywał zamiłowanie do koszy na śmieci. I do reklamówek. Czy nie świadczyło to o pewnym braku fantazji? O jednostajności i przewidywalności w prowadzeniu gry, którą to przewidywalność mógłby wykorzystać? Siedemnaście godzin? Niecała doba. Kto? Kto?

Pytanie o tożsamość przeciwnika odsunęło na chwilę kwestię, jakie działania ma podjąć. Kiedy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że dotąd poświęcił zadziwiająco mało czasu temu aspektowi sprawy. Kto? Kto, do cholery, zobaczył go tamtego wieczoru? Czy coś dało się wyczytać z jego sposobu postępowania? Z listów? Czy nie powinien zbliżyć się do niego, analizując te przesłanki, które miał w zasięgu ręki?

I nagle go olśniło.

Ktoś, kogo znał.

Podtrzymał tę konstatację w świadomości, jakby była ze szkła. Bał się, że jądruzgocze, bał się przypisać jej zbyt wielkie znaczenie.

Ktoś, kogo znał. Ktoś, kto go znał.

Przede wszystkim to drugie. Przeciwnik wiedział, z kim ma do czynienia, już tamtego wieczoru, kiedy zobaczył go z zabitym chłopcem. Kiedy on w deszczu trzymał chłopaka na rękach. Czy nie tak musiało być?

Owszem, przekonywał sam siebie. Właśnie tak musiało to wyglądać.

W ogóle nie było mowy o odczytaniu i zapamiętaniu numeru rejestracyjnego. Szantażysta wiedział od razu. Przejechał obok, nie zatrzymując się, a kiedy następnego dnia przeczytał w gazecie o tym, co się stało, wyciągnął wnioski i uderzył. Uderzył albo uderzyła. Przypuszczalnie mężczyzna, uznał, nie wiedząc właściwie dlaczego.

Tak, właśnie tak to wyglądało. Kiedy się zastanowił, nagle dostrzegł, jak niedorzeczne było wcześniejsze wyjaśnienie. Jak nieprawdopodobne. Kto, u licha, prowadząc samochód, zdąży odczytać i zapamiętać numer rejestracyjny innego

samochoду? W deszczu i ciemności? Niemożliwe. Wykluczone.

Czyli ktoś, kto go rozpoznał. Ktoś, kto wiedział, kim jest.

Przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

Trzymał w ręce bladoniebieski list, który w niecałą dobę mógł zniszczyć jego życie. Zabił troje ludzi w przeciągu miesiąca. A jednak się uśmiechał.

Ale kto?

Nie zajęło mu dużo czasu przejrzenie w myślach i wykluczenie niezbyt licznych grona znajomych i przyjaciół.

Każdego, kogo ewentualnie, przy odrobinie dobrej woli, mógłby zaprosić na swój ślub albo na pięćdziesiąte urodziny. Albo na pogrzeb. Nie, nikt z nich, nie potrafił sobie tego wyobrazić. Owszem, paru nazwisk nie wykluczył równie szybko jak pozostałych, ale nie było wśród nich nikogo, przy kim intuicyjnie by się zatrzymał. Nikt, kogo by podejrzewał.

Istniał też inny aspekt. Nie należał wprawdzie do szczególnie znanych osób w Maardam, nie był sławą, jednak spora grupa ludzi wiedziała, kim jest, i znała go z widzenia. To oczywiście wystarczało. Codziennie stykał się z ludźmi, których później nie mógł sobie przypomnieć, gdy spotykał ich na ulicy, choć oni oczywiście go rozpoznawali. Czasami nawet mu się kłaniali... wpadając w lekkie zakłopotanie, kiedy spostrzegali, że on ich nie kojarzy.

Ktoś taki. To ktoś taki, ktoś z nich musiał być przeciwnikiem.

Znowu przyłapał się na uśmiechu.

Potem głośno zaklął, uświadomiwszy sobie, że to eliminowanie i wyciąganie wniosków nie na wiele mu się zda, biorąc pod uwagę, jak mało czasu zostało.

Na nic się nie zda. Jeśli mógł założyć, że szantażysta mieszka w Maardam, zredukował liczbę kandydatów z trzystu tysięcy może do trzystu.

Wyłączając starców i dzieci: z dwustu tysięcy do dwustu.

Owszem, redukcja znacząca, ale bezużyteczna. Zdecydowanie zostało za dużo.

Dwustu potencjalnych szantażystów? Siedemnaście godzin na działanie. Szesnaście i pół, jeśli być dokładnym. Westchnął i podniósł się z fotela. Poszedł sprawdzić zawartość apteczki i stwierdził, że powinna go utrzymać na powierzchni przynajmniej przez dziesięć, dwanaście dni.

Za dziesięć, dwanaście dni sytuacja będzie inna. Z całą pewnością.

Partia skończona. Remis wykluczony.

Potem zadzwonił do banku. Kredyt, o który złożył wniosek w czwartek, jeszcze nie został przyznany. Zajmie to jeszcze kilka dni, ale nie ma powodu do niepokoju, zapewniono. To formalność. Był solidnym klientem, a o solidnych klientach dbano. Nawet jeśli lata osiemdziesiąte już minęły.

Podziękował i odłożył słuchawkę. Przez chwilę wyglądał przez okno na ponurą przedmiejską ulicę i deszcz. Dwustu tysięcy guldenów w gotówce do nocy nie zbierze. Żadnym sposobem.

Potrzebował więc czegoś innego.

Potrzebował strategii.

Jeszcze raz przeczytał list, próbując jakąś znaleźć.

## 22

Obraz zamordowanej Very Elizabeth Miller w poniedziałek powoli się wyklarował.

Urodziła się w 1963 roku w Gellenkirk, ale wychowała w Groenstadt. Miała troje rodzeństwa - dwóch braci i siostrę - które nadal mieszkało na południu. Ojciec zmarł w 1982, matka ponownie wyszła za mąż i pracowała w Karpaczu jako nauczycielka przysposobienia do prowadzenia gospodarstwa domowego; wiadomość o śmierci córki zastała ją w szkole i spodziewano się, że do Maardam przyjedzie we wtorek razem z obecnym mężem.

Vera Miller skończyła szkołę pielęgniarstwa w Groenstadt i pracowała tam do 1991 roku, kiedy to po rozwodzie z niejakim Henrikiem Veramtenem przeprowadziła się do Maardam.

Małżeństwo nie zostało obdarzone dziećmi; w 1989 adoptowali małą Koreankę, która jednak już w następnym roku zginęła tragicznie w wypadku samochodowym. Według słów matki i dwojga rodzeństwa rozwód z Veramtenem był bezpośrednim następstwem śmierci dziewczynki. Nikt nie powiedział tego wprost, ale z niedomówień wynikało, że mąż mógł być sprawcą wypadku. Bezpośrednim lub pośrednim. Żadnego szczegółowego śledztwa nie prowadzono.

W Maardam Vera Miller podjęła pracę w szpitalu Gemejnte wiosną 1992, a dwa i pół roku później wyszła za mąż za Andreasa Wollgera. O tym drugim małżeństwie ani matka, ani rodzeństwo nie potrafili nic powiedzieć. Na weselu nie byli - jeśli jakiś się odbyło - a w ostatnich latach utrzymywali z Verą i Andreasem jedynie sporadyczne kontakty.

Jeśli chodzi o Andreasa Wollgera, sytuacja nie uległa zmianie. O siódmej w poniedziałek wieczorem nadal nie mógł zostać dokładniej przesłuchany na temat swych relacji z żoną, ponieważ wciąż znajdował się w zbyt wielkim szoku. Jednak zarówno Moreno, jak i Reinhart ocenili, że prawdopodobnie między małżonkami nie układało się najlepiej.

Prawdopodobnie nawet nie było dobrze.

Oczywiście trzeba było te domysły potwierdzić w rozmowach z ludźmi, którzy znali tę parę pod takim czy innym względem.

No i z samym Wollgerem.

Co się tyczy charakteru Very Miller, szybko stwierdzono, że była ceniona i lubiana zarówno przez przyjaciół, jak i kolegów z pracy. Niejaka Irene Vargas - która знаła Verę od piaskownicy jeszcze z Groenstadt i która obecnie też mieszkała w Maardam - wyraziła swój szok i rozpacz, że zginęła - jak to ujęła - Jedną z najzyczliwszych i najbardziej szczerych kobiet, z jakimi się zetknęłam, to okropne". Pani Vargas najwyraźniej blisko się przyjaźniła z Verą Miller przez wiele lat i Reinhart zakładał, że jeśli w ogóle ktoś miał wgląd w ciemniejsze strony życia Very - na przykład w ewentualne pozamałżeńskie związki - to właśnie ona.

Nic takiego nie wynikało z pierwszej rozmowy, ale oczywiście był powód, by do tego powrócić.

Istotny powód. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Vera Miller zaczęła okłamywać męża gdzieś na przełomie października i listopada. Powiedziała mu, że w weekendy, co najmniej przez osiem tygodni, będzie uczęszczać na doksztalający kurs dla pielęgniarek w Aarlach.

Gdzie naprawdę spędzała owe soboty i niedziele - i z kim

- te pytania nadal pozostawały bez odpowiedzi.

- Cholerny głupek - zawyrokował Reinhart. - Puszczal ją w każdy weekend z domu bez sprawdzenia, dokąd się wybiera. Do jakiego stopnia można być naiwnym?

- Chcesz powiedzieć, że kontrolowałbyś Winnifred, czy rzeczywiście jeździ na kurs? - zapytała Moreno.

- Oczywiście, że nie. To zupełnie co innego.

- Nie widzę w tym logiki.

- Intuicja - stwierdził Reinhart. - Zdrowa, męska intuicja. Czy mimo wszystko zgadzamy się, że to nie on ją zabił? Mówię o Wollgerze.

- Zgadzamy się. Chyba całkowicie takiej możliwości nie powinniśmy pomijać, ale wydaje się to dość nieprawdopodobne. Co natomiast z tym powiązaniem z Erichem Van Veeterenem... w tym przypadku nie umiem powiedzieć, na czym stoję.

Podczas gdy deBries i Rooth rozmawiali ze znajomymi pary Miller-Wollger, Ewa Moreno skupiła się na Marlene Frey i kilku przyjaciółach Ericha Van Veeterena, ale nikt nie potrafił udzielić najdrobniejszej wskazówki.

Nikt nie rozpoznał Very Miller na zdjęciu pożyczonym od Irene Vargas i nikt nie przypominał sobie, żeby słyszał wcześniej to nazwisko.

- Ja też nie wiem, na czym stoję. - Reinhart wydmuchnął chmurę dymu. - Muszę się do tego przyznać. Jutro spotykam się z komisarzem, chyba poruszę z nim kwestię tego powiązania... ewentualnego powiązania. Przynajmniej

będziemy mieli do omówienia jakiś konkret. Samo filozofowanie o śmierci jest cholernie ponure.

Moreno zastanawiała się przez chwilę.

- Lubisz przecież teorie - powiedziała. - Czy da się... czy jest możliwe znalezienie motywu zabójstwa Ericha Van Veeterena i Very Miller przy założeniu, że się nie znali? Potrafisz skonstruować sensowną historię?

- Historię...? - Reinhart podrapał się cybuchem w czoło.

- Przy założeniu, że się nie znali? No cóż, może to być cholernie dziwaczne, a jednak oczywiste, kiedy dostrzeże się już samo powiązanie.. . pod warunkiem że nie mamy do czynienia z szaleńcem, bo to będzie zupełnie inna para kaloszy. Tak, jasne, że mogę wymyślić sensowny ciąg zdarzeń, dziesięć, jeśli chcesz. Tylko co to nam da?

Moreno lekko się uśmiechnęła.

- Wymyśl. Poświęć noc na znalezienie dziesięciu powiązań między śmiercią Ericha Van Veeterena i Very Miller. Jutro mi opowiesz i obiecuję, że wskażę to właściwe.

- Boże święty. Noce poświęcam swojej pięknej żonie. A jak ona już nie daje rady, mam córkę z zapaleniem ucha. Nadal jesteś zaślubiona z pracą?

- Na to wygląda - stwierdziła Moreno.

- Wygląda? Co to za idiotyczne wyrażenie? - Reinhart przechylił się przez biurko i z prostopadłą zmarszczką między brwiami otaksował ją wzrokiem.

- Miałaś coś z Miinsterem. Prawda?

Inspektor Moreno wlepiła w niego wzrok na trzy sekundy.

- Odwal się - powiedziała i wyszła z pokoju.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał Rooth. - Najgorszym myśliwym w Europie.

- Nie mam powodu, by w to wątpić - powiedział Jung. - Ale nie wiedziałem, że w ogóle polujesz.

- Na kobiety - westchnął Rooth. - Mówię o kobietach. Człowiek poluje na nie od dwudziestu lat... od dwudziestu pięciu nawet... i ani razu mu się nie udało. To co, do cholery, ma



zrobić?

Jung rozejrzał się po barze z męską klientelą. Wstąpili właśnie do Oldener Maas, żeby zwieńczyć dzień złotą obwódka (określenie Rootha) i chyba nie trafili na zbyt dobry teren łowiecki.

- Ty jesteś urządzony - ciągnął Rooth. - Maureen jest super kobietą. Jak cię wyrzuci, gotów jestem cię zastąpić.

- Przekażę jej. Wtedy będę miał gwarancję, że mnie zatrzyma.

- Całuj psa w nos. - Rooth pociągnął pokazny łyk. - Choć to może zależeć od amunicji.

- Od amunicji?

Rooth samokrytycznie skinął głową.

- Zaczynam sądzić, że przez te wszystkie lata używałem za grubego śrutu. Zastanawiam się, czy nie poczytać trochę poezji, co o tym myślisz?

- Nieźle. Będzie ci do twarzy. Moglibyśmy rozmawiać

O czymś innym, nie o kobietach?

Rooth przybrał minę wyrażającą niepomierne zdumienie.

- Niby o czym?

Jung wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może o pracy?

- Wolę babki. - Rooth westchnął. - Ale skoro tak ładnie prosisz...

- Możemy też trzymać gęby na kłódkę - zaproponował Jung.

- To chyba najlepsze rozwiązanie.

Rooth rzeczywiście zamilkł na długą chwilę, grzebiąc w miseczce z orzeszkami i w zamyśleniu przeżuując.

- Mam hipotezę - oświadczył w końcu.

- Hipotezę? Nie teorię?

- Nie za bardzo je rozróżniam - przyznał się Rooth. - Pies to drapał, posłuchaj...

- Nadstawiam uszu.

- Świetnie. Tylko mi ciągle nie przerywaj. No więc ta Vera Miller... jeśli miała faceta na boku, to nie byłoby głupio, jakbyśmy tego faceta znaleźli.

- Genialne. Skąd wy, posterunkowy, to wszystko bierzecie?
- Jeszcze nie skończyłem. Bez wątpienia ułatwiłoby nam sprawę, gdybyśmy wiedzieli, gdzie go szukać.

Jung ziewnął.

-I właśnie w tym miejscu hipoteza nabiera rumieńców - wyjaśnił Rooth. - Mamy oczywiście do czynienia z lekarzem.

- Z lekarzem? Dlaczego, do cholery, z lekarzem?

- Jasne jak letni dzień. Pracowała w szpitalu. Wszystkie siostry durzą się w białych kitlach ze świecidełkami na piersi. Syndrom stetoskopu... dotyka wszystkie kobiety w tym zawodzie. Musimy po prostu szukać doktora X. Z Gemejnte. Może jednak trzeba było pójść na medycynę...

Jungowi udało się zdobyć ostatniego orzeszka.

- Ilu ich jest? Lekarzy w Gemejnte?

- Nie wiem, do cholery. Pewnie kilkuset. Ale to powinien być ktoś, z kim się stykała... zawodowo. Z tego samego oddziału albo coś w tym stylu. Co ty na to?

Jung zastanawiał się przez chwilę.

- Jak to się ma do teorii znaczka pocztowego i teorii szantażysty, jeśli uwzględnimy spostrzeżenia Meussego?

Rooth beknął dyskretnie w zagięcie ramienia.

- Mój młody przyjacielu. - Uśmiechnął się po ojcowsku.

- Nie można ot tak sobie łączyć teorii z hipotezami, myślałem, że jesteś tego świadom. Przeszedłeś szkołę policyjną czy tylko tresurę psów?

- Idź kup dwa piwa. Tylko ich nie pomieszaj.

- Postaram się - powiedział Rooth i wstał.

Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślał Jung, kiedy został sam przy stoliku.

I dzięki Bogu.

Dlaczego tak się zachowuję? - pomyślała Moreno, kiedy wróciła do domu.

Zirytowana zrzuciła buty i cisnęła kurtkę na wiklinowe krzesło. Dlaczego mówię do Reinharta, żeby się odwalił i trzaskam drzwiami? Czyżbym zaczęła nienawidzić facetów? Robi się ze

mnie jędza?

Ostatecznie miał przecież rację. Całkowitą rację. Miała coś z Miinsterem - nawet jeśli nie potrafiła określić tego precyzyjniej niż Reinhart.

Tylko coś. Skończyło się w styczniu, kiedy Münster został pchnięty nożem we Frigge i omal nie przyplacił tego życiem. Potem przez kilka miesięcy leżał w szpitalu, kilka miesięcy przechodził rekonwalescencję, a obecnie zajmował się jakimś podejrzanym śledztwem w ministerstwie do czasu odzyskania pełnej gotowości bojowej. Co miało nastąpić za kolejne kilka miesięcy.

Szlag by trafił, pomyślała. A kiedy wróci, co wtedy? Przypuszczalnie już w lutym, co się wtedy stanie?

Oczywiście nic. Podkomisarz Münster wrócił do żony i dzieci, których zresztą nigdy nie porzucił nawet na sekundę. Co sobie wyobrażała? Na co czekała? Czy rzeczywiście na coś czekała? Od tamtego zdarzenia spotkała go nie więcej niż trzy razy i nie poczuła najmniejszej wibracji. Żadnego drżenia w powietrzu... no, może za pierwszym razem, kiedy ona i Synn siedziały przy jego łóżku w szpitalu... wtedy coś było.

Ale nic więcej. Raz zadrzało powietrze. Jeden raz.

I kim, do cholery, była, żeby pakować się między Münstera a jego cudowną Synn? I dzieci?

Jestem nienormalna, pomyślała. Fiksuję jak wszystkie samotne babki. Czy naprawdę wystarczy tak niewiele czasu, żeby stoczyć się w staropanieństwo? Tak łatwo? Kiedy zostawiła tego łobuza Clausa była, owszem, wściekła i na niego, i z powodu pięciu zmarnowanych lat, ale nie postawiła krzyżyka na wszystkich facetach. W każdym razie nie na Münsterze. Zwłaszcza na nim nie.

A teraz kazała Reinhartowi się odchrzanić. Tylko dlatego, że przypadkiem trafił w czuły punkt. Reinhart nie był z pewnością w jej typie - czy takie stwory w ogóle istniały? - ale zawsze uważała go za dobrego człowieka i policjanta.

I faceta.

Muszę coś z tym zrobić, pomyślała, stając pod prysznicem, żeby zmyć z siebie to wszystko.

Może nie od razu, ale na pewno w dłuższej perspektywie. Trzydzieści jeden lat i zgorzkniała androfobka?

Albo desperatka goniąca za facetami? Jeszcze gorzej. Nie, dziękuję, są - muszą być - lepsze strategie na przyszłość.

Chociaż nie w tej chwili. Dziś wieczorem nie miała czasu, siły ani pomysłów. Lepiej zająć się czymś innym. Może zadaniem, które postawiła przed Reinhartem?

Dziesięć teoretycznych powiązań między Erichem Van Veeterenem a Verą Miller.

Dziesięć? - pomyślała. Megalomania.

Zobaczmy, czy znajdę trzy.

Albo dwa.

Przynajmniej jedno?

Winnifred dostała właśnie okres, a Joasia zaczęła w końcu odczuwać dobroczynne skutki penicyliny, toteż Reinhart nie mógł się zająć ani jedną, ani drugą. Oglądał na kanapie stary film Truffaut, podczas gdy Winnifred przygotowywała się w gabinecie do jutrzejszego seminarium. Obudziła go, gdy film się skończył; poświęcili kwadrans na porównanie Leros i Sakynthos przed ewentualnym wielkanocnym wyjazdem, a kiedy położyli się do łóżka, nie mógł zasnąć.

Dwie myśli krążyły mu po głowie.

Pierwsza dotyczyła Van Veeterena. Miał się z nim jutro spotkać i będzie musiał powiadomić go, że nadal tkwili w bloku startowym. Że nadal - po trzech tygodniach pracy - nie mieli ani jednego nędznego tropu w pościgu za mordercą jego syna.

Oczywiście, poinformuje o tej dziwnej okoliczności dotyczącej uderzenia w kark, o Verze Miller, ale nie było to zbyt wiele.

Nie mamy pojęcia, co się dzieje, będzie musiał przyznać. Nie większe niż kura podczas wieczery.

Było to wkurzające, zdaniem komisarza Reinharta.

Druga myśl dotyczyła Ewy Moreno.

Potworny ze mnie ordynus, pomyślał. Nie zawsze, ale od czasu do czasu. Obiecał jej dziesięć sensownych scenariuszy na temat powiązania, o którym nie miał bladego pojęcia, a potem ją obraził.

Obraził, pakując się z buciorami tam, gdzie nie powinien.

Diabli nadali.

Kiedy wybiła druga, wstał i zadzwonił do niej.

- Śpisz? - zapytał. - Mówi Reinhart.

- Poznaję - odrzekła Moreno. - Nie, jeszcze nie zasnęłam.

- Przepraszam. To znaczy dzwonię, żeby przeprosić... straszny ze mnie ordynus.

Przez chwilę nic nie mówiła.

- Dziękuję - odezwała się wreszcie. - Za przeprosiny. Chociaż nie uważam, żebyś był strasznym ordynusem. Byłam wytracona z równowagi, to moja wina.

- Hmpf - zareagował Reinhart. - No ładnie. Inspirujące. Dwoje dorosłych ludzi wymienia się przeprosinami przez telefon w środku nocy. Musiały się pojawić plamy na Słońcu, przepraszam, że dzwoniłem... nie, cholera, znowu.

Moreno zaśmiała się.

- Dlaczego nie śpisz? - zapytał Reinhart.

- Szukam dziesięciu możliwych powiązań.

- Ojjoj. Ile znalazłaś?

- Żadnego.

- Wspaniale. Zobaczą, na co mnie stać. Dobranoc, do zobaczenia jutro pod zimną gwiazdą.

- Dobranoc, komisarzu - powiedziała Moreno. - A właściwie dlaczego ty też nie śpisz?

Ale Reinhart odłożył już słuchawkę.

## 23

Van Veeteren obserwował powolną wędrówkę fosforyzującego sekundnika po tarczy zegarka. Robił to od dłuższej chwili, ale każde kolejne okrążenie było jednak nowe. Nagle przypomniał

sobie, że w okresie wczesnego dojrzewania - jeśli takowe rzeczywiście przechodził - w bezsenne noce zajmował się mierzaniem sobie pulsu. Zdecydował się sprawdzić go także teraz.

Pięćdziesiąt dwa w pierwszej minucie.

Czterdzieści dziewięć w drugiej.

Pięćdziesiąt cztery w trzeciej.

Boże święty, pomyślał. Serce też mi nawala.

Leżał jeszcze przez kilka minut, już nie mierząc pulsu. Żałował, że nie ma Ulrike u swego boku, ale tej nocy spała u swoich dzieci w Loewingen. W każdym razie u jednego dziecka. Jiirg, osiemnastolatek, ostatni, który nie wyfrunął z gniazda. Trochę czasu musiała mu poświęcić, zdawał sobie z tego sprawę. Nawet jeśli był niezwykle zrównoważonym młodym człowiekiem. Na ile mógł ocenić - spotkali się tylko trzy razy, ale wszystko na to wskazywało.

Wszystko poza faktem, że chciał zostać policjantem.

Van Veeteren westchnął i odwrócił się, żeby nie patrzeć na zegarek. Nakrył głowę poduszką.

Piętnaście po drugiej, pomyślał. Jestem jedynym na całym świecie człowiekiem, który nie śpi.

Godzinę później wstał. Kłamstwem było, że będzie mógł spać, przez ostatnie noce spał przeciętnie nie więcej niż dwie, trzy godziny i nie pomagały żadne znane środki nasenne.

Piwo nie. Wino nie. Händel też nie.

Równie nieskuteczni okazali się inni kompozytorzy, więc raczej nie była to wina Händla.

Nie mogę, pomyślał, przemywając twarz zimną wodą w łazience. Nie mogę spać i cholernie dobrze wiem, z czego to wynika. Dlaczego się do tego nie przyznam? Dlaczego nie wejdę na szczyt góry i tego nie wykrzyczę, żeby wszyscy ludzie mogli usłyszeć?

Zemsta! Jaki ojciec może leżeć w łóżku, kiedy w lesie trwa nagonka na mordercę jego syna?

To było takie proste. Tak głęboko zakorzenione w czarnym

pierwotnym gruncie biologii. Wiedział o tym, kiedy przed kilkoma godzinami napisał to w pamiętniku, i wiedział o tym teraz. Działanie było jedynym skutecznym środkiem. *Homo agens*. We wszystkich sytuacjach. Iluzoryczne czy rzeczywiste. Jakies działanie, do cholery!

Ubrał się. Wyrzwał przez okno w kuchni, sprawdzając, jaka jest pogoda, i wyszedł na dwór. Poczł dotkliwie zimno, ale nie padało i prawie nie było wiatru. Ruszył przed siebie.

Najpierw na południe. Przez Zuijderslaan i Primmerstraat w stronę Megsje Plejn. Kiedy dotarł do katolickiego cmentarza, na chwilę się zawahał. Postanowił go okrążyć, ale przy południowo- -wschodnim narożniku spostrzegł, że zmęczył go asfalt, i skręcił do parku Randera, założonym jako naturalne przedłużenie cmentarza. Albo to cmentarz był naturalnym przedłużeniem parku? Nie wiedział. Na pewno miały swoją historię, ale jej nie znał.

Ciemność między drzewami i krzewami odebrał niemal jak uścisk, cisza była przemożna. Park nasłuchuje, pomyślał, wolno przesuając się do przodu... głębiej do jądra ciemności, ten obraz wydawał się nader trafny. Natura otwiera swoje zmysły nocą, twierdził Mahler. W dzień śpi, pozwalając się obserwować, ale w ciemności jest żyjącym podmiotem, wystarczy wyjść, żeby to poczuć.

Całkowita racja, bez wątpienia. Van Veeteren potrząsnął głową, żeby przerwać ten bieg myśli i pozbyć się szerokich skojarzeń. Na chybił trafił skręcił w prawo, kiedy ścieżka się rozwidliła, i jakies pół minuty później dotarł do pomnika Hugona Maertensa. Podświetlał go słabo pojedynczy reflektor ukryty w rabacie okalającej masywny cokół. Zastanowiło go po co. Turyści w parku w środku nocy? Trudno sobie wyobrazić. Spojrzał na zegarek.

Za dziesięć czwarta.

Działanie? Jedyny skuteczny środek? To daj mi pole do działania, matko naturo! Wypuść mnie z niewoli!

Wzruszył ramionami na to swoje nieszczerze zawołanie i zapalił

papierosa.

Włóczę się po nocy tylko po to, żeby nie oszaleć, pomyślał. Nic innego. Naraz usłyszał gdzieś w ciemności trzask łamanej gałązki. Nie jestem sam, uświadomił sobie. Zwierzęta i szalency wędrują po nocy.

O trzeciej nie miał siły dłużej czekać. Poszedł do garażu, rzucił reklamówkę na siedzenie pasażera i wsiadł do samochodu. Zapalił silnik i ruszył w stronę centrum. Przez całą nieoświetloną drogę do miejskiego lasu nie napotkał ani jednego samochodu, a kiedy mijał cementową rurę, nie poświęcił jej większej uwagi niż innemu charakterystycznemu punktowi przy drodze. To, co się wydarzyło, wydawało się tak odległe w czasie, że przestało być namacalne. Nie mógłby sobie tego przypomnieć. Nawet gdyby chciał.

Za mostem Alexandra skręcił w lewo, przejechał ulicą Zwi- le do browaru Pixnera i dotarł do parku Randera od południowej strony. Zaparkował przy wejściu na pole minigolfa, zamknięte oczywiście o tej porze doby. Czy o tej porze roku. Przez chwilę siedział w samochodzie. Było kilka minut przed wpół do czwartej. Park był ciemny, sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim zimowym śnie. Natura wyłącza na noc swoje zmysły, pomyślał, zastanawiając się, dlaczego przeciwnik wybrał akurat takie miejsce. Mieszkał w pobliżu czy też zdecydowała odludność tego miejsca? Świadczyłoby to o przesadnej ostrożności, o tej porze setki śmietników musiało stać pustych, a łatwiej było się do nich dostać. Poprzednim razem zdecydował się na przeprowadzenie transakcji w restauracji w obecności mnóstwa potencjalnych świadków, więc tej nocy założenia były pewnie inne.

Tej nocy szantażysta nie przyśle zastępcy. Tej nocy sam przyjdzie po reklamówkę, mając świadomość, że jego ofiara jest innego kalibru, niż z początku sądził. Zupełnie innego kalibru. Niemal uśmiechnął się na tę myśl, niewątpliwie świadczyło to o opanowaniu i samokontroli, że potrafił czekać w swoim samochodzie w mroku w środku nocy, nie niepokojąc się. Jeśli



szantażysta nie przyjąłby jego warunków, mógł przecież spodziewać się policji pod swoimi drzwiami już następnego ranka. Za kilka godzin ledwie. Nie było to wykluczone.

Pomacał paczkę. Zastanawiał się, czy przeciwnik od razu się zorientuje, że nie zawiera dwustu tysięcy, czy odkryje to dopiero w domu. Dwie stare gazety, które podarł i włożył do reklamówki, w zamyśle nie miały udawać pieniędzy. Jedynie nadać jej pewną stabilność.

Dwie podarte gazety i koperta.

Pięć tysięcy guldenów i prośba o trzy dni zwłoki, tyle miał dostać przeciwnik jako zapłatę za nocną fatywę.

Starannie rozważył sumę. Była to dokładnie połowa żądanej uprzednio kwoty i więcej nigdy mu nie da. Przeciwnik miał uwierzyć, że dwieście tysięcy będzie czekało na niego w czwartek w nocy. Powinien chyba połknąć przynętę? Trzy dni dodatkowego czekania i pięć tysięcy ekstra, jaką miał, do cholery, alternatywę? Pójść na policję i obejść się smakiem? Mało prawdopodobne.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście czwarta. Wziął reklamówkę, wysiadł z samochodu i wszedł do parku.

Zorientował się wcześniej, gdzie stoi pomnik Hugona Maertensa i przekonał się, że przeciwnik dobrze przemyślał sprawę. Mrok w dziko porośniętym parku robił wrażenie czarnej dziury. Dopiero kiedy dostrzegł blade światło reflektora podświetlającego statwę, nabrał pewności, że nie zabłądził. Zatrzymał się na krótką chwilę, zanim wyszedł na niewielką otwartą przestrzeń, gdzie zbiegały się ścieżki z czterech czy pięciu stron.

Stał tam, wsłuchując się w ciszę. Pomyślał, że przeciwnik zapewne jest gdzieś w pobliżu, że może też czeka w napięciu w nocnym mroku z komórką w ręku. Albo przy pobliskiej budce telefonicznej.

Kule bilardowe, pomyślał znowu. Kule toczące się ku sobie, ale o włos unikające zderzenia. Których tory się przecinają, ale do zderzenia zostało kilka minut. Sekund.

Nędzne ułamki czasu.

Podszedł do kosza i wcisnął do niego reklamówkę.

W drodze powrotnej do Boorkhejm zastanawiał się, co by się zdarzyło, gdyby zepsuł mu się samochód. Nie była to przyjemna myśl. Stać na poboczu, próbując zatrzymać jakiegoś wczesnego kierowcę, żeby prosić o pomoc. Trudno by mu też było wytłumaczyć ewentualnemu policjantowi - gdyby na przykład ten zdecydował się zbadać sprawę nieco dokładniej - co robi poza domem. Na zwolnieniu lekarskim, ale w drodze o wpół do piątej nad ranem. Tylne siedzenie pokryte plamami krwi, które raczej nie uszłyby uwagi doświadczonych oczu.

Nie mówiąc już o konsekwencjach nieodebrania telefonu. Nie, bynajmniej nie była to przyjemna myśl.

Samochód się nie zepsuł. Oczywiście, że nie. Jego czteroletnie audi sprawowało się dzisiaj bez zarzutu podobnie jak we wszystkie inne dni. Bawił się tylko tą myślą. W tych dniach przychodziło mu do głowy wiele myśli... dziwacznych myśli, które nie zdarzały mu się nigdy wcześniej, i czasami dziwił się, dlaczego nagle szukały schronienia w jego głowie. Akurat teraz.

Wstawił samochód do garażu, wziął półtorej tabletki, położył się do łóżka i czekał na telefon. Trochę się zastanawiał, czy szantażysta coś powie, czy po prostu odłoży słuchawkę. To drugie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Po co miałby ponosić nawet tak małe ryzyko zdemaskowania? Głos jest zawsze nagi. Prędzej zadzwoni drugi raz - kiedy sprawdzi zawartość reklamówki i przeczyta wiadomość. Tego można było oczekiwać dużo prędzej. Kiedy zrozumie, że jeszcze nie dostał pieniędzy, jakich spodziewał się za wszystkie swoje wysiłki. Za swoją czarną grę.

Jeśli jego radiobudzik wskazywał dobrą godzinę, telefon odezwał się dokładnie pięć sekund po piątej. Odczekał trzy sygnały, zanim odebrał - choćby po to, żeby pokazać, że nie czekał w napięciu przy telefonie. Taka demonstracja mogła okazać się znacząca.

Podniósł słuchawkę i powiedział swoje nazwisko.

Przez kilka sekund słyszał obecność tamtego po drugiej stronie linii, potem połączenie zostało przerwane.

No dobra, pomyślał. Zobaczymy, co będziesz miał na sercu następnym razem.

Odwrócił się na drugi bok, poprawił poduszki i spróbował zasnąć.

Rzeczywiście mu się to udało. Kiedy obudził go dzwonek następnego telefonu, było piętnaście po jedenastej.

Przez krótką chwilę, która upłynęła, zanim chwycił za słuchawkę, zdążył uświadomić sobie, że coś jest nie w porządku. Że sprawy nie potoczyły się tak, jak przewidywał. Co się stało? Dlaczego przeciwnik czekał tyle godzin? Dlaczego...?

To był Smaage.

- Co z tobą, bracie?

- Chory jestem - wydobył z siebie.

- Tak, słyszałem. Księża klną, lekarze chorują. W jakich czasach my żyjemy?

Zaśmiał się, aż zaskrzypiało w słuchawce.

- Tylko lekka grypa. Ale wygląda na to, że będę musiał zostać w domu do końca tygodnia.

- O cholera. Planowaliśmy małe posiedzenie w piątek wieczorem, jak mówiłem. Nie dasz rady? W Canaille.

Zakaszłał i udało mu się wydobyć z piersi kilka ciężkich oddechów. Wypadł chyba dość przekonująco.

- Raczej nie. Ale w poniedziałek wracam do pracy.

Kiedy to powiedział, a Smaage życzył mu powrotu do zdrowia i odłożył słuchawkę, pomyślał, jak stuprocentowo błędna była to prognoza.

Cokolwiek się wydarzy - niezależnie od tego, jak kule potoczą się w najbliższych dniach - jedna rzecz była pewna. Tylko jedna. W poniedziałek nie pojedzie do szpitala.

Nigdy więcej nie postawi tam nogi.

W tej myśli było coś niesłychanie pociągającego.

- To j edziemy z burzą mózgów - powiedział Reinhart, starannie układając przed sobą na biurku fajkę, kapciuch i zapalniczkę.

- Dziś wieczorem spotykam się z komisarzem i pewnie zdajecie sobie sprawę, że jest zainteresowany naszymi postępami. Zamierzam dać mu taśmę z tej odprawy, bo nie chcę iść z zupełnie pustymi rękami. Uważajcie na to, co mówicie.

Włączył magnetofon. Obecność Van Veeterena stała się nagle niemal namacalna i zapadła pełna szacunku cisza.

- Hm, tak - odezwał się Reinhart. - Wtorek, ósmego grudnia, godzina piętnasta. Odprawa w sprawie Ericha Van Veeterena i Very Miller. Omawiamy obie sprawy naraz, nawet jeśli związek między nimi wcale nie jest pewny. Proszę bardzo, kto chce zabrać głos?

- Czy mamy coś oprócz domysłów Meussego, co wskazywałoby na to, że te dwie sprawy się ze sobą łączą? - zapytał deBries.

- Nic - przyznał Reinhart. - Poza tym, że domysły naszego kochanego lekarza są zwykle równoznaczne z niezbitymi faktami. Ale nawet on któregoś pięknego dnia musi się pomylić. Tak przypuszczam.

- Nie sądzę - odezwała się Moreno.

Reinhart otworzył kapciuch i powąchał zawartość, zanim mówił dalej.

- Jeśli jednak na początek skupimy się na Verze Miller

- zaproponował - to nie mamy żadnych nowych wiadomości od techników. Niestety. Tylko trochę dokładniejszy czas. Zmarła przypuszczalnie gdzieś między piętnaście po drugiej a wpół do czwartej w sobotnią noc. O której porzucono zwłoki w Korrim, trudno powiedzieć. Można sądzić, że powinna zostać odkryta wcześniej, jeśli długo tam leżała, ale musimy pamiętać, że nie była zbyt widoczna, a na tamtych drogach prawie w ogóle nie ma ruchu. W każdym razie nie w weekendy i o tej porze roku. Poza tym rozmawialiśmy trochę więcej z Andreasem

Wollgerem... ja i inspektor Moreno. Bogowie świadkiem, że niewiele wniósł, on też nie, ale przynajmniej zaczął przyznawać, że ich małżeństwo nie było idealne. Myślę, że naprawdę uświadomił to sobie dopiero teraz... sprawia wrażenie lekko upośledzonego, jeśli chodzi o labirynty miłości, to bogowie też mogą poświadczyć.

- Miał trzydzieści sześć lat, kiedy się ożenił - uzupełniła Moreno. - Wcześniej chyba nie miał zbyt wielu związków w swoim życiu. Jeśli w ogóle jakiegokolwiek.

- Dziwny typ - zauważył Rooth.

- Tak, sprawia wrażenie trochę miękkiego - przyznał Reinhart.

- Moim zdaniem nie ma osobowości mordercy zabijającego z zazdrości. W sytuacji kryzysowej wolałby raczej obciąć sobie jądra i podarować je na zgodę. Ma alibi do pierwszej w nocy w sobotę, kiedy to wyszedł z restauracji, w której był z przyjacielem... ale kto, do jasnej anielki, miewa alibi na środek nocy?

- Ja - oznajmił Rooth. - Moje rybki są moimi świadkami.

- Na razie skreślamy go z listy podejrzanych - podsumował Reinhart.

- To ilu nam zostało? - zaciekawiał się deBries. - Zakładając, że skreślamy też Rootha?

Reinhart miał jakąś odpowiedź na końcu języka, ale rzucił okiem na magnetofon i zatrzymał ją dla siebie.

- Może Rooth zechce nam powiedzieć, czego dowiedział się od matki Very Miller? - zaproponował w zamian.

Rooth westchnął.

- Nawet nie tyle, co kura pierdnie. Do tego jest nauczycielką przysposobienia do prowadzenia gospodarstwa domowego i hi- steryczką na punkcie kalorii, nie dała mi nawet zjeść drożdżówki w spokoju. Nie mój typ.

- Cierpimy wszyscy razem z tobą - zapewnił deBries. - Muszę powiedzieć, że według mnie gubimy jedną rzecz.

- Co takiego? - zapytała Moreno.

- No bo posłuchajcie. - DeBries przechylił się przez stół.

- Wiemy, że Yera Miller okłamywała tego anemika. Wiemy, że w grę musiał wchodzić inny facet. Dlaczego nie wyjdziemy z tym do mediów? Nie ścigniemy sukinkota przez gazety i telewizję? Ktoś przecież musiał widzieć ich razem... jeśli spotkali się w cztery, pięć weekendów z rzędu.

- Niekoniecznie - zaproponował Reinhart. - Nie wydaje mi się, żeby biegali po knajpach. Albo publicznie się migdalili. Poza tym... poza tym jest pewien aspekt etyczny.

-Niby jaki?

- Wiem, że nie jest to twoja mocna strona, ale tak się składa, że jeszcze tego nie potwierdziliśmy. Mówię o zdradzie. Jej bajeczki o kursie mogły być przykrywką dla czegoś zupełnie innego, nawet jeśli mi trudno zgadnąć dla czego. W każdym razie została zamordowana i myślę, że powinniśmy być nieco wstrzemięźliwi z wpisywaniem jej dodatkowo zdrady do nekrologu. Publicznie... zarówno ze względu na męża, jak i resztę rodziny. Nie chciałbym świecić oczami, gdybyśmy oczernili ją w prasie, a okazałoby się, że niesłusznie.

- Dobra. - DeBries wzruszył ramionami. - Poddaję się. Nazywałeś to etyką?

- Etyką - potwierdził Reinhart i nacisnął przycisk przerwy w magnetofonie. - Proponuję teraz, żebyśmy napili się kawy.

- Obawiam się, że nie mamy też za dużo nowego o Erichu Van Veeterenie - stwierdził Reinhart, kiedy panna Katz opuściła pokój. - Sporo przesłuchań, oczywiście, przeprowadzonych głównie przez asystenta Bollmerta. Coś dały?

- Na ile mogą ocenić, to nie - powiedział Bollmert, kręcąc nerwowo automatycznym ołówkiem. - Rozmawiałem z kuratorami i dawnymi znajomymi Ericha, ale większość nie miała z nim wiele do czynienia w ostatnich latach. Sporządniał, jak wiemy. Niektórych zdążyłem też zapytać o Verę Miller, ale również tutaj pudło.

- No cóż, tak to wygląda - przyznał Reinhart. - Żadnych wygranych losów. Można by zakładać, że ktoś - przynajmniej jeden człowiek - będzie znał obie ofiary... tak wynika z czystej

statystyki. Rozmawialiśmy przecież, do cholery, z setkami ludzi. No, ale nic z tego.

- Może tym wspólnym znajomym jest morderca - zauważył Rooth - i jest na tyle sprytny, że zachował to dla siebie.

- Niewykłuczone - powiedział Reinhart niewzruszony.

- Nawiasem mówiąc, spędziłem trochę czasu, próbując znaleźć możliwe powiązanie między Erichem Van Veeterenem a panią Miller - jak mogłoby ono wyglądać czysto teoretycznie - ale muszę powiedzieć, że nie jest to wcale proste. Wychodzą głównie bzdurne hipotezy... niestworzone historie.

Poszukał wzroku Moreno; uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową, więc zrozumiał, że była tego samego zdania. Podniósł rękę, żeby wyłączyć magnetofon, ale się powstrzymał. Jung pomachał ołówkiem, nad czymś się zastanawiał.

- A propos hipotez. Poszperałem trochę w związku z hipotezą Rootha.

- Rootha? - Reinhart uniósł brwi. - Hipoteza?

- O której mówisz? - zapytał Rooth.

- O gangu znaczkowym - powiedział deBries.

- Nie, o syndromie stetoskopu - wyjaśnił Jung.

Teraz Reinhart wyłączył magnetofon.

- Co wy, do cholery, wyprawiacie? Cholerni pajace. Czekaście, cofnę taśmę.

- Sorry - przeprosił deBries.

- Mówię poważnie - powiedział Jung. - Tym, co...

Zaczekał, aż Reinhart wciśnie z powrotem „Play”.

- No więc Rooth wymyślił, że ten facet... jeśli Vera Miller rzeczywiście miała innego faceta... z dużym prawdopodobieństwem może być lekarzem. Wiecie, pielęgniarki, białe kitle i tak dalej...

Przerwał, rozglądając się, jakie są reakcje.

- Mów dalej - polecił Reinhart.

- Warto było chociaż sprawdzić, czy mogła mieć romans z jakimś lekarzem z Gemejnte. Czytałem, że prawie wszyscy zdradzający znajdują kochanka czy kochankę w miejscu

pracy... przed południem porozmawiałem więc trochę z Liljaną.

- Z Liljaną? Kim, do cholery, jest Liljana?

Reinhart mógł przysiąc, że Jung poczerwieniał.

- Koleżanka Very Miller z pracy. Pierwszy raz rozmawiałem z nią wczoraj.

- Widziałem ją - wtrącił się Rooth. - Prawdziwa bomba z Bałkanów i nie mówię o bombie lotniczej.

Reinhart spojrział na niego złym wzrokiem, potem zerknął na magnetofon, ale zostawił nagranie.

- Mów dalej - powtórzył. - Co miała do powiedzenia?

- Obawiam się, że niewiele - przyznał Jung. - Ale nie uważa tego za niemożliwe, że Vera miała coś na boku z lekarzem. Wydawało jej się, że ktoś z pracy zrobił aluzję na ten temat, choć nie była pewna.

- Ktoś z pracy? - zapytała Moreno. - A co tamta mówi? Bo zakładam, że to kobieta.

- Tak. Młodsza pielęgniarka. Nie zastałem jej. Ma wolne dziś i jutro.

- Szlag by trafił - zdenerwował się Reinhart. - No nic, trzeba ją oczywiście odszukać. Warto zgłębić tę sprawę... muszę powiedzieć, że brzmi to dość prawdopodobnie. Pielęgniarka i lekarz, nie byłoby to pierwszy raz.

- W Gemejnte jest chyba więcej białych kitli - zauważył de-Bries.

Reinhart posłał fajkę z taką miną, jakby miał ochotę kogoś zamordować.

- Zrobimy tak - oznajmił po kilku sekundach namysłu. - Zadzwoń do ordynatora... czy dyrektora szpitala, czy jaki on tam ma tytuł. Niech da nam cały spis, miejmy nadzieję, że mają też zdjęcia. Byłoby naprawdę pechowo, gdyby chociaż tutaj nie poszło nam trochę bardziej gładko... a może inspektor Rooth ma też jakąś teoryjkę, jak to powiązać z Erichem Van Veeterenem?

Rooth pokręcił przecząco głową.



- Wydawało mi się, że miałem. Ale zapomniałem jaką.  
DeBries głośno westchnął. Reinhart wcisnął „Stop”, odprawa była zakończona.

Ponownie wybrał Vox - za zgodą Van Veeterena - ale piosenkarka o aksamitnym głosie nie miała umilać tego wieczoru. Ani żadna inna muzyka, ponieważ był wtorek. W poniedziałki i wtorki mało kto do Voksa przychodził; poza Reinhartem i Van Veeterenem zaledwie garstka apatycznych gości siedziała przy metalicznie błyszczących stolikach. Komisarz już czekał, kiedy pojawił się komisarz. Reinhart po raz pierwszy - po raz pierwszy, odkąd pamiętał - pomyślał, że Van Veeteren wygląda staro.

Może nie tyle staro, ile na zrezygnowanego w sposób charakterystyczny dla wielu starszych ludzi. Jakby jakieś strategiczne mięśnie karku i pleców w końcu miały dość i ściągnęły się po raz ostatni. Albo zwiotczały. Przyjmował, że Van Veeteren musi być po sześćdziesiątce, ale nie miał pewności. Jednym z mało klarownych faktów dotyczących komisarza był jego prawdziwy wiek.

- Dobry wieczór - przywitał się Reinhart i usiadł. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Dziękuję - powiedział Van Veeteren. - Tak, nie śpię po nocach.

- Niedobrze. Pan Bóg nie wyświadcza nam przysługi, pozbawiając nas snu.

Van Veeteren uniósł pokrywkę swojej maszynki do papierosów.

- Przestał nam wyświadczać przysługi setki lat temu. Diabli wiedzą, czy kiedykolwiek wyświadczał.

- Może tak być - zgodził się Reinhart. - O milczeniu Boga po Bachu człowiek przecież czytał. Dunkel dwa razy prosimy.

Ostatnie zdanie skierował do kelnera, który wychynął z cienia.

Van Veeteren zapalił papierosa. Reinhart zaczął nabijać fajkę.

Ciężko, pomyślał. Dziś wieczorem będzie ciężko.

Wyciągnął kasetę z kieszeni marynarki.

- Ja też nie przychodzę z dobrą nowiną - przyznał. - Ale jeśli chcesz mieć pojęcie, na czym stoimy, zawsze możesz tego posłuchać. To z dzisiejszej odprawy. Naturalnie żadne *peak experience*, ale ty wiesz, jak to bywa. Jednego głosu nie znasz, to Bollmert.

- Zawsze coś - powiedział Van Veeteren. - Tak, zorientowałem się, że nie jest łatwo trzymać się z boku.

- Raczej zrozumiałe.

Reinhart wyjął zdjęcie Very Miller.

- Znasz tę kobietę?

Van Veeteren przyglądał się zdjęciu przez kilka sekund.

- Tak. Znam.

- Co? Skąd, do cholery?

- Jeśli oczywiście z kimś jej nie myślę. - Van Veeteren oddał Reinhartowi zdjęcie. - Pielęgniarka z Gemejnte. Opiekowała się mną, kiedy kilka lat temu miałem operację wyrostka. Sympatyczna kobieta, czemu o nią pytasz?

- To Vera Miller. Ta, którą w ostatnią niedzielę znaleźliśmy zamordowaną w Korrim.

- Ta, która ma jakiś związek z Erichem?

Reinhart skinął głową.

- To tylko hipoteza. Na razie niesłychanie wątpliwa, ale może jesteś w stanie ją potwierdzić?

Kelner przyniósł piwo. Wypili po łyku. Van Veeteren ponownie spojrzął na zdjęcie i z ponurą miną pokręcił wolno głową.

- Nie. Czysty przypadek, że ją zapamiętałem. Czy dobrze zrozumiałem, że to Meusse wskazał owo powiązanie?

- Tak, Meusse. Uważa, że świadczy o tym uderzenie w kark. Nieco specyficzne, jak mówi. W obu przypadkach... tak, znasz przecież Meussego.

Van Veeteren pogrążył się w milczeniu. Reinhart zapalił fajkę i pozwolił mu w spokoju rozmyślać. Nagle poczuł, jak wzbiera w nim ogromna złość. Złość na tego, co zabił syna komisa- r z a. Co zabił Verę Miller.

Czy był to ten sam człowiek, czy było ich dwóch? Bez różnicy.

No więc złość na tego mordercę lub tych morderców, ale też na wszystkich pozostałych zabójców... i pojawiło się jego najzimniejsze i najmroczniejsze wspomnienie. Zabójstwo Seiki. Jego dziewczyny. Seiki, z którą by się ożenił, z którą założyłby rodzinę. Seiki, którą kochał jak nikogo innego. Seiki o wysokich kościach policzkowych, na wpół azjatyckich oczach, śmiejącej się najpiękniej na świecie. To było blisko trzydzieści lat temu; leżała w tym przeklętym grobie w Linden od trzech dziesięcioleci... dziewiętnastoletnia Seika, która byłaby jego żoną.

Gdyby nie jeden z tych zabójców; tym razem nożownik, naćpany szalencie, który pchnął ją nożem pewnego wieczoru w parku Wollerims bez cienia powodu.

Nie większego w każdym razie niż te dwanaście guldenów, które miała w portmonetce.

A teraz syn komisarza. Do cholery, pomyślał Reinhart. Ma całkowitą rację, dawno temu Pan Bóg przestał nam wyświadczać przysługi.

- Pojechałem do Dikken - przerwał jego rozważania Van Veeteren.

- Co? Ty?

- Tak, ja. Pozwoliłem sobie zadziałać na własną rękę, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Jasne.

- Rozmawiałem z kilkoma osobami z tej restauracji. To coś w rodzaju terapii. Nie spodziewam się, że znajdę coś, czego wy nie znaleźliście, ale tak cholernie ciężko siedzieć z założonymi rękami. Możesz to zrozumieć?

Reinhart odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Pamiętasz, dlaczego zostałem policjantem? Moja narzeczona w parku Wollerims?

Van Veeteren skinął głową.

- Oczywiście, że pamiętam. No tak, to rozumiesz. W każdym razie zastanawia mnie jedna rzecz.

- Jaka?

- Reklamówka - powiedział Van Veeteren. - Ta reklamówka, która zmieniła właściciela. Czy miała zmienić właściciela.

- Jaka znowu cholerna reklamówka?

Van Veeteren przez chwilę milczał.

- To nie wiecie o niej?

Szlag by trafił, pomyślał Reinhart. Znowu nas zapędził w kozi róg.

- Ktoś wspomniał o jakiejś reklamówce - powiedział, starając się nie okazać zakłopotania. - Zgadza się.

- Wygląda na to, że ten Mr X, tożsamy zapewne z zabójcą - ciągnął komisarz, rozwlekłe wymawiając słowa, co w uszach Reinharta zabrzmiało jak żenująco uproszczone tłumaczenie - postawił sobie pod nogami reklamówkę, kiedy siedział przy barze. I wygląda na to, że Erich trzymał ją w ręku, kiedy stamtąd wychodził.

Uniósł jedną brew, czekając na reakcję Reinharta.

- Do cholery. Szczerze mówiąc... szczerze mówiąc, boję się, że to nam umknęło. Ta druga część. Kilka osób wspomniało, że Mr X miał ze sobą reklamówkę, ale nie dotarło do nas, że potem wziął ją Erich. Jak się tego dowiedziałeś?

- Trafiłem na właściwe osoby - powiedział Van Veeteren skromnie, oglądając świeżo skręconego papierosa. - Jedna z kelnerek miała wrażenie, że widziała go wychodzącego z reklamówką, a kiedy o tym wspomniała, barman też sobie przypomniał.

Trafił też na właściwe pytania, pomyślał Reinhart i poczuł, jak jego świadomość wypełnia od dawna zakorzeniony podziw, przesłaniając zarówno złość, jak i wstyd. Podziw dla tej psychologicznej przenikliwości, którą komisarz był obdarzony i która... przedostawała się jak skalpel przez tonę ciepłego masła szybciej, niż setka policjantów w kuloodpornych kamizelkach dostrzegłaby wagę przeczcucia.

Tak zwana intuicja.

- Jakie wyciągasz wnioski? - zapytał.

- Erich tam był, żeby coś odebrać.

-Najwyraźniej.

- Pojechał do Trattorii Commedia i zabrał reklamówkę z umówionego miejsca... może z toalety.

Reinhart skinął głową.

- Nie wiedział, kim jest Mr X i nigdy nie miał się dowiedzieć.

- Skąd wiesz?

- Gdyby grali w otwarte karty, mogliby się spotkać gdziekolwiek. Na parkingu na przykład. Po co urządziłby tę cholerną maskaradę, jeśli nie była konieczna?

Reinhart zastanowił się.

- Mr X był przebrany - powiedział.

- Chciał zabić mojego syna - zauważył Van Veeteren. -I zrobił to. Jasne, do cholery, że był przebrany.

- Dlaczego przekazał reklamówkę, skoro i tak chciał go zabić?

- Sam sobie odpowiedz na to pytanie - powiedział Van Veeteren.

Reinhart próbował dwukrotnie zaciągnąć się zgasłą fajką.

- O w mordę. Rozumiem. Nie znał Ericha. To działało w obie strony. Nie wiedział, kto to jest, dopóki nie zobaczył Ericha z reklamówką. .. czekał pewnie w samochodzie na parkingu.

- Prawdopodobnie - przyznał Van Veeteren. - Też wyciągnąłem taki wniosek. Co dalej? Jak myślisz, o co chodziło? Kto rozkazywał, a kto słuchał?

Dobre pytanie, pomyślał Reinhart. Kto rozkazywał, a kto słuchał?

- Erich rozkazywał, a Mr X słuchał - powiedział. - Przynajmniej na początku. Potem Mr X doprowadził do odwrócenia ról... to dlatego, tak, jasne, dlatego to zrobił. Dlatego go zabił.

Van Veeteren odchylił się w tył i zapalił papierosa. Jego syn, pomyślał Reinhart. Rozmawiamy, do cholery, o jego zamordowanym synu.

-A jak sądzisz, o co chodziło?

Przez pięć sekund narkotykowa chmura wisiała w powietrzu, przesłaniając myśli Reinharta, potem znalazł odpowiedź.

- Szantaż. To, do cholery, jasne jak słońce.

- Twierdzi, że Erich nigdy nie parał się czymś takim - powiedział Reinhart godzinę później do Winnifred. - Wierzę mu. Poza tym wydaje się nieprawdopodobne, że byłby tak nieprzeciętnie głupi, by po prostu tam pojechać, usiąść w restauracji i czekać na pieniądze... gdyby wiedział, o co chodzi. Erich był posłańcem. Ktoś inny... prawdziwy szantażysta... posłał go. Kiedy się nad tym zastanowić, jest to oczywiste jak mało co. Wszystkie elementy pasują.

- A ta Vera Miller? - zapytała Winnifred. - Kryje się za tym w jakiś sposób?

- Bardzo możliwe - powiedział Reinhart. - Morderca myślał, że szantażystą jest Erich, zabił go zupełnie niepotrzebnie. Może w przypadku Vera Miller zabił właściwą osobę.

- Czy Erich i Vera Miller się znali?

Reinhart westchnął.

- Niestety nie. Tu na razie utknęliśmy. Nie znaleźliśmy najmniejszego powiązania między nimi. Ale niewykluczone, że istnieje. Jeśli przyjmujemy, że morderca jest lekarzem z Gemejnte, to można przecież sobie wyobrazić, że Vera Miller miała na niego jakiegoś haka. Sfuszerowana operacja czy cokolwiek. Lepiej nie być w skórze lekarza, który popełnił błąd... mógł na przykład doprowadzić do śmierci pacjenta przez zwykłe zaniedbanie. Dostrzegła szansę na zarobienie trochę pieniędzy i z niej skorzystała... że później poszło jak poszło, to inna sprawa. Jest to jakaś teoria.

Winnifred zrobiła powątpiewającą minę.

- A po co poszła z nim do łóżka? Bo przecież poszła?

- Hm. Czy ty się urodziłaś wczoraj, moja piękna? To właśnie w łóżku mężczyzna się odsłania. To tam kobieta dowiaduje się o wszystkich sukcesach i słabościach mężczyzny.

Winnifred zaśmiała się zachwycona i wśliznęła do niego pod kołdrę.

- Mój książę. Masz absolutną rację, ale obawiam się, że będziesz musiał poczekać jeszcze kilka dni, żeby wykazać się sukcesami.

- Jest jak jest - powiedział Reinhart, gasząc światło. - A sła-  
bości trudno się u mnie doszukać.  
Piętnaście minut później wstał.  
- Co robisz? - zapytała Winnifred.  
- Joasia. Wydawało mi się, że coś słyszałem.  
- Wcale nie - powiedziała Winnifred. - Ale przynieś ją do nas,  
będziemy spali we trójkę. Bo to właśnie pomyślałeś?  
- Mniej więcej - przyznał Reinhart i poszedł do pokoju dzie-  
ciniego.  
Moja żona wie, co pomyślę, jeszcze przede mną, stwierdził,  
ostrożnie podnosząc śpiącą córkę. Jak, u licha, ona to robi?

## 25

W środę 9 grudnia było dziesięć, jedenaście stopni powyżej  
zera i wysokie, bezchmurne niebo.

A także zdziwione słońce, które sprawiało wrażenie niemal  
zawstydzonego, że musi pokazywać swą bladą nagość. Van  
Veeteren zadzwonił do Ulrike do pracy, dowiedział się, że  
kończy w porze lunchu, i zaproponował przejażdżkę  
samochodem nad morze. Nie byli tam od jakiegoś czasu. Z  
miejsca się zgodziła; usłyszał po głosie, że jest zaskoczona i  
ucieszona, i przypomniał sobie, że ją kocha.

Potem przypomniał o tym również jej.

Żyjący muszą dbać o siebie nawzajem, pomyślał. Najgorsze to  
umrzeć, nie zaznawszy życia.

Siedząc w samochodzie przed brudnobrazowym kompleksem  
biurowym Remingtona, zastanawiał się, czy Erich zaznał życia.  
Czy zdążył z tym, co w życiu istotne, cokolwiek miało to być.  
Gdzieś przeczytał, że mężczyzna ma do zrobienia w życiu trzy  
rzeczy: spłodzić syna, napisać książkę i zasadzić drzewo.

Zastanawiał się, dlaczego akurat te. Erich w każdym razie nie  
zdążył zrobić ani pierwszej, ani drugiej. Czy zasadził drzewo,  
pozostawało oczywiście niewiadomą, ale nie wydawało się to  
zbyt prawdopodobne. W ustaleniu, jak to jest z nim samym,

przeszkodziła mu Ulrike, która klapnęła na siedzenie obok.

- Cudownie - powiedziała. - Co za wspaniały dzień.

Pocałowała go w policzek i ku swojemu zdumieniu doznał erekcji. Życie toczy się dalej, pomyślał skołowany. Mimo wszystko.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał.

- Emsbaden albo Behrensee - odparła bez wahania. Widać było, że zastanawiała się nad tym, odkąd zadzwonił.

- Emsbaden - zdecydował. - Za Behrensee nie przepadam.

- Dlaczego?

- Hm. Kilka lat temu zdarzyła się tam pewna rzecz. Nie mam ochoty przypominać sobie tego.

Czekała na dalszy ciąg, ale nic więcej nie powiedział, tylko uruchomił samochód i wyjechał z parkingu.

- Mój tajemniczy kochanek.

Przez godzinę spacerowali po wydmach, potem zjedli późny lunch w restauracji de Dirken przy samej latarni morskiej w Emsbaden. Odwłoki homarów norweskich w sosie koperkowym, kawa i ciasto marchewkowe. Rozmawiali o Jess, trojgu dzieciach Ulrike i ich przyszłości.

W końcu również o Erichu.

- Pamiętam jedną rzecz, jaką powiedziałaś - wspomniała Ulrike. - Wtedy, kiedy znaleźliście kobietę, która zamordowała Karela.

Karel Innings był mężem Ulrike, ale nie ojcem jej dzieci. Te miała z pierwszego małżeństwa z agentem nieruchomości, dobrym i rzetelnym ojcem rodziny, dopóki jego dziedziczny alkoholizm wszystkiego nie zniweczył.

- Nigdy jej nie znaleźliśmy - sprzeciwił się Van Veeteren.

- Znaleźliście jej motyw - powiedziała Ulrike. - W każdym razie mówiłeś, że z jej punktu widzenia... w jakimś sensie... zabicie mojego męża było uprawnione. Pamiętasz?

- Oczywiście - przytaknął Van Veeteren. - Ale tylko z bardzo osobistego, wypaczonego punktu widzenia. Takie sformułowanie to zbyt uproszczenie.



- Czy nie jest tak zawsze?
- Co masz na myśli?
- Czy nie jest zawsze tak, że morderca - albo generalnie sprawca - uważa, że jego przestępstwo jest uprawnione? Czy nie musi utrzymywać tak przynajmniej sam przed sobą?
- To stary problem - powiedział Van Veeteren. - Ale w zasadzie masz rację. Morderca hołubi swoje motywy; naturalnie je też ujawnia - inna sprawa, jeśli robi to kto inny. Bez wątpienia wszystkie nasze działania mają swoją przyczynę, ale dogmat grzechu pierworodnego w dzisiejszych czasach nie przekonuje przysięgłych... są znacznie twardsi.

- Ale ty w niego wierzysz?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, patrząc na morze.

- Tak, oczywiście. Nie bronię podłych czynów, ale jeśli nie zrozumie się natury przestępstwa... motywów przestępcy... to nie zajdzie się daleko jako policjant. Istnieje pewna mroczna logika, która często jest łatwiejsza do odkrycia niż ta kierująca naszym normalnym postępowaniem. Chaos, jak wiadomo, jest sąsiadem Boga, ale w piekle na ogół panuje ład i porządek...

Zaśmiała się, jedząc ciasto.

- Mów dalej.

- Skoro tak ładnie prosisz. Ta zdegenerowana logika może dotknąć nas wszystkich, kiedy zostaniemy zepchnięci do narożnika. Nie sztuką jest zrozumieć, że muzułmanin morduje swoją siostrę za to, że wyskoczyła na dyskotekę i chce żyć na zachodnią modłę... żadną sztuką, jeśli zna się kontekst kulturowy. To, że sama zbrodnia jest tak obrzydliwa, że sama myśl o niej przyprawia cię o mdłości... że odruchowo masz ochotę zmasakrować sprawcę, to inna sprawa. Zupełnie inna sprawa.

Zamilkł. Przyglądała mu się poważnym wzrokiem, potem wzięła go za rękę.

- Przestępstwo rodzi się w rozpadlinie między moralnością społeczeństwa a jednostki - dodał Van Veeteren, zastanawiając się jednocześnie, na ile jest to trafna sentencja.

- A jak znajdą mordercę Ericha? - zapytała Ulrike. - Też go zrozumiesz?

Zwlekał z odpowiedzią. Znowu spojrział na plażę. Słońce się schowało i pogoda była pewnie taka sama jak wtedy, zanim jakiś bóg wpadł na pomysł, by ją stworzyć. Osiem stopni ciepła, słaby wiatr, białe niebo.

- Nie wiem. To dlatego chcę znaleźć się z nim oko w oko. Puściła jego rękę, marszcząc czoło.

- Nie rozumiem, jak możesz dobrowolnie wystawiać się na coś takiego. Żeby chcieć usiąść naprzeciwko mordercy własnego syna. Czasami cię nie rozumiem.

- Nigdy nie twierdziłem, że sam siebie rozumiem - powiedział Van Veeteren.

I nigdy nie mówiłem, że nie chciałbym wpakować mu kuli między oczy, pomyślał, ale zachował to dla siebie.

W drodze powrotnej Ulrike wystąpiła z propozycją.

- Chcę, żebyśmy zaprosili jego narzeczoną na kolację.

- Kogo? - zapytał Van Veeteren.

- Marlene Frey. Zaprosimy ją na jutro wieczór. U ciebie. Zadzwoń do niej.

Ta myśl nie przyszła mu do głowy. Zastanawiał się dlaczego. Zawstydził się na dwie sekundy, a potem się zgodził.

- Pod warunkiem że ty zostaniesz na noc - dodał.

Ulrike zaśmiała się i uderzyła go lekko piąstką w ramię.

- Już obiecałam - powiedziała. - Czwartek, piątek i sobota.

Jtirg wyjechał na obóz ze szkoły.

- Wspaniale. Cholernie źle śpię, kiedy ciebie nie ma.

- Nie wybieram się do ciebie, żeby spać.

- Wspaniale - powtórzył Van Veeteren z braku lepszej odpowiedzi.

Komendant Hiller złożył ręce na skórzanej podkładce i próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Reinhartem. Reinhart ziewnął i spojrział na zieloną palmową roślinę, której nazwę chyba kiedyś znał.

- Hm, tak - odezwał się Hiller. - Przed południem spotkałem

przypadkiem komisarza... mówię o komisarzu.

Reinhart przeniósł wzrok na fikus.

- Mocno to przeżył, tę historię z synem. Chcę, żebyś o tym wiedział. Nie ma się co dziwić. Po tych wszystkich latach i wszystkim... uważam, że to sprawa honoru. Musimy znaleźć zabójcę. Nie może wyśliznąć nam się z rąk. Jak daleko zaszliście?

- Kawalek - powiedział Reinhart. - Robimy, co możemy.

- Aha. Nie wątpię w to, oczywiście. Wszyscy... naprawdę wszyscy... muszą podchodzić do tego tak jak ja. Że to sprawa honoru. Jeśli już koniecznie musicie zostawić jakichś morderców

na wolności, to nie tego. Pod żadnym pozorem. Potrzebujesz więcej środków i ludzi? Jestem gotowy dać wiele... bardzo wiele. Tylko powiedz.

Reinhart nic nie odrzekł.

- Jak wiesz, nigdy nie wtrącam się do działań operacyjnych, ale jeśli chcesz je ze mną przedyskutować, jestem do dyspozycji. A środki i ludzie, jak powiedziałem... bez ograniczeń. Sprawa honoru. Jasne?

Reinhart podniósł się z gąbczastego fotela.

- Jasne jak słońce. Ale równań nie rozwiązuje się przy użyciu dywizji pancernych.

- Co? - zdziwił się komendant. - Co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

- Wyjaśnię ci innym razem - odparł Reinhart, otwierając drzwi. - Trochę mi się śpieszy, jeśli wybaczysz.

Jung i Moreno czekali w jego gabinecie.

- Pozdrowienia z *Fifth floor* - powiedział Reinhart. -- Ogrodnik ma kolejny nowy garnitur.

- Był w telewizji? - zapytał Jung.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Moreno.

- Może dopiero się wybiera?

Reinhart zajął miejsce za biurkiem i zapalił fajkę.

- No i? Jak sytuacja?

- Nie dotarłem do niej - powiedział Jung. - Wyjechała gdzieś ze swoim chłopakiem. Wraca do pracy dopiero jutro po południu. Przykro mi.

- Szlag by to trafił - zaklął Reinhart.

- O kim mówicie? - zapytała Moreno.

- O Edicie Fischer - wyjaśnił Reinhart. - Tej pielęgniarce, która napomknęła drugiej pielęgniarce, że Vera Miller coś napomknęła... Boże, ale cienka ta zupa! Jak poszło z inwentaryzacją lekarzy?

- Znakomicie. - Moreno podała mu segregator, który trzymała na kolanach. - Tu masz nazwiska i zdjęcia wszystkich stu dwudziestu sześciu lekarzy pracujących w Gemejnte. Plus kilku, którzy odeszli w tym roku, ale zostało to zaznaczone. Data urodzenia, okres zatrudnienia, osiągnięcia naukowe, specjalizacje, wszystko, czego dusza zapagnie. Nawet stan cywilny i członkowie rodzin. W Gemejnte panuje ład i porządek.

- Nieźle - przyznał Reinhart, wertując segregator. - Naprawdę nieźle. Podział na kliniki i oddziały też jest?

- Oczywiście. Już zaznaczyłam tych, którzy pracują na oddziale czterdziestym szóstym, tam gdzie Vera Miller. Sześciu na stałe i siedmiu, ośmiu dochodzących. Wielu pracuje jednocześnie na kilku oddziałach, zwłaszcza specjaliści... anestezjolodzy i tym podobni.

Reinhart skinął głową, wertując dalej i studiując rzędy uśmiechniętych mężczyzn i kobiet w białych kitlach. Najwyraźniej pozowanie do zdjęcia w ten sposób należało do obowiązków służbowych. Tło było jednakowe na większości zdjęć i wszyscy - no, prawie wszyscy - trzymali głowę pod tym samym kątem z kącikami ust zadartymi ku górze. Zdecydowanie ten sam fotograf. Reinhart zastanawiał się, jaką oklepaną historię miał na podorędziu, że skłaniał wszystkich do takiego otwarcia dzioba.

- Nieźle - powiedział po raz trzeci. - Czyli mamy tu zdjęcie i dane osobowe mordercy z numerem buta włącznie. Szkoda tyl-

ko, że nie wiemy który to. Jeden ze stu dwudziestu sześciu...

- Jeśli ciągle pracujemy zgodnie z hipotezą Rootha - powiedziała Moreno - czterdzieści osób możesz odliczyć.

- Niby dlaczego?

- Bo to kobiety. Ale nie wiem, co mamy dalej z tym zrobić. Przesłuchanie wszystkich bez odsiewu będzie trochę obcesowe. Nawet jeśli na zdjęciach wyglądają przyjaźnie, w rzeczywistości mogą się okazać mniej przyjemni. Zwłaszcza jeśli zorientują się, o co ich podejrzewamy... do tego dochodzi solidarność zawodowa.

Reinhart skinął głową.

- Zaczniemy od tych najbliższych związanych z Verą Miller. Na razie tylko ci. Jak powiedziałaś? Sześciu na stałe w klinice i kilku dodatkowo? Powinniśmy się z nimi uporać, zanim pojawi się świadek Junga. Kto się tym zajmie?

- Nie Rooth - powiedział Jung.

- Okej, nie Rooth - zgodził się Reinhart. - Ale mam właśnie przed sobą dwoje solidnych kolegów. Życzę udanego polowania. Proszę.

Zamknął segregator i podał im. Ponieważ Jung wyszedł pierwszy, Reinhart zdążył zadać pytanie inspektor Moreno.

- Dobrze ostatnio sypiasz?

- Coraz lepiej. - Uśmiechnęła się. - A ty?

- Tak jak na to zasługuję - odparł Reinhart tajemniczo.

## 26

W czwartkowej poczcie oprócz rachunków znajdowały się dwa listy.

Jeden był ze Spaarkasse i zawierał informację, że wniosek O kredyt został rozpatrzony pozytywnie. Kwota dwustu dwudziestu tysięcy guldenów już wpłynęła na jego rachunek. Drugi był od przeciwnika.

Tym razem inna koperta. Prostsza, tańsza. Papier listowy zastąpiła złożona na pół kartka, najprawdopodobniej wyrwana

z kołonoatnika. Zanim zaczął czytać, rozważył, czy to obniżenie jakości coś oznacza, czy w jakiś sposób jest istotne. Nie doszedł do żadnej konkluzji. Instrukcje były równie proste i jasne jak poprzednio.

*Pańska ostatnia szansa. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Przekazanie tak samo jak ostatnim razem.*

*Miejsce: Śmietnik za grill-barem na rogu Armastenstraat i Bremers steeg.*

*Czas: Noc z czwartku na piątek, godz. 3.00.*

*Proszę być przy telefonie w swoim domu o 4.00. Proszę nie próbować przenosić połączenia na komórkę, takie ryzyko zostało przeze mnie uwzględnione i wykluczone. Jeśli w piątek rano nie będę mieć swoich pieniędzy, jest Pan stracony.*

*Przyjaciel*

Manewr z telefonem komórkowym rzeczywiście przyszedł mu do głowy. Podzwonił, żeby zbadać sprawę, ale ustalił, że telefonujący mógł sprawdzić, czy rozmowa nie została przeniesiona na inny numer. W przeciwnym razie stanąłby wobec pokusy, żeby ukryć się dwadzieścia metrów dalej w głębi Bremers steeg - wiedział, że to wąska i ciemna uliczka - i zaczekać na przeciwnika z rurką pod płaszczem. Niezwykle silnej pokusy.

Inną myślą, która uderzyła go, kiedy czytał instrukcje, była ta przeklęta pewność siebie szantażysty. Na jakiej podstawie wykluczał na przykład, że jego ofiara posłuży się pomocnikiem, jak on sam zrobił to w Dikken?

Skąd szantażysta miał tę pewność? Przecież równie dobrze mógł poprosić przyjaciela o przysługę, nie wyjawiając mu, o co chodzi. Wystarczyłoby, żeby ktoś inny odebrał telefon. Czy też przeciwnik tak dobrze znał jego głos, że natychmiast zdemaskowałby to posunięcie? Czy znał go aż tak dobrze?

A może tym razem rozbudował taktykę? W jakiś sposób ją dopracował? Na to wyglądało. Może poda w rozmowie telefonicznej dalsze instrukcje, żeby zagwarantować sobie spokojny i bezpieczny odbiór pieniędzy za grill-barem.

Jak w takim przypadku? Jakie to cholerne instrukcje? Czy był uzbrojony?

Ostatnie pytanie pojawiło się bez udziału jego myśli, ale szybko uznał je za najistotniejsze. Czy nie było tak, że przeciwnik miał broń i - w ostateczności - gotów był jej użyć, żeby zgarnąć pieniądze? Pistolet w kieszeni kurtki w ciemnej uliczce?

Schował list do koperty i spojrzął na zegarek.

11.35. Zostało niecałe szesnaście godzin.

Mało czasu. Strasznie mało czasu przed - z pewnością-ostatnią rundą. Kolejne odroczenie nie wchodziło w grę.

Pora uciekać?

## 27

W czwartek przed południem Moreno i Jung przeprowadzili rozmowy równo z tuzinem lekarzy. W tym z trzema kobietami - choćby po to, żeby nie budzić podejrzeń.

Podejrzeń, że policja podejrzewa ich kolegów. A przynajmniej jednego z nich.

Oficjalnym powodem przesłuchań była konieczność uzyskania informacji o zamordowanej pielęgniarce Verze Miller. Jakie mają o niej wyobrażenia. Jaka była w stosunku do nich i pacjentów. Wszystko, co w jakiś sposób mogło uzupełnić jej obraz. Zwłaszcza jako pielęgniarki.

Wszyscy lekarze opowiadali też - bez przemilczeń, na ile Moreno i Jung mogli ocenić - co wiedzieli o siostrze Miller. Jedni mieli sporo do powiedzenia, inni, co naturalne, mniej, bo rzadziej z nią współpracowali. Opinie i wrażenia okazały się zaskakująco zgodne. Vera Miller była doskonałą pielęgniarką. Kompetentna, miła, lubiąca swoją pracę - z tą odrobiną dodatkowego współczucia dla pacjentów, które było tak ważne

i które powinni wykazywać wszyscy pracujący w opiece zdrowotnej.

*De mortuis...* pomyślała Moreno, ale myśl pojawiła się automatycznie i w tym przypadku raczej nie pasowała. Siostra Miller była po prostu lubiana i ceniona. Nikt z lekarzy nie miał pomysłu, kto mógłby mieć powód, by zabić ją w taki sposób, w jaki ją zabito - czy w jakikolwiek inny. Nawet cienia pomysłu. Nie mieli go również Moreno i Jung, kiedy zakończyli przesłuchania i zeszli na lunch do restauracji w bloku A. Nawet cienia cienia.

Niezwykłe obfite porcje spaghetti skończyli jeść kilka minut po pierwszej i zdecydowali, że równie dobrze mogą zaczekać na Editę Fischer na oddziale 46. Miała wrócić do pracy o drugiej po dwóch i pół dnia urlopu; urlopu, który spędziła w nieznanym miejscu razem ze swoim chłopakiem o imieniu Arnold - nic więcej o nim nie wiedzieli. Kiedy w końcu Jungowi, po drodze przez mękę, udało się przed południem skontaktować z panną Fischer, nie chciała zdradzić, gdzie byli ani co robili.

Nie żeby go to specjalnie interesowało, ale mimo wszystko.

- Pewnie obrabowali bank - powiedział do Moreno - ale olewamy to, wystarczy nam to, co jest. A ten napad nie ma nic wspólnego z Verą Miller.

Moreno zastanowiła się przez chwilę, po czym przyznała mu rację.

Wystarczyło to, co było.

Edita Fischer, młoda blondynka, wyglądała mniej więcej tak, jak się tego oczekuje od pielęgniarce w amerykańskim serialu telewizyjnym. Może z wyjątkiem leciutkiego zezą, ale, przynajmniej zdaniem Junga, tylko dodawało jej to uroku.

Była wyraźnie speszona, że sprawiła tyle kłopotu. Czerwieniąc się, kilkakrotnie zdążyła przeprosić, zanim jeszcze usiedli w bladezielonym pokoiku, udostępnionym im, acz niezbyt chętnie, przez kierowniczkę oddziału. Normalnie używano go tylko do rozmów z krewnymi po śmierci pacjenta, zakomunikowała



im; kolor zielony działał podobno uspokajająco.

- Boże święty - wybuchnęła Edita Fischer - to przecież nic nie było. Zupełnie nic. To Liljana tak powiedziała?

Jung potwierdził, że sprawa wypłynęła w jednej z jego rozmów z Liljaną Milovic.

- Że też ona nie potrafi trzymać języka za zębami. Przecież to była drobnostka.

- Gdyby wszyscy trzymali język za zębami, nie złapalibyśmy wielu przestępców - zauważył Jung.

- Co to za drobnostka? - zapytała Moreno. - Skoro z jej powodu już tu przyszlismy.

Edita Fischer jeszcze się wahała, ale widać było po niej, że powie. Jung wymienił spojrzenie z Moreno i oboje powstrzymali się od pytań. Wystarczyło zaczekać. Zaczekać, patrząc na uspokajającą zielen.

- To było ponad miesiąc temu... prawie półtora.

- Na początku listopada? - zapytała Moreno.

- Jakoś tak. Chyba nigdy tyle nie płakałam, co wtedy, kiedy dowiedziałam się, że Vera została zabita. To takie straszne, była przecież taka wesoła i pełna życia... człowiek nie wierzy, że coś podobnego może się przydarzyć komuś, kogo dobrze zna. Kto ją zabił? To przecież musiał być szaleniec.

- Jeszcze nie wiemy - powiedział Jung. - Ale właśnie tego chcemy się dowiedzieć.

- Spotykałyście się również prywatnie? - zapytała Moreno.

Edita Fischer potrząsnęła lokami.

- Nie, ale w pracy była wspianiałą koleżanką, zapytajcie innych.

- Już to zrobiliśmy - wyjął Jung.

- Na początku listopada? - przypomniała Moreno.

- No tak, racja. - Edita Fischer westchnęła. - Ale musicie zrozumieć, że właściwie to nic nie było. Liljana lubi wyolbrzymiać. .. nie ze złej woli, taka po prostu jest.

- Proszę opowiedzieć - zachęcił Jung. - Zwykle umiemy rozstrzygnąć, co jest ważne, a co nie. Ale chcielibyśmy dowiedzieć się możliwie najwięcej, zanim to rozstrzygniemy.

- Oczywiście. Przepraszam. No to było tak, że Vera pojechała do Rumforda.

- Nowego Szpitala Rumforda? - upewniła się Moreno.

- Tak, miała tam zostać przeniesiona jedna pacjentka. Z rozedmą płuc, w Rumfordzie mają lepszy sprzęt. Czasami przekazujemy im pacjentów, czasami oni kogoś nam przywożą...

- Brzmi sensownie - stwierdził Jung.

- Tak. To ma sens. Vera pojechała z tą kobietą i została na pół dnia w Rumfordzie. Chciała zadbać o pacjentkę, przypilnować, żeby dobrze się czuła... widziała, że jest pod dobrą opieką. Vera była skrupulatna pod tym względem, to dlatego była taką dobrą pielęgniarką. Kiedy wróciła po południu, wypiliśmy razem kawę i trochę z niej żartowałam. Zapytałam, dlaczego była tak długo w Rumfordzie, czy dlatego, że pracują tam tacy przystojni lekarze... bo pracują.

Znowu się spieszyła.

- W każdym razie znacznie młodszy niż nasi - dodała. - Tak, i to wtedy Vera właśnie to powiedziała. „Trafiłaś w dziesiątkę”.

- Trafiłaś w dziesiątkę? - powtórzyła Moreno.

- Tak, zaśmiała się i powiedziała: „Trafiłaś w dziesiątkę, Edita”. Tylko tyle, nie mam pojęcia, czy też żartowała, czy było w tym coś więcej. Boże święty, czekaliście tak długo tylko na to?

- Proszę się nie martwić - uspokoił ją Jung. - Jesteśmy przyzwyczajeni do czekania.

Moreno zastanawiała się, robiąc notatki.

- A jak pani uważa? Jak odebrała pani wówczas jej słowa? Proszę się nie bać, że wprowadzi nas pani w błąd, najlepiej, żeby pani powiedziała, jakie było pani pierwsze spontaniczne wrażenie.

Edita Fischer zagryzła wargi i spojrzała na swoje niespokojne ręce na kolanach.

- Pomyślałam, że coś jest na rzeczy - powiedziała w końcu.

- Tak, kiedy się nad tym zastanawiam, to rzeczywiście tak pomyślałam.

- Wie pani, że była mężatką? - zapytał Jung.
- Oczywiście.
- Ale nie uważa pani za nieprawdopodobne, że... że spotkała w Rumfordzie lekarza, któremu uległa?
- Uległa? - pomyślał. Mówię jak aktor z telenoweli. Ale co z tego. Edita Fischer wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Skąd, na Boga, miałabym wiedzieć, powiedziała tylko tyle... sposób, w jaki to powiedziała.
- I nigdy więcej nie było o tym mowy? - zapytała Moreno.
- Nie zrobiła na przykład jeszcze jakiejś aluzji?
- Nie. Ani słowa. Dlatego mówię, że to drobnostka. Jung zastanawiał się przez chwilę.
- Okej - powiedział. - Dziękujemy za współpracę. Może pani wrócić do swoich zajęć.
- Edita Fischer podziękowała i zostawiła ich. Jung wstał i okrążył dwukrotnie pokój. Potem znowu usiadł.
- No? - zapytała Moreno. - Tyle. Co myślisz?
- Myślę? Wiem, co będziemy robić w najbliższym czasie. Stu nowych lekarzy. Będziemy mieć robotę do Bożego Narodzenia. .. choć może trzeba być wdzięcznym, że nie musimy siedzieć z założonymi rękami.
- Słowa prawdziwego policjanta.

## 28

Była za dwadzieścia trzecia, kiedy wyszedł z oddziału Spaarkasse na Keymer Plejn z dwustu dwudziestoma tysiącami guldenów w kieszeniach. Przyglądano mu się lekko podejrzliwie, kiedy powiedział, żeby mu wypłacono całość gotówką. Chodzi o zakup jachtu, wyjaśnił... ekscentryczny sprzedawca chce dostać pieniądze w gotówce. Inaczej nie sprzeda.

Zastanawiał się, czy mu uwierzyli. Może tak, może nie. Nie miało znaczenia. Grunt, że dostał pieniądze. Kiedy przyjdzie pora spłaty kredytu, będzie daleko. Dalej niż daleko. W którym

dokładnie miejscu świata, jeszcze nie wiedział. Do przekazania pieniędzy zostało tylko dwanaście godzin, a nadal nie miał żadnego planu.

Jestem zbyt spokojny, pomyślał, kiedy wsiadł do samochodu. Wziąłem za dużo leków, to mnie otepia.

Wracał do Boorkhejm zwykłą drogą. Utrzymywała się ładna pogoda z wczorajszego dnia. Jechał wyjątkowo wolno, bo przyszło mu na myśl, że pewnie pokonuje tę trasę po raz ostatni. A pokonywał ją tysiące razy... tak, to musiały być tysiące. Wprowadził się do tego domu razem z Marianną blisko piętnaście lat temu, a teraz miał go opuścić. Naprawdę najwyższy czas, pomyślał.

Najwyższy.

Może właśnie ta umiarkowana prędkość i poczucie, że jedzie tędy po raz ostatni, sprawiły, że odkrył skuter.

Zwykły czerwony skuter zaparkowany przed bramą czynszówki, która poprzedzała rząd domów szeregowych. Nie dalej niż dwadzieścia pięć metrów od jego domu.

Czerwony skuter.

Zrozumienie uderzyło go jak grom. Ten skuter.

Ten skuter.

Zaparkował jak zwykle na podjeździe do garażu. Wsiadł z samochodu i powoli ruszył z powrotem wzdłuż ulicy. Myśli eksplodowały mu w głowie jak fajerwerki i musiał zebrać wszystkie siły, żeby się nie zatrzymać i nie wlepić wzroku w skuter, który błyszczał w bladym słońcu.

Minął go. Podszedł do kiosku i kupił gazetę. Jeszcze raz minął magiczny jednoślada i wrócił pod swój dom. Spojrzał przez ramię i odkrył, że z miejsca, w którym stoi, widzi skuter. Z podjazdu do garażu, gdzie zaparkował. Szybko się zastanowił, po czym sprawdził, czy z samochodu widać równie dobrze.

Nie było widać; nie od razu, ale kiedy cofnął auto i zawrócił na ulicy, mógł spokojnie zostać na miejscu kierowcy, mając dobre pole do obserwacji. Przypomniał sobie, że ma w domu lornetkę i przyniósł ją.

Ponownie zajął miejsce w samochodzie, ale zanim na dobre rozpoczął obserwację, wysiadł i jeszcze raz przeszedł się do kiosku. Kupił dwa piwa, których nie miał zamiaru wypić; wracając, zatrzymał się na chwilę przed czynszówką i zapamiętał numer rejestracyjny skutera.

Potem siedział w samochodzie z lornetką. Przez czterdzieści pięć minut prowadził obserwację i próbował znaleźć wątpliwości. Podważyć wnioski, które nasunęły mu się w ciągu zaledwie kilku sekund i które wydawały się tak pewne jak aksjomat.

Wszystko się zgadzało. Tamtego wieczoru minął go skuter. Jadący w stronę Boorkhejm. Wydedukował już, że szantażystą musi być ktoś, kto go wcześniej znał, kto wiedział, kim jest... odpowiedź była bardzo prosta: sąsiad. Żaden z tych, którym się codziennie kłaniał - kłaniał się zresztą tylko najbliższym sąsiadom. Panu Landtbergowi i rodzinie Kluume.

Ktoś z mieszkających w czynszówce.

Miała tylko dwa piętra. Mieściło się tam pewnie nie więcej niż dziesięć, dwanaście mieszkań. Trzy klatki schodowe. I czerwony skuter przed pierwszą bramą od strony jego domu.

Jasne jak słońce. Boorkhejm nie było dużym osiedlem i ludzie się znali. Przynajmniej z widzenia. Wątpił, by na osiedlu były jeszcze jakieś skutery. Tego nigdy nie widział - albo nie zwrócił na niego uwagi - pewnie dlatego, że właściciel normalnie parkował od podwórza. Zrozumiał, że przeciwnik nie jest świadom, że właśnie skuter może go zdemaskować; w przeciwnym razie nie dałoby się wytłumaczyć, dlaczego dzisiaj okazał taką nieostrożność. .. postawił mu go wprost przed oczami.

Akurat dzisiaj. Kiedy zostały tylko godziny.

Spojrzał na zegarek. Czwarta z minutami. Jeszcze jedenaście godzin.

Poczuł, że ma gęsią skórę na rękach.

Poczuł, że jego plan nabiera kształtów.

Trzy kwadranse. Tyle siedział w samochodzie, czekając i pla-

nując. Potem wyszedł właściciel. Właściciel czerwonego skutera. W lornetce widział jego twarz, jakby znajdowała się zaledwie w odległości kilku metrów. Twarz ponura, dość pospolita. Mężczyzna mniej więcej w jego wieku. Poznał go.

Jeden z zatrudnionych w pracowni protetycznej szpitala. Chyba raz z nim rozmawiał, ale się sobie nie kłaniali.

Nie pamiętał nazwiska. Bez znaczenia. Plan powstawał z rekordową prędkością. Nadal miał gęsią skórę.

Z początku atmosfera kolacji z Marlene Frey była dość napięta. Van Veeteren dostrzegł jej zdenerwowanie, już kiedy wpuszczał ją do środka, a jego niezdarne próby, by poczuła się mile widzianym gościem, bynajmniej sprawy nie poprawiły.

Ulrike była w tym może nieco skuteczniejsza, ale lody pękły na dobre dopiero wtedy, gdy Marlene Frey, jedząc zupe, nagle się rozplakała.

- Cholera - szlochała. - Myślałam, że dam radę, ale nie daję. Przepraszam.

Kiedy ogarniała się w łazience, Van Veeteren wypił dwa kieliszki wina, a Ulrike przyglądała mu się ze zmartwioną miną.

- Tak mi go brakuje - powiedziała Marlene, gdy wróciła do pokoju. - Rozumiem, że panu też, ale mnie to nie pomaga. Tak mi go brakuje, że chyba oszaleję.

Wpatrywała się w Van Veeterena oczami, które pośpiesznie przemyła. Nie wiedział, jak zareagować, więc też na nią patrzył, a potem obszedł stół i objął ją. Nie było to proste, bo już siedziała, ale kiedy ją obejmował, poczuł, że jakieś napięcie w nim puściło.

Zaciśnięta pięść rozluźniła się. Otwarła. Jakie to dziwne, pomyślał.

- Jezu - powiedziała Ulrike. - Pomyśleć, że między sercami ludzi jest czasami tak daleko.

Marlene znowu wybuchnęła płaczem, ale tym razem wystarczyło wytarcie nosa w serwetkę.

- Czułam się taka samotna - wyjaśniła. - A pana nawet trochę się bałam.

- On wcale nie jest taki groźny - zapewniła Ulrike. - Odkrywam to z każdym dniem.

Van Veeteren chrząknął i wrócił na swoje miejsce.

- Zdrowie.

- Mam przecież urodzić jego dziecko - powiedziała Marlene.

- Strasznie nierzeczywiste uczucie, no i nie wiem, jak będzie później. Nie spodziewaliśmy się, że zostanie tylko jedno z nas, żeby się nim zająć.

Głęboko westchnęła i próbowała się uśmiechnąć.

- Przepraszam. Po prostu bardzo mi ciężko. Dziękuję, że mnie przytuliliś.

- Boże święty - powiedział Van Veeteren. - Do diabła. Zdrowie. Obiecuję, że się tobą zajmę. Tobą i dzieckiem.

- Tego jeszcze brakowało - powiedziała Ulrike. - Jedzcie teraz zupę, jest jeszcze drugie danie.

- A twoi rodzice? - zapytał ostrożnie godzinę później. - Jakoś cię wspierają?

Marlene pokręciła głową.

- Jestem dzieckiem nałogowców. Mama wprawdzie próbuje, ale trudno nazwać to wsparciem. Mam nadzieję, że mi uwierzycie, kiedy powiem, że wydostałam się z bagna o własnych siłach... bo tak było. Wydostaliśmy się razem, Erich i ja. Chociaż czasami odnoszę wrażenie, że jak tylko człowiek zdoła się trochę podnieść, zaraz spada na niego nowy cios.

- Życie jest zdecydowanie przecenianą historią - powiedział Van Veeteren. - Chociaż lepiej, jeśli nie odkryje się tego za wcześnie.

Marlene spojrzała na niego, lekko unosząc brwi.

- Tak. Może tak jest. Erich mówił, że nigdy nie byłeś wielkim optymistą, ale mimo to cię lubię. I mam nadzieję, że w przyszłości to się nie zmieni.

- Na pewno - odezwała się Ulrike. - On ma taki swój szorstki urok, co do tego się nie mylisz. Jeszcze kawy?

Marlene pokręciła przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Pójdę już. Chętnie zrewanżowałabym się

zaproszeniem, ale wiecie, jak u mnie wygląda... mimo że z ogrzewaniem jest ostatnio zupełnie dobrze.

- Przyjdiesz do nas w święta - powiedział Van Veeteren. -I na Nowy Rok. Jeśli znajdziesz czas... i w kolejne święta.

Ulrike zaśmiała się, a Marlene uśmiechnęła. Zastanowił się pośpiesznie, kiedy ostatnio wprawił dwie kobiety naraz w dobry humor. Doszedł do wniosku, że chyba nigdy. Kiedy stali w przedpokoju, Marlene przypomniała sobie o czymś.

- A racja. Ta karteczka...

-- Jaka karteczka? - zapytała Ulrike, pomagając jej włożyć budrysówkę.

- Znalazłam ją podczas sprzątanía. Erich wszędzie zostawiał karteczki... z zanotowaną godziną, nazwiskiem, telefonem...

- No i? - Van Veeteren spostrzegł, że w sekundę przeistoczył się w policjanta.

- Policja przejrzała wszystkie karteczki zapisane przez Ericha w ostatnich tygodniach, ale tej nie znalazła. Leżała w kuchni pod podstawką do garnka. Wiem, że napisał ją niedawno, bo jest na niej też notatka o pracy, którą wykonywał w ostatnich dniach...

- Co jeszcze jest na tej karteczce?

- Tylko nazwisko. Keller.

- Keller?

- Tak. Nie jest to jakieś nietypowe nazwisko, ale ja nie znam żadnego Kellera... nie był też wpisany do notesu. Tylko tyle. Powinam zadzwonić na policję i o tym powiedzieć?

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę.

- Zadzwoń - zdecydował. - Keller? Keller? Nie, ja też żadnego nie znam. Ale zadzwoń... poproś Reinharta, potrzebują każdej pomocy. Masz numer?

Marlene skinęła głową. Potem objęła ich oboje, a po jej wyjściu Van Veeteren odniósł wrażenie, że zrobiło się pusto.

To było dziwne. Tak bardzo pusto.

- Będiesz dziadkiem - powiedziała Ulrike, siadając na nim na kanapie.



-Aj. Wiem. Powiedziałaś „trzy dni”?

- Trzy noce. Za dnia pracuję. Przynajmniej jutro.

Aron Keller zobaczył czerwone audi przejeżdżające ulicą. Potem widział, jak parkuje na podjeździe do garażu pod numerem siedemnastym. Mógł to zobaczyć dzięki temu, że jego pokój wyposażony był w wykusz. Tam właśnie stał. Często tam stał; na drugim piętrze, przesłonięty dwoma okazałymi hibiskusami. Doskonale było stamtąd widać, co dzieje się na dworze.

Zazwyczaj działo się niewiele. Mimo to często przystawał w wykuszu, przez lata weszło mu to w krew. Stał tam na chwilę od czasu do czasu.

Nieco później dziękował swojej szczęśliwej gwieździe, że to zrobił. Że zwlekał minutę, zobaczywszy doktora mordercę przejeżdżającego swym błyszczącym samochodem.

Wrócił. Doktor wracał piechotą. Podszedł do kiosku i kupił gazetę. Normalnie tego nie robił.

Aron Keller czekał. Równie nieruchomy jak hibiskusy. Zobaczył, jak audi cofa się na ulicę, po czym wraca tyłem na podjazd. Doktor wysiadł z samochodu, wszedł do domu i coś stamtąd przyniósł, ale Keller nie mógł dostrzec, co to było. Potem znowu usiadł za kierownicą. Siedział w samochodzie przed swoim domem. Keller poczuł, że poca mu się ręce. Może minutę później doktor ponownie wysiadł z samochodu i znowu ruszył w stronę kiosku. Akurat przed bramą, bramą Kellera, zwolnił kroku i popatrzył na skuter. Po czym poszedł dalej do kiosku. Kupił coś, co dostał w brązowej papierowej torbie, i zawrócił. Keller cofnął się dwa kroki w głąb pokoju, kiedy tamten przechodził dołem. Zajął potem na nowo swoje stanowisko w wykuszu i zobaczył, jak doktor wraca do samochodu.

Usiadł za kierownicą i siedział. Minuta po minucie. Nic nie robił, tylko siedział.

Kurwa, pomyślał Keller. On wie. Ten sukinsyn wie.

Kiedy dobrą chwilę później przeszedł koło numeru siedem-

nastego, doktor nadal siedział w samochodzie. To było ostateczne potwierdzenie. Keller obszedł szeregówkę i wrócił do siebie wejściem od podwórza. Wyjął z lodówki piwo i wypił je trzema łykami. Stał w wykuszu. Audi przed numerem siedemnastym było puste. Słońce zaszło.

Ale o n nie wie, pomyślał. Doktor morderca nie wie, że ja wiem o tym, że on wie. Jestem o krok przed nim. Zachowałem kontrolę.

## V

29

Jeśli oceniać wyłącznie ilościowo, pomyślał komisarz Reinhart w czasie krótkiej przerwy na fajkę około jedenastej w sobotę przed południem, to nie musimy się naszej pracy wstydzić.

W tej myśli niewątpliwie coś było. Po zeznaniu Edity Fischer liczba lekarzy do przesłuchania wzrosła nagle tak bardzo, że natychmiast zaprzęgnięto do roboty też Rootha, deBriesa i asystenta Bollmerta. Wprawdzie Reinhart uważał całą procedurę (jeśli miał być szczerzy) za szukanie igły w stogu siana, ale z braku innych igieł (i wobec szczerzego zapewnienia komendanta Hillera o nieograniczonych środkach) trzeba się nią było zadowolić. Nikt już jednak nie nazywał tej operacji „hipotezą Rootha” - a na pewno nie on sam, kiedy okazało się, że będzie zmuszony pracować zarówno w sobotę, jak i w niedzielę.

Nowy Szpital Rumforda był nieco mniejszy od Gemejnte, zatrudniał jednak stu dwóch lekarzy - w tym sześćdziesięciu dziewięciu mężczyzn. W przypadku tej nowej grupy nie można było oczywiście posłużyć się dotychczasowym pretekstem, że chodzi o zebranie opinii o zamordowanej pielęgniarce Verze Miller. Między innymi z tego prostego powodu, że nikt z nich takiej opinii nie mógł sobie wyrobić.

Może, jak słusznie zauważył deBries, z wyjątkiem samego mordercy, ale ten zapewne nie byłby skłonny wyznać, co mu leży na sercu, tylko pod wpływem kilku uprzejmych pytań. Co do tego wśród śledczych panowała zgoda.

Reinhart zdecydował więc, że zagrają w otwarte karty. Otrzymali informacje sugerujące, że Vera Miller mogła mieć romans z lekarzem z któregoś z tych dwóch szpitali. Czy ktoś coś wie? Czy ktoś coś słyszał? Czy ktoś ma jakieś domysły?

To ostatnie może i było na granicy dobrego smaku, ale co z

togo? - uznał Reinhart. Jeśli każe się dwóm setkom ludzi spekulować, to chyba znajdzie się wśród nich jedna osoba, która trafi.

Nie mówiąc już o tym, jakie znaczenie miałby fakt, gdyby kilka osób spekulowało tak samo.

Inspektor Jung nigdy nie zaliczał takich masowych przesłuchań do swoich ulubionych zajęć (nieformalne rozmowy, jakie na przykład odbywał z siostrą Milovic, należały oczywiście do zupełnie innej kategorii) i kiedy podczas zasłużonej przerwy na kawę spotkał Rootha, nie omieszkął podziękować mu za inspirującą weekendową pracę.

- Szkoda, że wzięłeś na cel akurat lekarzy - powiedział.

- Co ty pleciesz? - zapytał Rooth, przełykając drożdżówkę.

- No bo gdyby na przykład przyszła ci do głowy hipoteza ekspediencka, mielibyśmy do przeprowadzenia dziesięć razy więcej bardzo przyjemnych przesłuchań. Albo hipoteza studencka.

- Już ci przecież mówiłem, że nie mam pojęcia, co to jest hipoteza. Czy tu można w spokoju wypić kawę?

Podobnie jak w przypadku wcześniejszych rozmów z przyjaciółmi i znajomymi Ericha Van Veeterena, teraz również wszystko nagiywano i kiedy Reinhart w niedzielę wieczorem spojrzął na stopy kaset na swoim biurku, stwierdził, że ilość materiału - zwłaszcza jeśli połączyło się oba śledztwa - była godna zabójstwa premiera.

Punkt Borkmanna? - pomyślał. Komisarz kiedyś o tym mówił. Czy ilość już dawno nie przeszła w jakość? Tyle że on tego nie zauważył? Czy nie wiedział już tego, co powinien wiedzieć? Czy odpowiedź - odpowiedzi? - nie zawierał (i nie ukrywał) ten obszerny materiał? W którymś miejscu.

Może, pomyślał. Może nie. Jak to rozstrzygnąć? Intuicja, jak zwykle? Szlag by trafił.

Później wieczorem odbyli jeszcze jedną odprawę. Reinhart przypomniał sobie obietnice Hillera dotyczące nieograniczonych środków i zakupił cztery butelki wina i dwa

torty kanapkowe. Ponieważ w odprawie brało udział tylko sześć osób, uznał, że w niezwykle wysokim stopniu odpowiadało to intencjom komendanta co do pełnego wykorzystania środków.

Nawet Rooth nie zdołał zjeść ostatniej połówki tortu kanapkowego.

Za ilością idą zawsze podsumowania. I tych dokonano.

Przez dwa i pół dnia sześcioro policjantów przesłuchało stu osiemdziesięciu dziewięciu lekarzy. Stu dwudziestu mężczyzn, sześćdziesiąt dziewięć kobiet.

Nikt z przepytanych nie przyznał się do zamordowania pielęgniarki Very Miller ani nawet do romansu z nią.

Nikt nie wskazał prawdopodobnego kandydata (czy to z racji owej legendarnej solidarności zawodowej czy z innego powodu, nie wiadomo). Nikt nie próbował nawet spekulować na ten temat, dzięki czemu Reinhart nie musiał roztrząsać etycznego aspektu tych zakamarków. Za co był w sumie wdzięczny.

Nikt z sześciorga policjantów nie nabrał żadnych konkretnych podejrzeń podczas przesłuchań - w każdym razie nie w interesującej ich sprawie. Jeśli komisarz chciał sprawdzić podwładnych, czy dokonali trafnej oceny, wystarczyło odsłuchać taśmy. Przyjmując, że ograniczyłyby się do ich odsłuchania pod tym kątem, powinien zdążyć w jakieś pięćdziesiąt dwie godziny.

Nie licząc zmiany kaset, wyjść do toalety i snu. Dzięki resztkom tortu kanapkowego mogłoby zaoszczędzić na przerwach na posilenie się.

- Nie za dużo tego - powiedział Rooth. - Mówię o wyniku.  
- Jeszcze nigdy tak niewielu nie zawdzięczało tak niewiele tak wielu - podsumował Reinhart. - Do cholery. Ilu nam zostało?  
- Dwudziestu ośmiu - zakomunikował Jung, spoglądając na kartkę. - Pięcioro na urloпах bezpłatnych, sześcioro na dłuższych urloпах, dziewięcioro na krótszych, ci wszyscy wyjechali... siedmioro na zwolnieniu lekarskim, a jedna za pół

godziny urodzi dziecko.

- Czy ona też nie powinna być na zwolnieniu? - zdziwił się Rooth.

- W każdym razie nie jest na urlopie - odparła Moreno.

Było również ćwiczenie rachunkowe z nieco mniejszą liczbą niewiadomych - tak zwany ślad Edity Fischer. Moreno i Jung, którzy wspólnie odpowiadali za Nowy Szpital Rumforda, ustalili, kiedy dokładnie Vera Miller przywiozła pacjentkę z rozedmą płuc. Oraz którzy lekarze płci męskiej byli tego dnia w pracy i na jakich oddziałach... niestety, Vera Miller zjadła lunch w pracowniczej stołówce, gdzie w zasadzie mogła spotkać każdego. Efektem wysiłków była jednak stosunkowo mała liczba doktorów.

Dokładnie trzydziestu dwóch. Jung chciał odliczyć wszystkich, którzy przekroczyli na przykład pięćdziesiąt pięć lat, ale Moreno nie zgodziła się na taką dyskryminującą selekcję. Siwe skronie były nie do pogardzenia. Zwłaszcza jeśli należały do lekarza. W każdym razie spotkali się z dwudziestoma pięcioma lekarzami z tej „grupy o wysokiej potencji” (określenie Junga), ale żaden z nich nie zachowywał się choćby odrobinę podejrzanie ani nie miał nic istotnego do powiedzenia.

Zostało siedmiu. Jeden na urlopie. Czterech na krótko wyjechało. Dwóch na zwolnieniu.

- To jeden z nich - powiedział Jung. - Jeden z siedmiu. Brzmi jak tytuł filmu. Założymy się?

- Nie ze mną- odparła Moreno. - Uważam tak samo.

Kiedy pozostali poszli do domu, Reinhart rozdzielił wino z ostatniej butelki między siebie a Moreno. Został też Rooth, ale zasnął w kącie.

- Cholerstwo - powiedział Reinhart. - I nie wiem, ile razy już to mówiłem w trakcie tego śledztwa... tych śledztw! Stoimy w miejscu. Mam wrażenie, jakbym pracował dla jakiegoś przekłętego urzędu statystycznego. Gdyby tylko przyszło nam do głowy zapytać ich o przekonania polityczne i wypijany alkohol, moglibyśmy sprzedać ten materiał dodatkowi

niedzielnemu „Gazety”... albo jakiemuś ośrodkowi sondażowemu.

- Hm. Komisarz powtarzał, że trzeba umieć też czekać. Uzbroidź się w cierpliwość. Może spróbujemy myśleć w ten sposób.

- Powtarzał też coś innego.

- Tak? - zdziwiła się Moreno. - Co?

- Że sprawę trzeba rozwiązać jak najszybciej. Najlepiej pierwszego dnia, żeby oszczędzić sobie myślenia o tym w nocy. Minęło, psiakrew, ponad pięć tygodni, odkąd znaleźliśmy jego syna. Niechętnie się do tego przyznaję, ale kiedy ostatnio spotkałem się z Van Veeterenem, było mi wstyd. Wstyd! Naprowadził mnie na to, że cała historia zaczęła się od szantażu... bez wątpienia ma rację, a mimo to stoimy w miejscu. To jest cholera... nie, na przyszłość muszę przeklinać w myślach.

- Myślisz, że to ona była szantażystką? Vera Miller?

Reinhart pokręcił głową.

- Nie. Z jakiegoś powodu tak nie myślę. Mimo że historia z lekarzem pasuje. Dlaczego kobieta, o której nikt nie powiedział złego słowa, miałaby się zniżać do czegoś takiego?

- Szantaż jest przestępstwem charakterologicznym - zauważyła Moreno.

- Właśnie. Zarówno osobnicy mordujący siekierami, jak i maltretujący żony mają w więzieniu wyższy status. Szantaż jest chyba jednym z najbardziej... niemoralnych przestępstw. Nie najgorszym, ale najniższym. Niegodziwym, jeśli to słowo się zachowało.

- Tak. Chyba masz rację. Możemy więc wykluczyć Verę Miller. Możemy również wykluczyć Ericha Van Veeterena. Kto nam został?

Reinhart rozlał ostatnie centylitry wina.

- Tak. Też o tym myślałem. Został nam szantażysta. I jego ofiara. A jego ofiara jest mordercą. Pytanie, czy szantażysta dostał już pieniądze, czy jeszcze nie.

Moreno przez chwilę w milczeniu obracała kieliszek w palcach.

- Nie rozumiem, jak w tym wszystkim znalazła się Vera Miller. Ale jeśli uznamy, że jej sprawa wiąże się z Erichem, to mamy... mamy człowieka, który zabił dwa razy, żeby nie płacić. Jeśli szantażysta nie jest całkiem pozbawiony pomysłu, pewnie trochę podniósł cenę... skłaniam się ku przekonaniu, że prowadzi odrobinę niebezpieczny tryb życia.

- Podzielim to przekonanie - zgodził się Reinhart.

Wypił wino i zapalił fajkę, po raz dziesiąty w ciągu godziny.

- Najbardziej wkurzające jest... że nie wiemy, co się za tym kryje. Jaki jest powód szantażu. Mamy łańcuch zdarzeń, ale brakuje nam pierwszego ogniwa...

-I ostatniego - uzupełniła Moreno. - Nie widzieliśmy jeszcze ostatniej rundy między szantażystą a jego ofiarą, nie zapominaj

O tym.

Reinhart przyjrzał się jej, opierając ciężko głowę na rękach.

- Jestem zmęczony - powiedział. -I trochę pijany. Tylko dlatego mówię, że mi trochę zaimponowałaś swoim rozumowaniem. Trochę.

- *In vino veritas*. Chociaż możemy też całkowicie się mylić. Nie musi chodzić o szantaż i nie musi być w to zamieszany lekarz... a sprawy Very Miller i Ericha Van Veeterena może wcale się ze sobą nie łączą.

- Nie mów tak - jęknął Reinhart. - Myślałem, że właśnie ruszyliśmy z miejsca.

Moreno uśmiechnęła się.

- Jest dwunasta.

Reinhart wyprostował się w fotelu.

- Zadzwoń po taksówkę, obudź Rootha.

Kiedy dotarł do domu, Winnifred i Joasia spały bezpiecznie w podwójnym łóżku. Zatrzymał się w drzwiach i patrząc na nie, zastanawiał się, co właściwie zrobił, że na nie zasłużył.

I jaka będzie forma zapłaty.

Pomyślał o synu komisarza. O Seice. O Verze Miller.

O tym, jak za piętnaście, dwadzieścia lat Joasią zaczną się



interesować młodzi mężczyźni... wszelkiego rodzaju.

Poczuł, że włosy jeżą mu się na przedramionach, kiedy próbował to sobie wyobrazić, i ostrożnie zamknął drzwi. Wyjął z lodówki ciemne piwo i opadł na kanapę, żeby się zastanowić.

Zastanowić się, czego może być całkowicie pewien w sprawie Van Veeterena i Miller.

Czego mógł być dość pewien.

Czego mógł się tylko domyślać.

Zastanawiał się niezbyt długo, bo zasnął. Joasia znalazła go na kanapie o szóstej rano.

Pociągnęła go za nos, twierdząc, że brzydko pachnie. Jego rodzona córka.

### 30

Winnifred prowadziła w poniedziałek przed południem tylko jedno seminarium i miała wrócić do domu około dwunastej. Po krótkich rozważaniach Reinhart zadzwonił do opiekunki i dał jej wolne. Potem cały czas poświęcił Joasi. Umył jej zęby i włosy, rysował i oglądał z nią obrazki w książkach oraz zdrzemnął się między dziewiątą a dziesiątą. Jadł jogurt z bananami, tańczył i oglądał kolejne obrazki. O wpół do dwunastej przypiął ją pasami w foteliku w samochodzie i dwadzieścia minut później zabrali mamę i żonę spod uniwersytetu.

- Przejedziemy się - powiedział. - Dobrze nam to zrobi.

- Świetnie - zgodziła się Winnifred.

Decyzja o pozostawieniu komendy policji na kilka godzin swojemu losowi po wyteżonej pracy w ostatnich dniach nie była trudna. Mimo że tego grudniowego poniedziałku było wietrznie i zanosilo się na deszcz, pojechali na plażę. Nad morze. Przeszli tam i z powrotem nadbrzeżną promenadą w Kaarhuis - Reinhart niósł na barana śpiewającą i krzyczącą Joasię - i zjedli zupę rybną u Guiverta, jedynej otwartej restauracji w całej miejscowości. Sezon turystyczny wydawał

się bardziej odległy niż Jowisz.

- Dziesięć dni do świąt - stwierdziła Winnifred. - Będziesz miał tydzień wolnego, jak usiłowałaś mi wmówić?

- Zależy. Jeśli rozwiążemy to, nad czym pracujemy, mogę ci obiecać nawet dwa.

- Profesor Gentz-Hillier udostępnia nam swój dom w Limbuijs. Mam przyjąć ofertę... na dziesięć, dwanaście dni, w święta i Nowy Rok? Byłoby przyjemnie spędzić trochę czasu w dziczy, jak komisarz uważa?

- W dziczy? Mam nadzieję, że masz na myśli kominek, grzane wino i pół metra książek?

- Dokładnie to. Żadnego telefonu i kilometr do najbliższego tubylca. Jeśli czegoś nie pokręciłam. To co, powiedzieć, że jesteśmy zainteresowani?

- Powiedz. Usiądę dziś wieczorem i rozwiążę te sprawy. Najwyższy czas.

Kiedy wszedł do swojego gabinetu w komendzie, było wpół do szóstej. Stos kaset na jego biurku odrobinę urósł, gdyż Jung, Rooth i Bollmert skontaktowali się w ciągu dnia z kolejną dziesiątką lekarzy. Do kaset dołączono dwie pisemne wiadomości, że nic szczególnie emocjonującego w trakcie tych przesłuchań nie wypłynęło. Krause złożył raport z rozmowy z pracownikami laboratorium sądowego; zbadano zawartość żołądka Very Miller i stwierdzono, że kilka godzin przed śmiercią jadła homara, łososia i kawior.

Jak również wypija sporo białego wina.

Przynajmniej porządnie ją ugościł, zanim zabił, pomyślał Reinhart, zapalając fajkę. Zawsze coś. Na szczęście była też trochę odurzona winem, ale o tym wiedzieli już wcześniej.

Zagłębił się w fotelu i wrócił do wczorajszej wieczornej rozmowy z Moreno. Zrobił na biurku miejsce na papier i ołówek. Zaczął robić notatki z tej rozmowy, dokonując rekapitulacji z żelazną, logiczną systematycznością.

Przynajmniej takie miał założenie. Kiedy pół godziny później zadzwonił telefon, nadal nad tym siedział.

To była Moreno.

- Chyba ustaliłam, kto to jest - powiedziała. - Będziesz jeszcze u siebie? To później zajrzę.

- Później? Daję pani inspektor trzy minuty, ani sekundy więcej.

Zmiał swoje logiczne notatki i cisnął je do kosza.

Van Veeteren nie miał wrażenia, żeby temperatura w mieszkaniu była dużo wyższa niż wtedy, gdy odwiedził Marlene poprzednim razem, ona jednak twierdziła, że jest dużo cieplej. Poczęstowała go herbatą i po bratersku podzielili się strudlami, które kupił w piekarni na dole. Rozmowa im się nie kleiła i Van Veeteren szybko zorientował się, że nie uda mu się gładko przejść do tematu, który chciał poruszyć.

- Dajesz sobie radę? - zapytał w końcu. - Mam na myśli, finansowo...

Było to niezręczne, Marlene natychmiast zeszytniała. Nie odpowiedziałwszy, wyszła do kuchni, ale wróciła za pół minuty.

- Dlaczego pytasz?

Rozłożył ręce, starając się przybrać łagodny, rozbrajający wyraz twarzy. Było to raczej dalekie od jego normalnej miny, toteż czuł się jak złodziejasek przyłapany z sześcioma paczkami papierosów w kieszeniach. Albo prezerwatyw.

- Dlatego, że chcę ci pomóc - przyznał. - Nie róbmy ceregieli, jestem w tym beznadziejny.

Okazało się to bardziej rozbrajające niż jego mimika, bo po chwili wahania obdarzyła go uśmiechem.

- Radzę sobie - powiedziała. - Przynajmniej na razie... i nie chcę dla nikogo być ciężarem. Ale dobrze mi z myślą, że jesteś. Nie ze względu na pieniądze, tylko na Ericha i na nie.

Pogłaskała się po brzuchu i po raz pierwszy Van Veeterenowi wydało się, że dostrzega pewne zaokrąglenie. Wypukłość, która była czymś więcej niż tylko łagodną krągłością kobiecego brzucha. Poczuł, jak przenika go jakiś mroczny wir.

- To dobrze. Też się cieszę, że jesteś. Myślisz, że teraz wiemy, na czym stoimy?

- Chyba tak - powiedziała Marlene.

Tuż przed wyjściem o czymś sobie przypomniał.

- Ta karteczka... ta notatka z tym nazwiskiem? Zadzwoiłaś na policję?

Przyłożyła rękę do czoła.

- Zapomniałam. Kompletnie wypadło mi to z głowy... ale jeszcze ją mam, jeśli chcesz spojrzeć.

Wyszła do kuchni i wróciła z niewielką liniowaną kartką, najwyraźniej wyrwaną z notesu.

- Zajmę się tym. - Van Veeteren schował ją do wewnętrznej kieszeni. - Nie martw się, jutro z rana zadzwonię do Reinharta. Po powrocie do domu zajrzał do książki telefonicznej. Abonentów o nazwisku Keller z Maardam zajmowali pół szpalty. Dokładnie było ich dwudziestu sześciu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić do Reinharta jeszcze tego wieczoru, ale zrobiło się już piętnaście po dziewiątej i zrezygnował.

Z pewnością i tak mają pełne ręce roboty, pomyślał. Nie może ich ciągle ponaglać.

Minęło czterdzieści pięć minut, zanim Moreno się pojawiła. W tym czasie Reinhart zdążył wypić trzy filiżanki kawy, tyle samo razy wypalić fajkę i poczuć lekkie mdłości.

- Przepraszam, ale naprawdę musiałam najpierw zjeść kanapkę i wziąć prysznic.

- Wyglądasz jak młoda Wenus - powiedział Reinhart. -- No mów, co masz!

Moreno powiesiła kurtkę, otworzyła okno i usiadła naprzeciwko Reinharta.

- Lekarza. To może być on... choć obawiam się, że po tym, jak zadzwoniłam, dopadły mnie szpony wątpliwości. Równie dobrze może to być niewypał.

- Nie gadaj głupot. Kto to jest i skąd wiesz, że to on?

- Nazywa się Clausen. Pieter Clausen. Nie rozmawiałam z nim... zniknął.

- Zniknął?

- Zniknął to może za dużo powiedziane. Ale nie można się z

nim skontaktować i nie pojawił się dzisiaj w szpitalu, mimo że miał tam być.

- W Rumfordzie?

- Tak, w Nowym Rumfordzie. Był na zwolnieniu przez cały poprzedni tydzień, ale dzisiaj miał wrócić do pracy... i nie wrócił.

- Skąd wiesz? Z kim rozmawiałaś?

- Z doktorem Leissnem. Ordynatorem interny. To jego szef. Oczywiście nie ujawniłam naszych podejrzeń... czego naprawdę szukamy i tak dalej, ale miałam wrażenie... miałam wrażenie, że coś jest na rzeczy. Leissne był bez wątpienia zakłopotany, sekretarka przez całe przedpołudnie dzwoniła do tego Clausena, ale nie odbierał. Nikt z oddziału nie wie, gdzie się podział. Być może z tym zwolnieniem też nie wszystko jest w porządku, ale to już tylko moje domysły.

- Ma rodzinę? - zapytał Reinhart. - Jest żonaty?

Moreno pokręciła przecząco głową.

- Mieszka sam. W Boorkhejm. Od kilku lat rozwiedziony. Pracuje w Rumfordzie dziesięć lat i nigdy nie było do niego zastrzeżeń.

- Do dziś - powiedział Reinhart.

- Do dziś... - powtórzyła Moreno w zamyśleniu. - Ale nie powinniśmy się zapędzać. Nie zdążyłam porozmawiać z nikim innym oprócz Leissnego i jednej pielęgniarki z oddziału... sprawa wypłynęła dopiero o wpół do piątej.

- Jak wypłynęła?

- Przyszła do mnie sekretarka, mówiąc, że ordynator chce ze mną rozmawiać. Właśnie skończyłam jedno z tych.

Pogrzebała w torebce i położyła na biurku trzy kasety.

- Aha, to. Masz o nim coś więcej?

Moreno podała mu kartkę i Reinhart studiował ją przez chwilę.

Dane osobowe. Miejsca pracy i kwalifikacje. Czarno-biała fotografia mężczyzny w wieku trzydziestu pięciu lat... krótko ostrzyżone, ciemne włosy. Wąskie usta, pociągła twarz.

Niewielkie znamię na policzku.

- Wygląd mało charakterystyczny - stwierdził Reinhart. - To stare zdjęcie?

- Przypuszczalnie sprzed pięciu, sześciu lat. Teraz jest po czterdziestce.

- Ma dzieci? Z tego małżeństwa na przykład?

- Jeśli tak, to Leissnemu nic o tym nie wiadomo.

- Kobiety? Narzeczona?

- Nie wiadomo.

-I żadnych przewinień?

- W każdym razie żadnych odnotowanych.

- A była żona?

Moreno wstała i zniknęła okno.

- Nie wiem. Nie wiedzieli nawet, jak się nazywa. Ale mam nazwisko kolegi, który, zdaniem Leissnego, może udzielić nam jakichś informacji... najwyraźniej zna Clausenaprywatnie.

-I co powiedział?

- Nic. Rozmawiałam tylko z jego automatyczną sekretarką.

- Cholera.

Moreno spojrzała na zegarek.

- Wpół do ósmej. Może przejedziemy się na wizję lokalną? Do Boorkhejm. Mamy przecież adres.

Reinhart wytrząsnął popiół z fajki i podniósł się.

- Na *co* czekasz?

W drodze do Boorkhejm złapał ich deszcz ze śniegiem, potęgający posępność przedmieścia. Chwilę zajęło im znalezienie Malgerstraat i kiedy Reinhart zaparkował przed numerem siedemnastym, poczuł, że żal mu ludzi jeszcze bardziej niż zwykle. Znalezienie życiowego sensu tutaj musi być trudne, pomyślał. W tych szarych pudełkach w tym ponurym klimacie. Ulica zapomniana przez Boga. Szaro, mokro, przykro.

A jednak była to klasa średnia. Wzdłuż ciągnących się rzędem domów stała kolumna mniej lub bardziej podobnych japońskich samochodów, a niebieski odbłask telewizora widoczny był w co trzecim oknie.

Nie pod numerem siedemnastym, gdzie było ciemno. Zarówno na parterze, jak i na piętrze. Dom stał w szeregu jednopiętrowych brył z szarej, a może brązowej cegły. Dziewięciometrowy ogródek i wyasfaltowany podjazd do garażu. Nasiąkła wodą, zachwaszczona rabata i betonowa skrzynka pocztowa z czarnymi żelaznymi okuciami.

Reinhart zgasił silnik i przez chwilę siedzieli w samochodzie, patrząc na dom. Potem Reinhart wyszedł i spróbował podnieść wieko skrzynki. Było zamknięte, ale przez szparę zdołał dojrzeć kilka gazet i trochę listów. Ścisłe rzecz biorąc, wydawała się przepełniona, miał wątpliwości, czy zmieściłaby się jeszcze jedna gazeta. Wrócił do samochodu.

- Nie chciałabyś zadzwonić? - zapytał Moreno.

- Nie mam większej ochoty - odparła. - Chyba nie ma to sensu. Jednak wysiadła i podeszła do drzwi. Wcisnęła guzik dzwonka i odczekała pół minuty. Nacisnęła znowu. Żadnej reakcji. Wróciła do Reinharta, który stał przy samochodzie i palił fajkę odwróconą na deszczu spodem do góry.

- Co robimy? - zapytała.

- Przeszukanie jutro przed południem - zdecydował Reinhart.

- Dajemy mu dwanaście godzin na pojawienie się.

Wsiadł do samochodu, żeby powoli wydostać się z tego przedmieścia.

### 31

- Kto? - zapytał starszy posterunkowy Klempje, upuszczając gazetę na podłogę. - Ojej, to znaczy dzień dobry, panie komisarzu!

Podniósł się i z szacunkiem uklonił.

- Nie, nie ma go tutaj, ale widziałem Krausego przed dwiema sekundami. Mam go zawołać?

Wystawił głowę na korytarz i zdołał przyciągnąć uwagę aspiranta Krausego.

- Komisarz - syknął, kiedy Krause podszedł bliżej. - Przy

telefonie... komisarz!

Aspirant wszedł do środka i wziął słuchawkę.

- Krause przy telefonie. Dzień dobry, panie komisarzu... tak, o co chodzi?

Słuchał i notował przez minutę. Potem życzył rozmówcy miłego dnia i odłożył słuchawkę.

- Czego chciał? - zapytał Klempje, drapiąc się palcem w ucho.

- Nic, czym musiałbyś zawracać sobie głowę - odparł Krause i wyszedł.

Pieprzony ważniak, pomyślał Klempje. Tak dziękują człowiekowi za pomoc.

Parę godzin zajęło załatwienie nakazu przeszukania, ale o dziesiątej byli na miejscu przed domem przy Malgerstraat 17. Reinhart, Moreno, Jung oraz samochód z czterema technikami i sprzętem za ćwierć miliona guldenów. Jak już robić, to robić porządnie, stwierdził Reinhart. Dzwonił na numer Clausena dwa razy na godzinę, począwszy od wpół do siódmej; Rooth, deBries i Bollmert zostali wysłani do Nowego Szpitala Rumforda, żeby zebrać więcej faktów, a deszcz przestał padać przed dziesięcioma minutami. Wkrótce miał nastąpić przełom.

- W świetle dziennym wygląda trochę lepiej - powiedział Reinhart. - Zaczynamy.

Zamek w drzwiach wejściowych jeden z techników otworzył w trzydzieści sekund i Reinhart pierwszy wszedł do środka. Rozejrzał się wokół. Przedpokój, kuchnia, duży salon na parterze. Wszystko wyglądało nader przeciętnie; nie nazbyt czysto, kilka nieumytych filiżanek, szklanek i sztućców w kuchennym zlewie. Salon z kompletem wypoczynkowym, tekowe półki na książki, stereo i potężna szafa, chyba z czerwonego dębu. Telewizor bez wideo, ale za to z grubą warstwą kurzu. Na stole z przyciemnionego szkła stała patera z trzema jabłkami i kilkoma pomarszczonymi winogronami. „Neuwe Blatt” z zeszłego czwartku leżał rozłożony na podłodze koło jednego z foteli.

Czwartek? - pomyślał. Aż cztery dni. Można polecieć kilka razy



na Księżyc.

Wszedł po schodach na piętro. Jung i Moreno ruszyli za nim, podczas gdy technicy zajęci byli wnoszeniem sprzętu i nie wychodzili poza przedpokój.

Trzy pokoje na piętrze, z czego jeden, z biurkiem, komputerem i kilkoma chwiejnymi regałami, służył za gabinet, drugi za rupieciarnię, a w trzecim była sypialnia. Reinhart wszedł do środka i rozejrzał się. Duże podwójne łóżko z sosnowymi oparciami. Pościelone niedbale po męsku... kolorowa kraciasta narzuta rzucona na pagórkowate formacje poduszek i kołder. Na ścianie wisiała reprodukcja van Gogha, która raczej nie świadczyła o zbyt dużym zainteresowaniu sztuką. Reinhartowi wydawało się, że dostrzegł ten motyw nawet na puszkach z kawą. Wokół wypełnionego brązowego plastikowego kosza na pranie walały się ubrania. Na obu polakierowanych na biało krzesłach wisiały koszule i swetry. Dwie książki, telefon i radiobudzik na jednym

z nocnych stolików... wyschnięty kaktus na parapecie między na wpół zaciągniętymi firankami... szereg ciemnych plam na beżowej wykładzinie.

Skinął na Junga.

- Tam. - Wskazał na podłogę. - Powiedz im, żeby zaczęli tu, na górze.

Kiedy technicy wnosili sprzęt na piętro, Reinhart z Moreno przeszli przez kuchnię do garażu. Stało tam czerwone audi, na oko kilkuletnie, poza tym równie przeciętne jak reszta domu. Reinhart sprawdził drzwi. Nie były zamknięte. Schylił się i wsunął głowę do samochodu; najpierw obejrzał przednie siedzenia, potem tylne. Wyprostował się i skinął na Moreno.

- Jak skończą na górze, powinni rzucić okiem na to.

Zostawił tylne drzwi otwarte i Moreno zajrzała do środka.

- To może być cokolwiek - powiedziała. - Niekoniecznie krew... w sypialni też.

- Bzdura. Jasne, że to krew, czuję po zapachu. Mamy go, cholera!

- Tak? Czegoś przypadkiem nie przeoczyłeś?

- Czego?

- Chyba nie ma go w domu. Od czwartku, jeśli się nie mylę.

- Dzięki, że mi przypomniałaś. Chodź, odwiedzimy sąsiadów.

Reinhart i Moreno zostali w Boorkhejm do wpół do pierwszej, do chwili gdy podkomisarz Puijdens, szef techników, w końcu ze stuprocentową pewnością stwierdził, że plamy znalezione w sypialni oraz w czerwonym audi - rzeczywiście zarejestrowanym na Pietera Clausena - to faktycznie krew. Sprawdzenie, czy jest to krew ludzka, a jeśli tak, czy pochodzi od tej samej osoby, wymagało, jak obliczał, jeszcze około godzinnej analizy.

Ustalenie, czy jest to krew Very Miller, miało zająć popołudnie i wieczór.

- Chodź - powiedział Reinhart do Moreno. - Nie mamy tu nic więcej do roboty. Jung niech rozmawia dalej z sąsiadami, może znajdzie kogoś, kto nie jest głuchy i ślepy. Chcę się dowiedzieć, jak idzie im w szpitalu, czy ktoś potrafi nam powiedzieć, gdzie ten sukinsyn się podział. Jeśli krew pasuje, to powiązaliśmy go już z morderstwem!

- Chciałeś powiedzieć: z morderstwami. - Moreno wsiadła do samochodu.

- Łapanie za słówka - zachnął się Reinhart. - Gdzie on jest? Gdzie się podziewał od czwartku? Użyj swoich bystrych szarych do tych pytań.

- Tak jest - powiedziała Moreno i zagłębiła się w rozważania przez całą drogę do komendy.

- Ułożenie pośladkowe - powiedział doktor Brandt. - Pierworódka. Zajęło trochę czasu, przykro mi, jeśli musiał pan czekać.

- Ułożenia pośladkowe są, jakie są - powiedział Rooth.

- Wiem, bo sam urodziłem się w ten sposób.

-Naprawdę? No cóż, wtedy był pan pewnie mniejszy. O czym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Może zejdziemy do kafeterii? - zaproponował Rooth. - Policja zaprasza na kawę.

Doktor Brandt, niski i szczupły, z wyglądu miał około czterdziestki, ale poruszał się z młodzieńczą werwą, która przywodziła na myśl szczeniaka. Poprzednio rozmawiał z nim Jung; Rooth nie zadał sobie trudu, żeby odsłuchać taśmę, ale wiedział, że Brandt nie wspomniał nic o doktorze Clausenie. O ile oczywiście Jung nie zdrzemnął się w czasie przesłuchania. Teraz jednak chodziło o Clausena, wyłącznie o Clausena, i kiedy usiedli przy chybotliwym rattanowym stoliku, Rooth przeszedł od razu do rzeczy.

- Pański przyjaciel. Doktor Clausen. To nim się interesujemy.

- Clausenem? - Brandt poprawił okulary. - Dlaczego?

- Jak dobrze pan go zna?

- Hm... - Brandt rozłożył ręce. - Kolegujemy się. Znam go jeszcze z czasów szkolnych, chodziliśmy razem do liceum.

- Wspaniale. Proszę o nim opowiedzieć.

Doktor Brandt przyjrzał się Roothowi, marszcząc sceptycznie czoło.

- Już raz byłem przesłuchiwany przez policję.

- Ale nie na temat Clausena?

- Nie. I nie do końca rozumiem, dlaczego policja zbiera o nim informacje. Dlaczego nie porozmawiacie z nim samym?

- Niech pan nie łamie sobie nad tym głowy. Będzie prościej, jak ja będę zadawał pytania, a pan odpowiadał, proszę mi wierzyć. Słucham!

Brandt demonstracyjnie nie odzywał się przez chwilę, mieszając kawę. Ty porodowy waźniaczku, pomyślał Rooth i czekając, ugryzł kęs kanapki z szynką.

- Nie znam go zbyt dobrze - odezwał się w końcu Brandt.

- Spotykamy się w kilku od czasu do czasu... stara paczka jeszcze z liceum. Z Elementaar. Nazywamy się aniołkami Verhoutena.

-Aniołkami...?

- Verhoutena. Nasz matematyk z Elementaar. Charles Verhouten, prawdziwy cudak, ale go lubiliśmy. No i cholernie dobry nauczyciel.

- Aha. -- Rooth zaczął się powoli zastanawiać, czy siedzący naprzeciwko niego lekarz jest przy zdrowych zmysłach. W każdym razie nie chciałbym, żeby przyjmował poród mojej matki, pomyślał.

- Choć najczęściej nazywamy siebie po prostu Braćmi. Jest nas sześciu i co jakiś czas wychodzimy razem coś zjeść i pogadać. Chociaż mamy też pewne ceremonie.

- Ceremonie?

- Nic na serio. Tylko dla żartu.

- Aha. Jakieś kobiety?

- Nie, sami faceci. Człowiek jest jakby trochę mniej skrępowany.

Spojrzał znacząco na Rootha znad okularów. Rooth odwzajemnił spojrzenie z kamiennym wyrazem twarzy.

- Rozumiem. Ale teraz olejmy innych braci aniołków i skupmy się na Clausenie. Kiedy na przykład widział go pan po raz ostatni?

Brandt wyglądał na obruszonego, ale podrapał się po głowie i chyba się zastanawiał.

- Już jakiś czas temu - stwierdził. - Mieliśmy spotkanie w piątek... w Canaille na Weivers Plejn... ale Clausen był chory i nie mógł przyjść. Chyba faktycznie nie widziałem go od miesiąca. Tak, od poprzedniego spotkania...

- W szpitalu się nie widujecie?

- Bardzo rzadko. Pracujemy dość daleko od siebie. Clausen w bloku C, a ja... tutaj, na porodówce, jak pan wie.

Rooth zastanawiał się przez chwilę.

- A jak jego relacje z kobietami? - zapytał. - Sam pan jest żonaty?

Doktor Brandt pokręcił energicznie głową.

- Jestem kawalerem - wyjaśnił. - Clausen był przez kilka lat żonaty, ale małżeństwo się rozpadło. Rozwiedli się. Chyba cztery czy pięć lat temu, jeśli dobrze pamiętam.

- Czy w ostatnim czasie wiązał się z jakimiś kobietami? Poznał kogoś?

Nagle Brandt chyba sobie uświadomił, do czego Rooth zmierzają. Zdjął okulary. Pieczołowicie je złożył i schował do kieszonki na piersi. Przechylił się przez stolik, próbując wbić swoje oczy krótkowidza w Rootha.

Powinieneś zostawić okulary na nosie, człowieczku, pomyślał Rooth, dopijając kawę. Byłoby ci łatwiej.

- Inspektorze... jak brzmiało pańskie nazwisko?

- Poirot - odparł Rooth. - Nie, żartuję. Nazywam się Rooth.

- Drogi inspektorze Rooth - powiedział nieporuszony Brandt.

- Nie podoba mi się, że muszę tu siedzieć i wysłuchiwać pańskich insynuacji o moim koledze i przyjacielu. Zdecydowanie mi się nie podoba. Mogę pana zapewnić, że doktor Clausen nie ma z tym nic wspólnego.

- Z czym?

-Z... no, z tą pielęgniarką. Tą, co została zamordowana. Proszę nie myśleć, że zamydli mi pan oczy, doskonale wiem, do czego pan zmierza. Całkowicie się pan myli. Nawet nie pracowała w naszym szpitalu, a Clausen nie należy do tych, co biegają za spódniczkami.

Rooth westchnął i zmienił temat.

- Czy wie pan coś o jego krewnych? - zapytał.

Brandt odchylił się w tył, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Jego wąskie nozdrza się poruszały, jakby próbował wywachać rozstrzygnięcie.

- Ma siostrę. Chyba o kilka lat starszą. Mieszka gdzieś za granicą.

- Dzieci nie ma?

-Nie.

- A ta kobieta, z którą był żonaty? Jak się nazywa?

Brandt wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Marianne, chyba... albo jakoś tak.

- A nazwisko?

-Nie mam pojęcia. Clausen, oczywiście, jeśli przyjęła jego... choć teraz kobiety nie zawsze to robią. Zresztą wróciła chyba do panińskiego. Nigdy jej osobiście nie poznałem.

Rooth zastanawiał się, walcząc z kawałkiem szynki, który utkwiał mu między trzonowcami w dolnej szczęce.

- A dlaczego nie przyszedł dzisiaj do pracy?

- Kto?

- Clausen, oczywiście.

- Nie przyszedł? - zdziwił się Brandt. - A skąd mam wiedzieć? Pewnie ma urlop. Albo dalej jest na zwolnieniu. Miał chyba grypę. Niektórzy żywią błędne przekonanie, że jak człowiek jest lekarzem, to jest odporny na jedną czy drugą...

- Clausen zniknął - przerwał mu Rooth. - Nie ma pan lepszego wytłumaczenia?

- Zniknął? Bzdura. Nie wierzę. Nie mógł chyba tak po prostu zniknąć?

Rooth spojrział na niego spode łba i zjadł ostatni kęs kanapki, mimo że kawałek szynki nadal tkwił między zębami.

- Te pozostałe aniołki... z waszego klubiku... czy któryś zna Clausena trochę lepiej?

Doktor Brandt wyłowił okulary z kieszonki i założył je z powrotem.

- Może Smaage.

- Smaage? Byłby pan uprzejmy podać mi jego adres i telefon?

Brandt wyciągnął niewielki notes i po chwili Rooth miał listę wszystkich członków. Wyjął kostkę cukru z cukierniczki na stole, zastanawiając się, jak ma podziękować za pomoc.

- Jasne, kończymy. Myślę, że czas na pana pójść rodzic... nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Aniołki Verhoutena? - pomyślał. Cholera.

- Dziękuję - powiedział Reinhart. - Dziękuję za pomoc, dyrektorze.

Odłożył słuchawkę i spojrział na Moreno z wyrazem twarzy, który można było zinterpretować jako ponury uśmiech.

- Mów - zachęciła Moreno. - Chyba dostrzegam pewne zadowolenie w fizjonomii psa gończego.

- Nie bez powodu. Zgadnij, kto w czwartek pobrał ze Spaarkasse dwieście tysięcy!

- Clausen?

- Trafiałś w dziesiątkę, żeby zacytować jedną z jego ofiar. Podjął pieniądze tuż po lunchu w oddziale na Keymer Plejn. W gotówce! Rozumiesz? Dokładnie dwieście dwadzieścia tysięcy. .. każde cholerne puzzle łąduje na swoim miejscu.

Moreno zastanowiła się.

- W czwartek? Dzisiaj jest wtorek.

- Wiem o tym - powiedział Reinhart. - Diabli wiedzą, co się stało i gdzie on się podział. Ale *list* gończy został już rozesłany, więc prędzej czy później będziemy go mieli.

Moreno zagryzła wargę, robiąc powątpiewającą minę.

- Nie byłabym taka pewna. Na co potrzebował gotówki?

Reinhart zawahał się na kilka sekund, wpatrując się w swoją fajkę.

- W banku opowiedział bajeczkę o jakimś jachcie. Dość łatwe do przejrzania... chciał zapłacić szantażyście.

-I zakładasz, że to zrobił? Dlaczego w takim razie zniknął?

Reinhart z niezadowoleniem przyjrzał się stosom kaset, które nadal leżały na biurku.

- Oświeć mnie!

Moreno przez chwilę milczała, ssąc ołówkę.

- Jeśli postanowił zapłacić - powiedziała w końcu - i rzeczywiście zapłacił, to... to chyba nie miał powodu, żeby uciekać i się ukrywać? Musiało wydarzyć się coś jeszcze. Nie wiem co, ale to wydaje się nielogiczne. W każdym razie nie zapłacił tak po prostu. Boże, dwieście tysięcy to nie są drobne.

- Dwieście dwadzieścia - mruknął Reinhart. - Tak, masz oczywiście rację, ale jak tylko go złapiemy, to w nagrodę dostaniemy chyba wyjaśnienie.

Ktoś zapukał do drzwi i wszedł Rooth z tabliczką czekolady w ręce.

- Pokój - powiedział. - Chcecie posłuchać o ginekologu i aniołkach?

- Dlaczego nie? - westchnął Reinhart.

Kwadrans zajęło Roothowi zrelacjonowanie rozmowy z dok-

torem Brandtem. Reinhart słuchając, notował, po czym polecił Roothowi przesłuchać pozostałych „braci”, żeby uzyskać dalsze informacje na temat charakteru Pietera Clausena. Oraz jego poczynania i wypowiedzi w ostatnim miesiącu.

- Spróbuj też złapać Junga i deBriesa – dodał Reinhart. - Tak, żebyście byli gotowi do wieczora. Na pierwszy ogień idzie oczywiście ten Smaage.

Rooth skinął głową i opuścił pokój. W drzwiach zderzył się z Krausem.

- Macie czas? - spytał Krause. - Po południu sprawdziłem pewną informację.

- Naprawdę? - zdziwił się Reinhart. - Jaką informację?

Krause usiadł obok Moreno i z lekkim namaszczeniem otworzył kołonoatnik.

- Od Van Veeterena. Zadzwoił przed południem, miał cynk.

- Cynk? - Reinhart nie wierzył własnym uszom. - Komisarz zadzwonił i dał tobie cynk?

- Tak, mnie. - Krause nie potrafił ukryć dumy. - Zastrzegłem się, że to może nieistotne, ale postanowiłem sprawdzić.

- Możesz przejść do rzeczy czy najpierw chcesz loda? - zirytował się Reinhart.

Krause odchrząknął.

- Chodzi o nazwisko. Narzeczona Ericha Van Veeterena... Marlene Frey... znalazła nazwisko na karteczce, o której zapomniała nam powiedzieć. Najwyraźniej dopiero przed kilkoma dniami.

- Jakie nazwisko? - zapytała Moreno neutralnie, zanim Reinhart zdążył ponownie Krausemu przerwać.

- Keller. Pisze się tak, jak słychać. Na karteczce było tylko nazwisko. Erich zapisał je pośpiesznie przypuszczalnie na kilka dni przed swoją śmiercią i tego nazwiska nie było w notesie. W książce telefonicznej Maardam jest tylko dwudziestu sześciu Kellerów i to właśnie ich sprawdziłem... choćby z tego powodu, że komisarz mnie o to prosił. Mhm.

-I? - spytał Reinhart.



- Myślę, że jeden może być interesujący.  
Reinhart zgrzytnął zębami i przechylił się przez biurko.  
- Który? I dlaczego jest interesujący?  
- Aron Keller. Pracuje na ortopedii w Nowym Rumfordzie... w pracowni protez, jeśli dobrze zrozumiałem. Też mieszka w Boork- hejm.  
Reinhart otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Moreno go uprzedziła.  
- Rozmawiałeś z nim?  
Mogłaby przysiąc, że aspirant zrobił teatralną pauzę.  
- Nie. Nie wiedzą, gdzie jest. Nie pojawił się w pracy od piątku.  
- Jasna dupa! - Reinhart strącił na podłogę osiemnaście kaset.  
- Mieszka na Malgerstraat trzynaście - zakończył Krause.  
Wyrwał kartkę z kołonotatnika, podał ją inspektor Moreno i wyszedł z pokoju.

## 32

Przeszukanie mieszkania Arona Kellera na Malgerstraat 13 rozpoczęto niemal co do minuty o tej samej porze, co dzień wcześniej przeszukanie pod numerem siedemnastym.

Tak jak się spodziewano, poszło dość sprawnie. Zespół techników zakończył pracę już o wpół do pierwszej i od tej chwili właściwie nic nie uzasadniało obecności Reinharta i Moreno w tym mieszkaniu. Mimo to zostali jeszcze kilka godzin, żeby w miarę możliwości znaleźć (jak uparł się Reinhart - „i bez żadnego innego sprzętu oprócz naszych cholernych pięciu zmysłów, pani inspektor!”) wskazówkę, co stało się z samotnym lokatorem. I gdzie się podział.

Nie mieli łatwego zadania. Wszystko świadczyło o tym, że Keller nie pojawił się u siebie w domu od piątku; mógł zresztą wyjść, albo zniknąć, już w czwartek w nocy - nie prenumerował żadnej gazety, ale metalowa skrzynka po wewnętrznej stronie drzwi zawierała sporo niewyjętej poczty, a kwiaty w doniczkach w sypialni i w kuchni były wyschnięte i na

wpół zwiędłe. Dwa duże hibiskusy w wykuszu wyglądały lepiej, ale nawadniało je urządzenie, w którym wodę wystarczyło uzupełniać raz w tygodniu.

Tak przynajmniej twierdziła Moreno, która podobne urządzenie miała w swojej dwójce na Falckstraat.

Poza tym w mieszkaniu panował niemal idealny porządek. Nie było brudnych naczyń w kuchni. Ani w sypialni, ani nigdzie indziej nie walały się ubrania. Żadnych gazet, pełnych popielniczek, drobiazgów na niewłaściwym miejscu. Nieliczne książki, kasety i płyty CD (trzy czwarte country, które Reinhart nazywał końskim jazzem, reszta popowe przeboje w tanich edycjach) ustawione były starannie w równych rzędach na regale. Dwie pary wypastowanych butów na półeczce w przedpokoju, kurtka i płaszcz na wieszakach... i biurko uporządkowane jak eksponat w witrynie sklepu z materiałami biurowymi. To samo dotyczyło szaf, szuflad i komód; jedyne, czego Reinhartowi brakowało, to etykiet z informacją, gdzie dana rzecz powinna się znajdować... choć jeśli nic się nie zmieniło od dwudziestu lat, może etykiety nie były potrzebne, skonstatował po namyśle.

O Aronie Kellerze - poza tym, że żywił frenetyczne zamiłowanie do porządku - można było jeszcze się dowiedzieć, że interesował się sportem. Zwłaszcza piłką nożną i lekkoatletyką. Poczesne miejsce na regale zajmowały książki o piłce (roczniki z czerwonymi i zielonymi grzbietami aż od 1973 roku), a roczniki miesięcznika „Front sportu” piętrzyły się w skrzynce po piwie w jednej z szaf - ostatni numer leżał na stole w kuchni i można było się domyślać, że stanowił codzienną lekturę Kellera przy śniadaniu. W każdym razie do takiego wniosku doszedł Reinhart, pomrukując z irytacją.

Koło telefonu na biurku w sypialni leżał notes z adresami zawierający dane dwudziestu dwóch osób. Z tego trzy nosiły nazwisko Keller, ale żadna nie mieszkała w Maardam (dwie w Linzhuisen, jedna w Haaldam) i Reinhart postanowił odłożyć ustalenie relacji rodzinnych na później.

- Gość musi mieć kwadratową głowę - powiedział. - Znajdziemy go bez najmniejszych problemów.

Moreno powstrzymała się od komentarza.

Mimo oczywistego braku śladów zostali aż do trzeciej. Przeżrząsnęli wszystkie szuflady, szafy i kąty, nie wiedząc właściwie, czego szukają. Reinhart znalazł klucz z napisem „Komórka” i spędził godzinę na strychu wśród starych ubrań, butów, rakiet tenisowych, różnych mebli i kartonów z komiksami z lat sześćdziesiątych. Moreno nie do końca rozumiała, dlaczego przeszukują mieszkanie w ten bezplanowy sposób, ale nic nie mówiła. Nie miała pojęcia, do czego może to ich doprowadzić, wiedziała jednak, że gdyby to od niej zależało, postanowiłaby pewnie tak samo.

- Nie wiadomo, czego się szuka, dopóki się tego nie znajdzie

- wyjaśnił Reinhart, dmuchając jej dymem w twarz. - Dotyczy to wielu sytuacji, pani inspektor, nie tylko tej tutaj!

- Komisarz jest mądry jak pudel - odpowiedziała Moreno.

- Jak samiczka pudła.

Za piętnaście trzecia zostali nagrodzeni. Moreno wysypała na podłogę w dużym pokoju zawartość pełnego do połowy kosza na śmieci (stojącego pod biurkiem - były w nim oczywiście wyłącznie papiery, żadnych gnijących ogryzków, zużytych torebek herbaty czy skórek od banana) i bez zapalu zaczęła ją przeglądać, kiedy to znalazła. T o.

Zmięta, liniowaną kartkę A4 wyrwaną z kołnotatnika - przypuszczalnie tego, który leżał na półce nad biurkiem po prawej stronie. Rozłożyła ją, wygładziła i przeczytała.

### *Pięć tygodni temu zabił Pan na*

To było wszystko. Tylko pięć słów. Pięć i kawałek z zaczątkiem następnej litery. Skreślonych drukowanymi, starannymi literami, trochę bezpłciowym charakterem pisma, niebieskim atramentem. Moreno wpatrywała się w tę krótką, urwaną wiadomość i zastanawiała się przez dwie minuty.

Na? - pomyślała. Co znaczy *na*?

Czy mogło to być coś innego niż *nastolatek* albo *nastolatka*?

Zawołała Reinharta, który wrócił już ze strychu i przeklinał, wetknąwszy głowę do jednej z szaf w sypialni.

- No? Co masz?

- To. - Moreno podała mu kartkę.

Przeczytał i spojrzał na nią skonfundowany.

- *Na*? Co, do cholery, znaczy *na* *Nastolatek*?

- Przypuszczalnie. Albo *nastolatka*. Mówiłeś, że brakuje nam pierwszego ogniwa. Myślę, że właśnie je znaleźliśmy.

Reinhart spojrzał ponownie na wymiętą kartkę i podrapał się po głowie.

- Masz rację. Całkowicie cholerną rację. Chodź, czas na małą odprawę.

Odprawa trwała krótko, tym razem bez wina i kanapek. Ekstrawagancje nie były już potrzebne... ponieważ mgła w końcu zaczęła się rozwiewać, wyjaśnił Reinhart.

Mgła spowijająca sprawy Erich Van Veeteren-Vera Miller. Nadszedł czas, by patrzeć przed siebie i działać. Nie potrzeba już było czasochłonnych spekulacji. Żadnych teorii ani hipotez, naraz wiedzieli, o co chodzi i kogo ścigają. Czas, żeby... zacisnąć pętlę wokół tych dwóch.

Wokół Pietera Clausena i Arona Kellera. Mordercy i szantażysty.

Jedyny mały problem stanowiło to, że pętla prawdopodobnie okaże się pusta, kiedy ją zacisną. Stwierdził Rooth, zeskubując papier z marcepanowo-czekoladowej kuli.

- Tak, cholerna historia - przyznał Reinhart. - Jeszcze daleko do mety, musimy mieć tę świadomość, ale jak się okazuje, nasze domysły nie były takie głupie. Keller miał jakiegoś haka na Clausena i chciał pieniędzy za to, że go nie wyda. Wysłał młodego Van Veeterena, żeby odebrał pieniądze... z wiadomym rezultateim. Diabli wiedzą, jak była w to zamieszana Vera Miller, ale znaleźliśmy jej włosy i co tylko chcecie w mieszkaniu Clausena... i ślady krwi, zarówno w

sypialni, jak i w samochodzie. Sprawa jest oczywista. Zabił ją w taki sam sposób, w jaki zabił Ericha Van Veeterena.

- Jakie mamy powiązanie między Kellerem a Erichem?

- chciał się dowiedzieć deBries. - Bo jakies musi istnieć.

- Jeszcze nie wiemy - powiedział Reinhart. - Trzeba to ustalić.

I nie jest to jedyna rzecz, jaką mamy do zrobienia, jak już mówiłem. Clausen i Keller zniknęli. Najwyraźniej nikt ich nie widział od czwartku... a w czwartek Clausen podjął z banku dwieście dwadzieścia tysięcy. Coś musiało się wtedy wydarzyć, może później wieczorem, musimy się dowiedzieć co... i musimy oczywiście ich znaleźć.

- *Dead or Alive* - powiedział Rooth.

- *Dead or Alive* - zgodził się Reinhart po chwili zastanowienia.

- Ci dwaj panowie to bardzo podobne typy, jeśli bliżej im się przyjrzeć. Samotni mężczyźni w średnim wieku nieprowadzący zbyt aktywnego życia towarzyskiego. Keller jest najwyraźniej prawdziwym wilkiem stepowym. Bollmert i deBries niech sprawdzą, czy w ogóle ma jakichś znajomych. Jego koledzy z pracy nie mieli o nim wiele do powiedzenia... zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził Rooth. - W tej wytwórni drewnianych nóg pracuje nie więcej niż osiem osób, ale wszyscy mówią, że Keller jest upartym osłem.

- Naprawdę tak powiedzieli? - upewnił się Jung.

- Nie wyrażają się równie obrazowo jak ja - wyjaśnił Rooth.

-Ale taki był sens.

Reinhart puścił w obieg kopię kartki, którą Moreno znalazła w koszu na śmieci.

- Co z tego wnioskujecie? - zapytał. - Natrafiliśmy na to w mieszkaniu Kellera.

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Co więc znaczy *nal* - zapytał Reinhart.

- Nastolatek - powiedział deBries. - Chyba nic innego nie wchodzi w grę.

- Jasne, że wchodzi - zaprotestował Rooth. - Cała masa... naukowiec, nauczyciel, nastroiciel...

- Nastroiciel? - zdziwił się Jung. - Co to, u diabła, jest?  
- Gość, który nastroja instrumenty, wtedy lepiej grają. Nie masz w domu pianina?

- Bystry z pana glina - zauważył Reinhart. - Ale nie przypominam sobie żadnego, hm, nastroiciela, który został zamordowany. Ani naukowca czy nauczyciela, w każdym razie nie w ostatnim czasie... ani nawigatora czy naftowca... dobra, przyznaję, jest trochę możliwości, ale zdecydujemy się wstępnie, że chodzi o nastolatka, to bez wątpienia najbardziej prawdopodobne. Wtedy możemy przyjąć, że Clausen zabił chłopaka lub dziewczynę gdzieś na początku listopada i że w tym tkwi źródło wszystkiego. Nie wiemy, kiedy dokładnie Keller to napisał, ale jeśli skupimy się na zdarzeniach z przełomu października i listopada... plus minus tydzień... zobaczymy, co nam to przyniesie.

- Nie mógł mieć na myśli Ericha Van Veeterena? - zapytał deBries.

Reinhart zastanowił się przez sekundę.

- Wątpię. Erich miał prawie trzydziestkę. I czas się nie zgadza. .. *kilka tygodni temu zabił Pan na...* nie, wykluczone.

- Okej - zgodził się deBries.

- ...następca tronu, narzędziowiec, nairobińczyk, namiestnik. .. klepał Rooth, ale nie zdołał przyciągnąć niczyjej uwagi.

- Zabity chłopak lub dziewczyna? - spytał Jung. - Powinniśmy chyba wiedzieć, że ktoś został zamordowany w tym czasie? Raczej nie mogło nam umknąć... przynajmniej nie w naszym rejonie.

- Nie musiało to być w Maardam - zauważyła Moreno.

- I niekoniecznie musiało zostać zgłoszone. Mogło na przykład chodzić o coś w szpitalu, co Clausen usiłował zamieść pod dywan. I niemal mu się udało.

- Tylko nie znowu szpital - jęknął Rooth. - Jestem już chory od tego.

Na kilka sekund zapanowało milczenie.

- Ten Clausen chyba nie jest chirurgiem? - spytał deBries.

- Nie przeprowadza operacji?

Reinhart sprawdził w dokumentach.

- Internista. Chociaż pewnie i w tej specjalności można posłać człowieka na drugi świat. Wskutek niedbalstwa, na przykład... musimy ustalić, czy na jego oddziale nastąpiły w tym czasie jakieś zgony. Rooth i Jung, wróćcie do Rumforda, wystarczy, jak porozmawiacie z ordynatorem. I zajrzyście do kart kilku pacjentów.

- Szukamy nastolatka, który niespodziewanie zmarł? - spytał Jung.

- Młodego pacjenta płci męskiej lub żeńskiej, którego zgon nastąpił w nocy - poprawił Rooth. - Mimo podjętych wysiłków. Nie zapominaj o ich cholernej solidarności zawodowej... myślę, że najlepiej będzie, jak ty poprowadzisz gadkę z Leissnem. Chyba nie przypadliśmy sobie do gustu.

- Co ty powiesz? - zdziwił się Jung. - A to ci niespodzianka.

- A co planujesz dla nas? - zapytała Moreno, kiedy koledzy wyszli.

Reinhart oparł ręce na blacie, prostując plecy.

- Ja mam randkę z niejakim Oscarem Smaagem. Sekretarzem aniołków Verhoutena odpowiedzialnym za zwoływanie spotkań. Ty zostaniesz tutaj i sprawdzisz, czy mamy jakieś niewyjaśnione śmiertelne przypadki. Także zaginięcia... nie jest wcale pewne, że sprawa wiąże się ze szpitalem, choć wiele na to wskazuje.

- Dobra. Mam nadzieję, że Smaage coś powie, chociaż nie mam pojęcia, co by to mogło być. Myślę, że wszystko sprowadza się do jednego.

- Do czwartku?

- Tak. Co, u licha, wydarzyło się w czwartek wieczorem? Wydaje się oczywiste, że wtedy miał przekazać pieniądze. Jak uważasz?

- Na pewno - przyznał Reinhart. - Byłoby dziwne, gdyby nie pojawił się ktoś, kto zetknął się z nimi - albo przynajmniej z jednym z nich - po tym dniu. Musimy tylko poczekać. Uzbroić

się w cierpliwość. Czy ktoś ostatnio tego nie zalecał?

- Sądzę, że się mylisz - powiedziała Moreno.

Zajęło jej nie więcej niż godzinę, by znaleźć to, czego szukała. W każdym razie instynktownie poczuła, że na monitorze pojawiło się właściwe nazwisko. Serce zabiło mocniej, a włosy na przedramieniu zjeżyły się, zazwyczaj były to nieomyłne oznaki.

Zewnętrzne oznaki kobiecej intuicji. W każdym razie jej intuicji.

Wim Felders, przeczytała. Urodzony 17.10.1982 r. Zmarły 5.11.1998 r. Ewentualnie 6.11. Znaleziony około szóstej rano przez rowerzystę na drodze 211 między Maardam a przedmiejskim Boorkhejm. Śledztwo przeprowadzone przez policję drogową (pod kierunkiem komisarza Lintonena) wykazało, że najprawdopodobniej został potrącony przez samochód i zginął, uderzywszy o cementową rurę na poboczu. Poszukiwania prowadzono też przez wszystkie media, ale kierowca się nie zgłosił. Żadnych świadków wypadku. Żadnych podejrzanych. Żadnych wskazówek. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku i nie miał zamiaru ponieść odpowiedzialności.

Pamiętała ten wypadek. Czytała o nim w gazetach i widziała relacje w telewizyjnych wiadomościach. Szesnastoletni chłopak wracał do domu do Boorkhejm. Z centrum, gdzie odwiedził swoją dziewczynę. Prawdopodobnie uciekł mu autobus.

Przypuszczalnie szedł poboczem drogi, była brzydka pogoda, deszcz i mgła, i został potrącony przez kierowcę, który później zbiegł.

Mógł to być ktokolwiek.

Mógł być Clausen.

Keller nadjechał może zaraz potem i wszystko zobaczył. Albo siedział koło Clausena, jeśli się znali... choć jak dotąd nic na to nie wskazywało.

Wypadek drogowy?

Była to oczywiście pewna możliwość. Kiedy zaczęła się



zastanawiać, na ile prawdopodobna, spostrzegła, że trudno jej to ocenić. Może trafiła kulą w płot, ale oczywiście nie miało to znaczenia. Trop wymagał sprawdzenia, dopóki się nie urwał.

Intuicyjnie wiedziała, że właśnie tak to się odbyło. Znalazła pierwsze ogniwo. Bez dwóch zdań.

Zobaczyła, że jest już wpół do szóstej, i zastanowiła się, co powinna zrobić. Postanowiła wracać do domu, a do Reinharta zadzwonić wieczorem. Gdyby udało się potwierdzić, że Clausen jechał z centrum tego dnia o tej porze... dzięki dziewczynie Wima Feldersa wiadano, że wypadek nastąpił prawdopodobnie przed dwunastą w nocy... tak, wtedy powinny zniknąć wszelkie wątpliwości.

Możliwość udowodnienia, że Clausen wówczas tamtędy przejeżdżał, stanowiła oczywiście niewiadomą, ale skoro powiązali go z dwoma innymi morderstwami, nie miało może to większego znaczenia.

Z drugiej strony - jeśli tamtego wieczoru przebywał w centrum, powinien był chyba kogoś spotkać? Kogoś, kto mógł to poświadczyć.

Tylko nie Verę Miller, pomyślała. Lepiej żeby to były te aniołki... jak im tam? Verhoutena?

Ważniejsze jednak od tego wszystkiego było znalezienie Clausena. Nie ulegało wątpliwości.

I Kellera.

Doszedłszy do tego punktu, Moreno wyłączyła komputer i pojechała do domu. Jakkolwiek by na to spojrziała, była zdania, że wykonała dobrą robotę.

### 33

Właśnie skończyła rozmowę z Reinhartem, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Wpół do dziewiątej? - pomyślała. Ki diabeł?

Był to Mikael Bau, sąsiad z dołu.

- Masz ochotę coś przekąsić? - zapytał z nieszczęśliwą miną.

Bau miał około trzydziestki i wprowadził się na Falckstraat zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Nie znała go. Przedstawił się oczywiście, kiedy spotkali się pierwszy raz na klatce schodowej, ale później wymieniali jedynie przelotne pozdrowienia. Wszystkiego trzy czy cztery razy. Był dość przystojny, to zauważyła od razu. Wysoki, jasnowłosy, o niebieskich oczach. Z uśmiechem, który chyba rzadko schodził mu z twarzy.

Teraz jednak miał poważną minę.

- Przygotowałem ragout - wyjaśnił - å la boeuf bourguignon. Jest już gotowe, więc jeśli miałabyś ochotę...

- Trochę nagle to zaproszenie - powiedziała Moreno.

- Domyślałam się. Hm... też nie miałem planów, by cię zapraszać, ale moja narzeczona zerwała ze mną, zanim siedliśmy do jedzenia. Tylko nie myśl sobie...

Nie wiedział, co dalej powiedzieć. Moreno też nie.

- Dziękuję, chętnie - powiedziała więc. - Z tego, co pamiętam, dzisiaj nic jeszcze nie jadłam. Jeśli tylko dasz mi kwadrans na wzięcie prysznic. Ragoüt nietrudno utrzymać gorące.

Teraz się uśmiechnął.

- Znakomicie. To zejdz za kwadrans.

Poszedł z powrotem do siebie, a Moreno zamknęła drzwi.

Czy tak może się zacząć? - pomyślała, ale natychmiast odrzuciła tę myśl.

Oprócz swych walorów zewnętrznych Mikael Bau miał też inną zaletę: okazał się wyśmienitym kucharzem. Ragoüt zajadała, aż jej się uszy trzęsły, a cytrynowy sorbet na deser miał dokładnie tę kwaskowatą lekkość co w przepisach, ale rzadko w rzeczywistości.

Facet, który potrafi gotować? - pomyślała. Nigdy wcześniej na takiego nie trafiłam. Musi mieć trupa w szafie. Miała wielką ochotę zapytać, dlaczego narzeczona z nim zerwała, ale nie znalazła sposobności, żeby zadać tak osobiste pytanie, a on sam tego tematu nie poruszył.

Zamiast tego rozmawiali o pogodzie, domu i sąsiadach. I o

swojej pracy. Bau był pracownikiem socjalnym, więc mieli co nieco wspólnego.

- Diabli wiedzą, dlaczego zdecydował się człowiek na obcowanie z ciemną stroną życia - powiedział. - Nie chcę twierdzić, że nie lubię swojej pracy, ale dzisiaj wybrałbym chyba inny zawód. A ty dlaczego zostałaś policjantką?

Ewa Moreno zadawała sobie to pytanie tyle razy, że nie wiedziała już, czy istnieje odpowiedź. Albo czy istniała. Tak po prostu wyszło i podejrzewała, że tak samo było w przypadku wielu ludzi. Życie potoczyło się, jak się potoczyło.

- Myślę, że wiele zależy od przypadku. Na pewno nie od starannie przemyślanych decyzji. Mamy znacznie mniejszy wpływ, niż nam się wydaje... udawanie, że go mamy, to inna sprawa.

Bau skinął głową, jakby nad czymś myślał.

- Chociaż może w końcu trafiamy tam, gdzie nasze miejsce. Ostatnio czytałem o teorii kul bilardowych, znasz ją? Toczysz się po równym, zielonym suknie wśród masy innych kul. Prędkości i kierunki są określone, a mimo to nie da się obliczyć, co się wydarzy. .. kiedy nastąpi zderzenie i zmiana kierunku. Wszystko jest podane, ale nieprzewidywalne, po prostu oddziałuje zbyt wiele czynników... tak, coś w tym stylu. Przypomniała sobie, co zwykle mówił komisarz, i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Pewne wzorce. Mówi się, że istnieją pewne wzorce, których nie dostrzegamy... nie przed faktem. Potem stają się wyraźne. Przypomina to w gruncie rzeczy policyjne śledztwo. Wszystko staje się wyraźniejsze, kiedy można się cofnąć.

Bau ponownie skinął głową.

- Tyle że w życiu nie można się cofnąć. W tym tkwi szkopuł. Jeszcze trochę wina?

- Pół kieliszka.

Kiedy Moreno po raz pierwszy spojrziała na zegarek, była za piętnaście dwunasta.

- O Boże. Nie musisz wstać jutro rano do pracy?

- Owszem. My po ciemnej stronie życia zawsze czuwamy.  
- Dziękuję za miły wieczór. - Moreno podniosła się. - Obiecuję zrewanżować się zaproszeniem, ale najpierw muszę nauczyć się jakichś przepisów.

Bau odprowadził ją do przedpokoju i pożegnał starannie wyważonym uściskiem. Kwadrans później leżała w łóżku, myśląc O tym, jak dobrze mieć sympatycznych sąsiadów.

Potem pomyślała o Erichu Van Veeterenie. Musiał być w podobnym wieku co Bau i ona. Może kilka lat młodszy, nie zastanawiała się nad tym wcześniej.

A inni?

Vera Miller skończyła trzydzieści jeden, Wim Felders zaledwie szesnaście.

Kiedy człowiek wy dostał się poza wąski horyzont dobrosąsiedzkich stosunków, od razu pojawiały się inne znaki.

Reinhart obudził się, bo Joasia ciągnęła go za dolną wargę. Siedziała mu na brzuchu, z rozkosznym uśmiechem na twarzy.

- Tata śpi - powiedziała. - Tata budzi.

Podniósł ją na wyprostowanych rękach. Krzyknęła z zachwytu, opluwając go strużką śliny.

Dobry Boże, pomyślał. To jest cudowne! Szósta rano i można czerpać z życia pełnymi garściami!

Zastanowiło go, dlaczego w pokoju jest tak jasno, ale przypomniał sobie, że córeczka właśnie nauczyła się zapalać światło i ochoczo ćwiczyła tę umiejętność. Położył ją koło Winnifred i wstał. Stwierdził, że lampy w mieszkaniu były zapalone co do jednej, i poszedł je pogasić. Joasia szybko za nim przydreptała, paplając coś o misiach. A może o kurach, miała w buzi smoczek i trudno było zrozumieć, co mówi. Wzięła ją ze sobą do kuchni i zaczął szykować śniadanie.

Kiedy był w połowie, przypomniał sobie, co mu się śniło. Czy też raczej, co dotarło do niego w nocy gdzieś na granicy snu i jawy.

Zapomnieli wszcząć poszukiwania Kellera.

Cholera, pomyślał. Podniósł córkę i posadził na krzeselku.

Postawił przed nią talerz bananowego musu z jogurtem i poszedł do gabinetu, żeby zadzwonić do komendy.

Chwilę zajęło, zanim szeregóły dotarły do Klempjego, który miał dyżur, ale powoli chyba zrozumiał. Obiecał, że natychmiast uruchomi procedurę. Na honor i sumienie.

Nie wiem, czy jesteś obdarzony choćby jednym, pomyślał Reinhart, ale podziękował i odłożył słuchawkę.

Niedbalstwo, pomyślał później. Jak, do cholery, można zapomnieć o czymś takim?

Dwie godziny później był gotowy do wyjścia do pracy. Winnifred właśnie wstała i wyglądała jak wypoczęta bogini. Przez chwilę bawił się myślą, żeby jednak zostać w domu i się z nią kochać. W zasadzie nie było to niemożliwe. Joasię kładli o tej porze spać jeszcze na godzinę, a opiekunka przychodziła dopiero po lunchu.

Wtedy przypomniał sobie o sytuacji. Rozchylił szlafrok żony i objął ją. Ugryzła go lekko w szyję. Zrewanżował się tym samym. Na tym musiał poprzestać. Włożył płaszcz.

- Będiesz miał urlop, tak jak myślałeś? - zapytała, kiedy stał w drzwiach.

- Nie ma problemu - odpowiedział jej po polsku. - To znaczy

- przetłumaczył - skończymy za trzy dni. Góra za trzy dni.

Komisarz Reinhart trochę się oszukiwał, ale zdarzało mu się to już wcześniej. Grunt, żeby nie oszukiwała go Winnifred.

Kiedy Moreno zreferowała wypadek Wima F eldersa, Reinhart zadzwonił do Smaagego, z którym rozmawiał poprzedniego popołudnia. Smaage pracował jako dziennikarz w „Telegraafie” i nietrudno było go złapać.

- Zapomniałem wczoraj zapytać o jedną rzecz - wyjaśnił Reinhart. - W związku z Clausenem. Czy nie mieliście przypadkiem tego swojego spotkania...

Skinął na Moreno, która podała mu kartkę z rzeczoną datą.

- ...piątego listopada? Spotkania aniołków. To był czwartek. Jest pan w stanie udzielić mi odpowiedzi?

- Chwileczkę - pośpiesznie odrzekł Smaage i Reinhart usłyszał,

jak coś wertuje. Jedna szansa na dziesięć, ocenił i czekał. Najwyżej. A jednak wiedział, że nie zawahałby się na nią postawić.

- Zgadza się - powiedział Smaage. - Czwartek, piątego listopada. Poszliśmy do ten Boscha. Wszyscy bracia obecni, przyjemny wieczór...

- Wiem, że to wygórowane żądanie, ale chcielibyśmy wiedzieć, o której Clausen pbechał do domu. Choćby w przybliżeniu.

Smaage zaśmiał się w słuchawkę.

- A niech mnie. Nie mam pojęcia. Pewnie wpół do dwunastej, dwunasta, zwykle dłużej nie siedzimy. Zakładam, że nie ma sensu pytać, po co wam...

- Całkiem słusznie - uciął Reinhart. - Dziękuję za informację.

Odłożył słuchawkę i wyjął fajkę.

- Czasami mamy szczęście. Pasuje. Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie pasuje! Clausen bez wątpienia mógł przejechać tego chłopca, czas się zgadza... to byłaby więc przyczyna wszystkiego. Cholera, przygnębiające, kiedy o tym pomyśleć.

- Co jest przygnębiające? - zapytała Moreno.

- Nie rozumiesz? Za całym tym gównem może kryć się zwykły wypadek. Za śmiercią Ericha Van Veeterena. I Very Miller... no i za tym, co wydarzyło się od czwartku, cokolwiek się cholera wydarzyło. Zwykły pieprzony wypadek, tylko tyle, a potem walec się toczy...

Moreno przypomniała sobie rozmowę z sąsiadem wczorajszego wieczoru. O przypadku i wzorcach, kulach, które się zderzają bądź nie. Nagłe zmiany kierunków... efekt motyla?

- Tak - przyznała. - Zastanawiające. Chociaż musimy dokładniej to sprawdzić. Jak dotąd to tylko możliwość... mimo że też jestem zdania, że pasuje. Mamy jeszcze ludzi w Rumfordzie? Chyba pora zredukować siły. Przynajmniej w odniesieniu do Clausena.

Reinhart skinął głową. Zapalił fajkę i zaczął szukać w papierach.

- Chodzi o tych dwóch drani - mruknął. - O Clausena i Kellera.

Troje zabitych jak dotąd... a obaj zniknęli. Przekłeta historia. Wertował dalej, aż wyciągnął dokument, którego szukał.

- O Kellerze nikt nie miał nic do powiedzenia - stwierdził.

- Prawdziwy odludek. Pasuje jako szantażysta, jeśli się zastanowić.. . po prostu właściwy typ.

Moreno miała pewne obiekcje co do tego uproszczenia, ale nie zdążyła ich przedstawić, ponieważ w drzwiach pojawiła się głowa aspiranta Krausego.

- Przepraszam, ale dostaliśmy właśnie ważny faks.

- Aha. Jaki faks? - zapytał Reinhart.

- Z lotniska - odparł Krause. - Wygląda na to, że Aron Keller w sobotę po południu wsiadł do samolotu.

- Do samolotu? Dokąd?

- Do Nowego Jorku. Wylot z Sechshafen o czternastej pięć. British Airways.

- Do Nowego Jorku? Cholera.

## 34

Przez resztę dnia nie zdarzyło się właściwie nic poza tym, że padał śnieg.

Przynajmniej Reinhart miał takie poczucie. Padał śnieg, a coś wysliznęło mu się z rąk. Spędzał kolejne godziny w swoim gabinecie i za każdym razem, kiedy wyjrzał przez okno, widział tylko wirujące płatki, które sływały na miasto. Kilka razy zatrzymał się też przy oknie, wpatrując się w nie. Stał tam, paląc, z rękami w kieszeniach spodni i myślał o komisarzu. O tym, co mu obiecał na początku śledztwa i że był tak bliski spełnienia obietnicy.

Czy nie? Wcale nie był blisko?

I jak teraz wyglądała sytuacja? Co wydarzyło się między Clausenem a Kellerem? Chyba znał odpowiedź, ale wzdragał się przed wygrzebaniem jej i spojrzeniem na nią. Jeszcze nie był gotów. Może przede wszystkim ze względu na komisarza i obietnicę, którą mu złożył... tak, jak się bliżej zastanowić, właś-

nie z tego powodu.

Krótko po lunchu wróciła Moreno w towarzystwie Bollmerta i deBriesa. Usiedli i zdali relację, jak poszło im z ustaleniem kręgu znajomych Kellera. Dokładnie tak, jak się obawiali, nie było w tym kręgu nikogo. Żadna z osób odnotowana w znalezionym notesie - spośród kilkunastu, z którymi udało się skontaktować - nie przyznała się do bliższych relacji z jego właścicielem. Niektórzy nie wiedzieli nawet, kim jest Aron Keller, i nie mogli pojąć, jak znaleźli się w notesie. Tylko dwie osoby przyznały się do utrzymywania jakichkolwiek stosunków z Kellerem: jego dwie siostry w Linzhuisen. Bez ogródek opisały brata - każda z osobna - jako beznadziejnego zrzędę i odludka, którego jednak na zmianę do siebie zapraszały. Czasami.

Mniej więcej raz do roku. Tak, na Boże Narodzenie.

Czasami przyjeżdżał, czasami nie.

Na temat trybu jego życia nie miały wiele do powiedzenia. Był dziwny, odkąd w wieku dziesięciu lat spadł z traktora i uderzył się w głowę. Może wcześniej też. Raz był żonaty z taką samą tetryczką jak on, małżeństwo skończyło się po pół roku. Nazywała się Liz Vrongel i pewnie tak zostało.

Poza tym milczenie. I piłka nożna.

- Hm. No tak, w tym roku nie muszą przynajmniej wysłać zaproszenia na święta - powiedział Reinhart. - Nie przyjedzie.

- Skąd wiesz? - zapytał deBries, który nie wiedział o wiadomości z lotniska.

- Będzie obchodził święta w Nowym Jorku - westchnął Reinhart. - Drań. Wrócimy do tego później. Co z ostatnim Kellerem w notesie? Z tego, co pamiętam, było trzech.

- *Je go* ojciec. - DeBries zrobił grymas. - Siedemdziesięcioletni alkoholik z Haaldam. Mieszka, przynajmniej okresowo, w czymś w rodzaju domu starców. Od dwudziestu lat nie miał kontaktu z żadnym ze swoich dzieci.

- Miła rodzinka - wtrąciła Moreno.

- Pełna sielanka - przytaknął deBries. - Stary to prawdziwy



mężczydusza. Może syn wdał się w niego?

- Pewnie tak - powiedział Reinhart. - Mamy coś więcej?

- Mamy - odezwał się Bollmert. - Chyba wiemy, skąd Erich Van Veeteren znał Kellera. Aron Keller przez kilka lat pracował jako kurator społeczny.

Reinhart wydobył z siebie coś, co przypominało warknięcie.

- Mógłbym się założyć. Przecież to jawny skandal, że pozwalają takim typom być kuratorami. Komu, ich zdaniem, taki okaz sukinsyna jak Keller miałby pomóc w powrocie do społeczeństwa... gość, który jedyną zdrową relację może mieć ze swoim odkurzaczem?

- Nie przydzielono mu żadnych podopiecznych od trzech lat

- powiedział deBries. - Jeśli to może być jakimś pocieszeniem.

Nie jesteśmy pewni, że zajmował się Erichem Van Veeterenem, ale łatwo to sprawdzić.

- To dlaczego nie sprawdziliście? - zapytał Reinhart.

- Bo chciałem, żebyśmy byli tu o pierwszej.

- Hm. *Sorry*.

Reinhart wstał i przez chwilę patrzył na padający śnieg.

- Zastanawiam się... tak, tak musiało być.

- Co? - spytała Moreno.

- Z pewnością miał haka na Ericha. W tej branży nawet trudno tego uniknąć, żeby się czegoś nie dowiedzieć... no i pewnie wykorzystał to, nakłaniając chłopaka, żeby pojechał i odebrał pieniądze. Cholera. Podwójna cholera.

- Ustaliliśmy przecież, że szantażyści nie należą do sympatycznych - przypomniała Moreno. - A Keller najwyraźniej nie jest wyjątkiem.

Reinhart wrócił na fotel.

- Zadzwoń i sprawdź, czy Keller był kuratorem Ericha. Jeśli tak, a wszystko na to wskazuje, będziemy mogli chyba powiedzieć, że prawie wszystko jest dla nas jasne. Możecie sobie zrobić wolne popołudnie.

- Znakomicie - powiedział deBries. - Sam już chciałem to zaproponować. Nie miałem wolnego od Wielkanocy.

Wyszedł razem z Bollmertem. Reinhart w milczeniu przyglądał się taśmom, które leżały, gdzie leżały i nigdy nie miały zostać odsłuchane. Ani przez niego, ani przez nikogo innego.

- Tyle pracy - mruknął, rzucając okiem na Moreno. - Tyle choleryjnej pracy i tyle zmarnowanego czasu. Jeśli odpowiesz mi na jedno jedyne pytanie, wstawię się za tobą u Hillera, żeby dał ci dodatkowy urlop w zimie.

- Strzelaj.

- Co Keller zrobił z Clausenem w czwartek wieczorem? Co się, do cholery, stało?

- Potrzebuję czasu do namysłu - oświadczyła Moreno.

- Masz całe popołudnie. Siądź sobie w pokoju i patrz na śnieg. To ułatwia myślenie.

Van Veeteren wyjął świeżo skręconego papierosa i zapalił.

- Czyli wiesz, kto to zrobił?

Reinhart skinął głową.

- Tak, myślę, że dotarliśmy do właściwego człowieka. Mało przyjemna historia, ale przecież tak jest zawsze. Wszystko zaczyna się od wypadku. Ten Pieter Clausen potrąca młodego chłopaka, zabijając go. Ucieka z miejsca wypadku, ale nie wie, że ktoś go widział. Może zatrzymał się, żeby sprawdzić, co się stało, wydaje się to prawdopodobne. Jedzie tego wieczoru do siebie do Boork- hejm i niejaki Aron Keller zapewne również... przypuszczalnie na swoim skuterze. Pogoda jest pod psem, deszcz i wiatr, ale rozpoznaje Clausena. To'jego sąsiad. Postanawia zarobić trochę pieniędzy na tym, co zobaczył... mogę cię zapewnić, że mamy do czynienia z przeklętym bydlakiem.

- Szantażyści rzadko są sympatyczni - powiedział Van Veeteren.

- Zgadza się. Wysłał twojego syna w ten wtorek, żeby odebrał pieniądze w Dikken. Nie wiem, czy znasz Kellera, ale przez dwa lata był kuratorem Ericha... nie jest wcale pewne, czy obiecał za to Erichowi jakieś wynagrodzenie. Może Keller miał na niego haka. Clausen nie wie, kim jest szantażysta, ma już

jednego człowieka na sumieniu i nie chce popaść w zależność. Zabija Ericha w przekonaniu, że to szantażysta.

Zamilkł. Minęło pięć sekund, które ciągnęły się Reinhartowi jak pięć lat. Potem Van Veeteren skinął mu, żeby mówił dalej.

- Potem mamy zabójstwo Very Miller. Opowiadać o tym?

- Oczywiście.

- Nie wiem, dlaczego Clausen ją też zabija, ale w jakiś sposób musi się to wiązać z Kellerem i Erichem. Clausen i Vera Miller nawiązali niedawno romans. Tak, powoli zrozumieliśmy, co się dzieje. Dzięki tobie natrafiliśmy na motyw szantażu i Arona Kellera; wkurzające jest, że tak późno uzyskujemy jasny obraz. Coś musiało się wydarzyć w czwartek albo w piątek, najwyraźniej Clausen dostał ostateczny termin na zapłacenie. W Spaarkasse przyznano mu kredyt. Dwieście dwadzieścia tysięcy, które wziął w gotówce, a potem zniknął.

- Zniknął?

- Wiemy przecież, co to może oznaczać - powiedział sucho Reinhart. - Nie tak trudno sobie wyobrazić, co się stało. Aron Keller poleciał w sobotę do Nowego Jorku. Nie ma go już w hotelu, w którym się zatrzymał, wymieniliśmy z nimi kilka faksów. Nie wiemy, gdzie jest Clausen. Nie ma po nim śladu, ale nie wygląda na to, żeby też uciekł. Paszport, a nawet portfel zostawił w domu. Mam właściwie tylko jedną teorię, taką, że... no, że Keller się go pozbył. Zabił go i gdzieś zakopał. Niestety. Obawiam się... obawiam się, że nie będziesz mógł usiąść oko w oko z mordercą twojego syna.

Van Veeteren wypił łyk piwa i wyjrzał przez okno. Minęło pół minuty.

- Pozostaje nam nadzieja, że z czasem znajdziemy jego ciało

- powiedział Reinhart, zastanawiając się jednocześnie, po co to mówi. Jakby to mogło przynieść jakieś pocieszenie.

Nawiązanie znajomości ze zwłokami człowieka, który zabił mojego syna? Absurdalne. Makabryczne.

Van Veeteren nie odpowiedział. Reinhart przyglądał się własnym dłoniom, rozpaczliwie szukając w głowie słów.

- Mam jego zdjęcie - powiedział w końcu. - Jeśli chcesz go zobaczyć. Zresztą Kellera też.

Wyciągnął z teczki dwie fotokopie i podał Van Veeterenowi. Ten przyglądał im się przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

- Dlaczego Keller miałby go zabijać? - zapytał.

Reinhart wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pieniądze raczej dostał, w przeciwnym razie nie mógłby chyba dać drapaka do Nowego Jorku... tak przynajmniej myślę. Można oczywiście spekulować. Może Clausen w jakiś sposób dowiedział się, kto go szantażuje. Keller to specyficzny typ... i był świadom, że Clausen nie ma oporów przed zabijaniem. Wolał się zabezpieczyć. Jeśli Clausen rzeczywiście wiedział, kim jest szantażysta, Keller musiał zdawać sobie sprawę, że nie będzie bezpieczny.

Van Veeteren zamknął oczy i słabo kiwnął głową. Minęło kolejne pół minuty milczenia. Reinhart porzucił rozpaczliwe próby znalezienia jaśniejszych punktów, a zamiast tego starał się wyobrazić sobie, co czuje komisarz. Starał się przez cały czas, mniej lub bardziej intensywnie, ale wcale nie było łatwiej, kiedy się na tym skoncentrował. Stracić syna w wyniku zabójstwa, tylko to - a potem dowiedzieć się, że morderca został sprzątnięty przez innego zabójcę, który poniekąd był tak samo winny śmierci Ericha jak bezpośredni sprawca. Czy nie można patrzeć na to w ten sposób? Czy ma to jakieś znaczenie? Czy takie rzeczy w ogóle się liczą, kiedy chodzi o rodzonoego syna?

Nie doszedł do żadnych odpowiedzi. Nawet w ich pobliże.

W każdym razie, jakkolwiek na to spojrzeć, Erich Van Veeteren okazał się tylko pionkiem w grze, która nawet go nie dotyczyła. Jaka bezsensowna śmierć, pomyślał Reinhart. Całkowicie daremna ofiara... jedynym, który mógł skorzystać na jego śmierci, był Keller; zapewne podniósł cenę za swoją mroczną wiedzę, kiedy Clausen miał na sumieniu już dwóch zabitych.

Cholera, pomyślał Reinhart po raz pięćdziesiąty tego ponurego

dnia. Reżyser z podziemi znowu uderzył.

- Co zamierzacie zrobić? - zapytał Van Veeteren.

- Wysłaliśmy oczywiście list gończy za Kellerem do Stanów. Może za jakiś czas kogoś tam pošlemy... ale to duży kraj. A on ma pieniądze.

Van Veeteren wyprostował się i znowu wyjrzał przez okno.

- Ostro pada - powiedział. - W każdym razie dziękuję, zrobiliście, co się dało. Gdybyśmy pozostali w kontakcie, chcę przynajmniej wiedzieć, jak to się skończy.

- Jasne - przytaknął Reinhart.

Kiedy zostawiał komisarza przy stoliku, po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuł, że chce mu się płakać.

### 35

Środowy wieczór i pół czwartku Van Veeteren spędził w starej secesyjnej willi w dzielnicy Deijkstraa. Krantze odkupił od spadkobierców całą prywatną bibliotekę - cztery i pół tysiąca tomów, które trzeba było przejrzeć, oszacować i zapakować w skrzynie. Jak zwykle w takich przypadkach były trzy kategorie książek: niechodliwe wątpliwej jakości (do sprzedaży na kilogramy), egzemplarze mogące ozdobić półki antykwariatu i w przyszłości ewentualnie znaleźć nabywcę (nie więcej niż dwieście, trzysta ze względów lokalowych) oraz te, które chciałby mieć w swoich zbiorach (góra pięć, z czasem nauczył się przekształcać kwestie moralne w pełne, wyraźne liczby).

Chodzenie po tym mieszczańskim domu (członkowie rodziny byli od wielu pokoleń prawnikami i sędziami sądu apelacyjnego, jeśli dobrze odczytał genealogię) i wertowanie starych książek nie było bynajmniej nieprzyjemnym zajęciem. Miało zająć tyle czasu, ile musiało, a dziedziczna podagra Krantzego stała obecnie na przeszkodzie każdej pracy, której nie mógł wykonywać na siedząco. Albo na leżąco. Oczywiście Krantze najpierw upewnił się, że nabytek nie zawiera opracowań naukowych z XVII i początków XVIII wieku, to

wąskie poletko stało się w jesieni życia jego prawdziwym (i jedynym, musiał, niestety, stwierdzić Van Veeteren) żywiołem. Po skończonej pracy w środę zjadł samotnie posępną kolację, obejrzał stary film De Siki na kanale 4 i kilka godzin czytał. Po raz pierwszy od śmierci Ericha mógł się skupić na takich zajęciach; nie wiedział, czy miało to związek z ostatnią rozmową z Reinhartem. Może tak, może nie. A jeśli tak, jaki? Zanim zasnął, leżał przez chwilę, rekapitulując ponure wydarzenia, które doprowadziły do tego, że Erich został zamordowany. I że ta pielęgniarka podzieliła jego los.

Próbował wyobrazić sobie mordercę. Pomyślał, że właściwie nie był on siłą napędową. Raczej został wciągnięty w całą sytuację, wikłał się coraz bardziej, stanął przed piekielnym dylematem, który próbował rozwiązać, nie przebijając w środkach. Zabijał, zabijał, zabijał z jakąś desperacką, perwersyjną logiką.

A jednak na koniec sam stał się ofiarą.

Tak, tak jak powiedział Reinhart. Mało przyjemna historia.

W nocy śniły mu się dwie rzeczy.

Najpierw wizyta u Ericha siedzącego w więzieniu. Nie był to sen szczególnie obfitujący w wydarzenia; po prostu siedział na krześle w celi Ericha, Erich leżał na łóżku. Przyszedł strażnik z tacą. Pili kawę i jedli jakieś ciasto, nic do siebie nie mówiąc; właściwie było to raczej wspomnienie niż sen. Wspomnienie, które może nie miało nic więcej do przekazania poza tym obrazem. Ojciec odwiedzający syna w więzieniu. Archetyp.

Śnił mu się też G. Sprawa G., jego jedyna niewyjaśniona sprawa przez te wszystkie lata. Także w tym śnie nic właściwie się nie działo. G. siedział w klatce na procesie, ubrany w swój czarny garnitur, i przyglądał mu się z głębi ciemnych oczu. Na jego wargach błąkał się sardoniczny uśmiech. Prokurator przechadzał się tam i z powrotem, zadając pytania, ale G. nie odpowiadał, patrzył tylko na Van Veeterena w ławach dla publiczności z tą charakterystyczną mieszaniną pogardy i szyderstwa.

Ta krótka sekwencja senna wzbudziła w nim znacznie większy niesmak, ale kiedy się obudził, nie potrafił ustalić kolejności snów. Który był pierwszy. Przy śniadaniu zastanawiał się, czy mogły być, używając języka filmowego, zmontowane - Erich w więzieniu i G. na sali sądowej - a jeśli tak, jakie przesłanie kryło się za takim równoległym snem.

Nie znalazł odpowiedzi, może dlatego, że nie chciał znaleźć. A może dlatego, że żadnej nie było.

Kiedy w czwartek po południu zakończył pakowanie i oznaczył skrzynie, zabrał do samochodu reklamówkę ze swoimi książkami, pojechał na dwie godziny na pływalnię i wrócił do domu do Klagenburga około szóstej. Na automatycznej sekretarce, którą dostał w prezencie od Ulrike, nagrane były dwie wiadomości. Jedna właśnie od niej: planowała odwiedzić go w piątek z butelką winą i pasztetem ze smardzami i pytała, czy nie mógłby kupić ogóreczków i innych dodatków wedle własnego uznania i smaku.

Druga wiadomość była od Mahlera, który informował, że około dziewiątej zamierza ustawić figury na szachownicy w Towarzystwie.

W tej akurat chwili komisarz był skłonny obdarzyć wynalazcę automatycznej sekretarki - ktokolwiek nim był - połowicznym uznaniem.

Padało, kiedy wyszedł na ulicę, ale powietrze było łagodne i, tak jak planował, wybrał drogę przez cmentarz. W pierwszym tygodniu po pogrzebie Ericha przychodził tu codziennie, najchętniej wieczorem, kiedy mrok kładł się niczym całun nad grobami. Teraz minęły już trzy dni. W miarę jak zbliżał się do właściwego miejsca, zwalniał kroku, jakby z szacunku; następowało to bez udziału myśli, po prostu automatyczna, instynktowna reakcja ciała. O tej porze na cmentarzu nie było ludzi, nagrobki i pomniki wyłaniały się z otaczającego mroku jak jeszcze mroczniejsze sylwetki. Słyszał tylko jego kroki na żwirowej ścieżce, gruchanie gołębi, samochody przyśpieszające gdzieś w oddali, w innym świecie. Dotarł do

grobu. Przystanął i nasłuchiwał, jak zwykle, z rękami w kieszeniach płaszcza. Jeśli o tej porze były jakieś dyskretne przesłania albo znaki do odczytania, wiedział, że można odebrać je słuchem.

Zmarli są starsi od żywych, pomyślał. Niezależnie od tego, ile mieli lat, przekraczając granicę, doświadczyli czegoś, co uczyniło ich starszymi od wszystkich żyjących.

Nawet dziecko. Nawet syn.

W ciemności nie mógł odczytać napisu na małej płycie, którą położyli w oczekiwaniu na nagrobek zamówiony przez Renate. Nagle zapragnął go odczytać; chciał widzieć nazwisko i daty, postanowił więc, że następnym razem przyjdzie tu za dnia.

Kiedy stał przy grobie, przestało padać. Po dziesięciu minutach ruszył dalej.

Zostawił swojego syna z cichym „śpij dobrze, Erich”.

Jeśli to możliwe, z czasem przyjdę do ciebie.

Lokal Towarzystwa w Zaulku Rzeźników był zatłoczony. Jednak Mahler przyszedł odpowiednio wcześniej i zajął jeden z boksów ze sztychami Diirera i żeliwnym kandelabrem. Kiedy Van Veeteren się pojawił, Mahler skubał brodę i pisał coś w czarnym notesie.

- Nowe wiersze - wyjaśnił, zamykając notes. - A raczej stare myśli ubrane w nowe słowa. Mój język od trzydziestu lat nie jest transcendentny wobec mojego mózgu, zresztą nie wiem już, co znaczy „transcendentny”... jak się czujesz?

- Tak jak na to zasługuję - odparł Van Veeteren, wciskając się do boksu. - Czasami wydaje mi się, że przeżyję również i to.

Mahler skinął głową i wydobyl cygaro z kieszonki kamizelki.

- Taki nasz los - powiedział. - Kogo bogowie nienawidzą, temu każą iść dalej. Partyjkę?

Van Veeteren przytaknął i Mahler zaczął ustawiać figury.

Pierwsza partia trwała sześćdziesiąt pięć minut - pięćdziesiąt cztery posunięcia i trzy kolejki piwa. Van Veeteren zgodził się na remis, mimo że miał piona przewagi, ale był to pion na bocznej linii.



- A twój syn? - zapytał Mahler, poskubawszy trochę brodę.

- Dopadli drania, który to zrobił?

Van Veeteren dopił piwo, zanim odpowiedział.

- Prawdopodobnie. Choć wygląda na to, że Nemezis wzięła sprawy w swoje ręce.

- Co masz na myśli?

- Z tego, co mi powiedzieli, leży gdzieś zakopany. Chodziło o szantaż. Erich był tylko pionkiem... tym razem nie miał brudnych rąk. Dziwne, ale trochę mnie to pociesza. Chociaż bardzo chciałbym spojrzeć temu lekarzowi w oczy.

- Lekarzowi?

- Tak. Ich zadaniem jest ratowanie życia, ten jednak poszedł inną drogą. Gasił je. Opowiem ci całą historię, ale innym razem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Muszę nabrać trochę dystansu.

Mahler rozważał coś przez chwilę, potem przeprosił i wyszedł do toalety. Van Veeteren wykorzystał ten czas, żeby skrócić pięć papierosów. Był to wprawdzie jego wyznaczony dzienny limit, ale w ostatnim miesiącu palił więcej.

Jakie to, do cholery, miało znaczenie? Pięć papierosów czy dziesięć?

Mahler wrócił, niosąc dwa nowe piwa.

- Mam propozycję - powiedział. - Zagramy Fischera.

- Fischera? Co to znaczy?

- No wiesz, ostatni wkład wielkiego mistrza w królewską grę, figury ustawia się przypadkowo... na zmianę, oczywiście. Żeby uniknąć tych cholernych analiz do dwudziestego ruchu. Król między wieżami, to jedyny warunek.

- Czytałem o tym - powiedział Van Veeteren. - Nawet studiowałem jedną partię, wariactwo. Nie myślałem tylko, że sam to wypróbuję... naprawdę analizujesz do dwudziestego ruchu?

- Zawsze. No to jak?

- Skoro nalegasz.

- Nalegam - powiedział Mahler. - Twoje zdrowie!

Zamknął oczy i pogrzebał w pudełku.

- Linia?

-C.

Mahler ustawił swoją białą wieżę na c1.

- O Jezu. - Van Veeteren spojrział na nią.

Ustawili resztę figur. Tylko jeden goniec trafił na właściwe pole; króle na linii f, hetmany na g.

- Skoczek w rogu jest niezły - powiedział Mahler. - No to gramy! Zrezygnował ze swej zwykłej wstępnej koncentracji i przesunął piona z e2 na e3.

Van Veeteren oparł głowę na rękach i wpatrywał się w układ figur. Przez dwie minuty nie drgnął mu ani jeden mięsień. Nagle uderzył pięścią w stół i podniósł się.

- Cholera! Głowę *daję, że...* przepraszam na chwilę.

Wygramolił się z boksu.

- Co cię napadło? - zapytał Mahler, ale nie dostał odpowiedzi. Komisarz przepchał się już do telefonu przy wejściu.

Rozmowa z Reinhartem zajęła Van Veeterenowi blisko dwadzieścia minut i kiedy wrócił, Mahler znowu zajęty był notesem.

- Sonety - wyjaśnił, spoglądając na swoje zgasłe cygareto. - Słowa i forma! Widzimy świat wyraźnie, kiedy mamy czternaście lat, może nawet wcześniej. Potem potrzebujemy pięćdziesięciu lat, żeby ukształtować język, którym nazwiemy te wrażenia. A one przez ten czas oczywiście wyblakną... co cię, do cholery, napadło?

- Przepraszam - powtórzył Van Veeteren. - Czasami człowiek doznaje olśnienia nawet w jesieni życia. Musiało je spowodować to popieprzone ustawienie.

Wykonał gest nad szachownicą. Mahler zerknął na niego znad swoich starych połówkowych szkieł.

- Mówisz zagadkami - powiedział.

Czas na wyjaśnienia jednak jeszcze nie nadszedł. Van Veeteren pociągnął łyk piwa, przesunął skoczka z rogu i zapalił papierosa.

- Ruch poety.

## VI

### 36

Komisarz Reinhart wylądował na lotnisku Johna F. Kennedy'ego o 14.30 w piątek 18 grudnia. Odebrał go chief lieutenant Bloomguard, z którym rozmawiał przez telefon i przez ostatnią dobę wymienił z pół tuzina faksów.

Bloomguard miał około trzydziestu pięciu lat, krępy, krótko ostrzyżony, energiczny mężczyzna, który jakby samym uściskiem dłoni próbował przekazać cały nadmiar hojności, otwartości i ciepła amerykańskiej kultury. Nie bez powodzenia. Reinhart podziękował już odmownie na zaproszenie, by w czasie pobytu w Nowym Jorku zatrzymał się u niego w domu w Queens, ale w samochodzie musiał odrzucić je jeszcze kilka razy w drodze przez coraz ruchliwszy Manhattan.

Zatrzymał się w Trump Tower przy Columbus Circle. Bloomguard huknął go w plecy i dał mu trzy godziny na wzięcie prysznicza i zmycie podróżnego kurzu. Potem miał stać przed wejściem, bo Bloomguard zabierał go do Queens na porządną rodzinną kolację. Spróbowałby odmówić.

Kiedy Reinhart został sam, stanął w oknie i wyjrzał na miasto. Dwudzieste czwarte piętro z widokiem na północny i wschodni Manhattan. Zwłaszcza na Central Park, który rozciągał się dole niczym zmarznięty miniaturowy las. Powoli zapadał zmrok, ale budynki na tle nieba nadal były szare i nieme. W oczekiwaniu nocy drapacze chmur jakby roztopiały się w anonimowości, której nie można było przypisać temu, że Reinhart nie znał ich nazw ani funkcji. W każdym razie uważał, że nie tylko. Metropolitan i Guggenheima na Piątej Alei po drugiej stronie parku rozpoznał, potem było gorzej. Ogólnie miasto wyglądało mało gościnnie. Raczej

nieprzyjaźnie. Bloomguard powiedział, że temperatura spadła poniżej zera, a w nocy miało być jeszcze zimniej. Śnieg w tym roku jeszcze nie padał, ale można było mieć nadzieję.

Minęło piętnaście lat, odkąd Reinhart był w Nowym Jorku poprzednim razem. Zresztą był to jedyny raz. Wtedy wybrał się na wakacyjny wypad. W sierpniu gorącym jak rozżarzony piec; pamiętał, że pił cztery litry wody dziennie i że bolały go nogi. Pamiętał też, że najbardziej lubił nadbrzeżną promenadę i rudery na Coney Island. I oczywiście Bames&Noble, zwłaszcza księgarnię na Ósmej Ulicy. Najlepsza księgarnia świata otwarta w zasadzie przez całą dobę, gdzie w kafeterii można było czytać do woli.

Wtedy przyjechał dla przyjemności. Westchnął i odsunął się od okna. Teraz był służbowo. Wziął prysznic, przespał się godzinę i ponownie wszedł pod prysznic.

Lieutenant Bloomguard był żonaty z kobietą, która miała na imię Veronique i która robiła wszystko, by wyglądać jak Jacqueline Kennedy.

Nie bez powodzenia. Mieli córkę dwa tygodnie starszą od Joasi. Mieszkali w niskim domu stylizowanym na hacjendę, położonym w północno-zachodnim Queens i wyglądającym dokładnie tak, jak według wyobrażeń Reinharta powinien wyglądać dom przedstawicieli amerykańskiej klasy średniej. Podczas kolacji gospodarz (wspomagany od czasu do czasu przez gospodynię) opowiedział część rodzinnej historii. Jego ojciec, który walczył zarówno w Afryce, jak i w Korei i dostał za swoje zasługi pół tuzina medali oraz protezę nogi, przeszedł właśnie operację wszczepienia potrójnego bypassu i wyglądało na to, że wyzdrowieje. Veronique skończyła właśnie trzydzieści wiosen, a pochodziła z Montany, gdzie zawsze spędzali dłuższe urlopy, rozkoszując się rześkim górskim powietrzem. Młodsza siostra Bloomguarda została zgwałcona w Far Rockaway nieco ponad dwa lata temu, ale znalazła w końcu terapeutę, który chyba będzie potrafił jej pomóc, i przestawili się na bezkofeinową kawę, choć zastanawiali się, czy nie wrócić do

normalnej. I tak dalej. Reinhart wtórował odpowiednikiem jednej dziesiątej na temat własnej niedoli, a kiedy podano lody, uświadomił sobie, że wie więcej o lieutenantacie Bloomguardzie i jego rodzinie niż o którymkolwiek z kolegów z Wydziału Kryminalnego w Maardam.

Kiedy Veronique po dobrze spełnionym obowiązku zostawiła ich samych, zabierając Quincey (Reinhartowi zawsze się wydawało, że to imię męskie), panowie policjanci usiedli przed kominkiem z koniakiem w ręku, żeby poważnie porozmawiać. O wpół do jedenastej Reinhart zaczął odczuwać skutki zmiany czasu. Bloomguard zaśmiał się i huknął go znowu przyjaźnie w plecy. Potem wsadził do taksówki i odesłał z powrotem na Manhattan.

Pomijając to, że palić musiał na zewnątrz na tarasie, Reinhart uznał wieczór za całkiem znośny.

Pewnie zasnąłby już w taksówce, gdyby szoferem nie okazał się potężny, śpiewający Portorykańczyk (Reinhartowi zawsze się wydawało, że Portorykańczycy są drobni), który miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, mimo że był środek nocy. Reinhartowi przypomniła się replika z jakiegoś filmu: „Are you blind or just stupid?”, ale chociaż miał jąna końcu języka przez całą drogę, nie odważył się jej wypowiedzieć.

Z hotelowego pokoju zadzwonił do Winnifred i dowiedział się, że w Europie jest za piętnaście szósta rano. Ściągnął ubranie, wśliznął się do łóżka i zasnął.

Do Wigilii zostało pięć dni.

Lieutenant Bloomguard zawiózł go także osobiście w sobotę rano na Brooklyn. Skręcili z Piątej Alei za Sunset Park i zaparkowali kawałek dalej na Czterdziestej Czwartej Ulicy. Zaledwie kilka domów od tego właściwego, położonego na rogu przy Szóstej Alei. Brudnobrązowa rudera z cegły, dwupiętrowa, ale niska,

O ciemnych oknach nieróżniąca się ani na jotę od pozostałych ruder w tej dzielnicy. Schodki prowadzące do drzwi, kilka worków ze śmieciami leżących na chodniku.

Latynosi i ortodoksyjni żydzi, objaśnił Bloomguard. I Polacy. To najczęściej spotykane tu nacje. Żydzi zresztą może trochę dalej. Przy Dziesiątej i Jedenastej.

Przez chwilę siedzieli w samochodzie i Reinhart ponownie podkreślił, jak delikatną sprawą jest ta pierwsza wizyta. Cholernie delikatną. Bloomguard zrozumiał aluzję.

- Zostanę w samochodzie - powiedział. - Idź sam, ja nie umiem trzymać języka na wodzy.

Reinhart skinął głową i wysiadł z samochodu. Rzucił okiem na park; otwarty, pochyły trawnik i szarobiałe, niskie budynki pośrodku. Coś, co wyglądało na kryty basen. Bloomguard powiedział, że raczej nie było to miejsce dla turystów. Ani dla porządnych ludzi. W każdym razie nie w nocy. Po zapadnięciu zmroku Sunset Park zmieniał nazwę na Gunshot Park. Przynajmniej nieoficjalnie.

W tej chwili wyglądał raczej sielankowo. Jakiś miłośnik joggingu pokonywał wyasfaltowaną ścieżkę, kilku panów w wełnianych czapkach, wyraźnie pozbawionych zajęcia, dzieliło się na ławce butelką w papierowej torbie. Dwie grube kobiety ciągnęły dziecięcy wózek i rozmawiały, wykonując zamaszyste gesty. Jedno z nagich drzew przy ulicy było obwieszona butami; ten motyw Reinhart pamiętał z widokówki, którą kiedyś dostał. Nie kojarzył od kogo.

Panował przenikliwy chłód. Lodowaty wiatr zawiewał od Hudsonu, czuło się, że śnieg wkrótce spadnie. Widok był wspaniały. Na północy, na tle stalowoszarego nieba, rysowały się manhattańskie drapacze chmur, trochę bardziej na zachód - w całej okazałości wejście do portu ze Statuą Wolności i Staten Island. To tutaj przybyli, pomyślał Reinhart. To właśnie tu znajdował się Nowy Świat.

Minął trzy domy i cztery samochody, duże, lekko rdzewiejące krążowniki szos, i dotarł do numeru 602. Cyfry określały położenie. Drugi dom między Szóstą a Siódmą Aleją. Reinhart pokonał osiem schodków i zadzwonił. Jakiś pies zaczął szczekać.

Delikatnie, pomyślał znowu. Cholernie delikatnie.

Drzwi otworzył nastoletni chłopak w okularach i o wystających zębach. W ręku trzymał kanapkę z czekoladą.

- Szukam pani Ponczak - oznajmił Reinhart.

Chłopak zawołał w głąb domu i po chwili po schodach zeszła tęga, postępująca kobieta. Przywitała się.

- To ja - powiedziała. - Jestem Elizabeth Ponczak. O co chodzi? Reinhart wyjaśnił, kim jest, i został zaproszony do kuchni. Pokój z telewizorem był zajęty przez chłopaka. Usiedli przy wąskim stole z laminatu i Reinhart zaczął referować swoją sprawę, tak jak zdecydował się ją przedstawić. Nie wiedział dlaczego, ale po angielsku.

Zajął mu to kilka minut i przez cały ten czas kobieta głaskała żółtoszarego kota, który wskoczył jej na kolana. Pies najwyraźniej należał do sąsiadów, od czasu do czasu słychać było jego wycie albo ujadanie.

- Nie rozumiem, co pan mówi - powiedziała, kiedy skończył. - Dlaczego miałby mnie odwiedzić? Nie mieliśmy ze sobą kontaktu od piętnastu lat. Przykro mi, ale nie jestem w stanie panu pomóc.

Spostrzegł, że mówiła po angielsku gorzej od niego. Może z panem Ponczakiem rozmawiała po polsku, jeśli takowy nadal znajdował się w jej pobliżu. W każdym razie w domu chyba teraz go nie było.

Aha, pomyślał Reinhart. To by było na tyle.

Ze swej strony nie powiedział prawdy. Ona też nie?

Nie potrafił tego ocenić. Zmyślając, z uwagą obserwował jej reakcje, ale nie dostrzegł żadnych oznak, że coś ukrywa albo podejrzewa.

Gdyby tylko nie była taka flegmatyczna, stwierdził z irytacją. Tacy grubi, ociążali ludzie mogli bez problemu ukryć, co tylko chcieli. Uświadomił sobie to już wcześniej. Wystarczyło, że gapili się tępym wzrokiem przed siebie, jak to mieli w zwyczajaju.

Kiedy wyszedł na ulicę, zdał sobie sprawę, że dokonał nie-

sprawiedliwego uogólnienia. niesprawiedliwego i niestosownego. Ale, do cholei, przywiózł zza Atlantyku jedną jedyną kartę atutową. Jedną żalną kartę atutową, wyłożył ją i nie wziął lewy.

Powlókł się do samochodu.

- Jak poszło? - zapytał Bloomguard.

- *Nada*. Niestety.

Opadł na siedzenie.

- Możemy pojechać napić się gdzieś kawy? Z kofeiną.

- Jasne. - Bloomguard zapalił silnik. - Plan B?

- Plan B - westchnął Reinhart. - Cztery dni, jak mówiliśmy, potem kichamy na to. Wezmę tyle godzin, ile tylko dam radę. Na pewno możesz dać mi ludzi?

- Jasne - powiedział entuzjastycznie Bloomguard. - Nie musisz sam prowadzić obserwacji. Mamy trochę środków w tej mieście, więcej jakby inne wiatry niż piętnaście lat temu. Zero tolerancji - przyznaję, że z początku byłem nieco sceptyczny, ale faktem jest, że to działa.

- Słyszałem. Mimo wszystko nie chcę czuć się jak turysta. Poza tym musimy pilnować domu przez okrągłą dobę, inaczej nie ma to sensu.

Bloomguard skinął głową.

- Dostaniesz samochód do dyspozycji. Zrobimy plan dyżurów i zaznaczysz te, które chcesz wziąć. Ja zajmę się resztą. Okej, *compadrel*

- *No problem* - odparł Reinhart.

Swoją pierwszą zmianę Reinhart przesunął jednak do niedzieli. Bloomguard dopilnował, żeby samochód z dwoma policjantami w cywilu znajdował się na rogu Czwartej Czwartej Ulicy i Szóstej Alei na Brooklynie od czwartej w sobotę. Reinhart spędził popołudnie i wieczór, włócząc się po Dolnym Manhattanie. Soho. Little Italy. Greenwich Village i Chinatown. W końcu wylądował w Bames&Noble. Było to niejako nieuniknione. Usiadł, żeby poczytać. Pił kawę, jadł *brownies* i słuchał poetów czytających swoje wiersze. Kupił



pięć książek. Wpół do dziesiątej wyszedł z księgarni i zdołał wsiąść do właściwego pociągu metra jadącego w stronę Columbus Circle. Kiedy opuścił podziemia, zaczął padać śnieg. Co ja tutaj robię? - pomyślał. W tym mieście jest ponad siedem milionów ludzi. Jak mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek znajdę to, czego szukam? Mam większą szansę zablądzić i zniknąć, niż coś znaleźć.

W windzie przypomniał sobie, że to komisarz przekonał go, że przedsięwzięcie może się udać, ale pociecha była słaba. Przynajmniej w tej chwili, w samotności sobotniego wieczoru. Kiedy zadzwonił do Winnifred, budząc ją w drugą noc z rzędu, powiedziała, że w Maardam też pada śnieg.

### 37

Moreno spotkała się z Marianne Kodeską w porze lunchu w Rote Moor. Według inspektora Rootha Rote Moor było typowym lokalem dla kobiet w wieku między trzydzieści cztery lata i pół a czterdzieści sześć, które odżywiały się marchewkami i kielkami, czytały „Athenę” i jednego lub dwóch facetów wyrzuciły na śmietnik. Moreno była tu po raz pierwszy i mogłaby przysiąc, że noga Rootha nigdy tu nie powstała.

Pani Kodesca (rok temu wyszła powtórnie za mąż, za architekta) dysponowała tylko czterdziestoma pięcioma minutami, bo czekało ją jakieś ważne spotkanie. I nie miała nic do powiedzenia o swoim byłym mężu.

Oświadczyła to już przez telefon.

Jadły sałatkę della Piranesi i piły wodę mineralną z odrobiną limonki, wyglądając na Plac Targowy, pokryty śniegiem po raz pierwszy, odkąd Moreno sięgała pamięcią.

- Pieter Clausen? - przeszła do rzeczy, kiedy uznała, że wstępy ma z głowy. - Czy mogłaby pani o nim trochę opowiedzieć? Chcielibyśmy uzyskać, że tak powiem, pełniejszy portret psychologiczny.

- Zrobił coś? - zapytała Marianne Kodesca z brwiami unie-

sionymi niemal do linii włosów. - Dlaczego go szukacie? Musi mi to pani wyjaśnić.

Poprawiła rdzawoczerwoną apaszkę, tak że metka była lepiej widoczna.

- Nie jest to do końca ustalone.

- Nie? Chyba wiecie, dlaczego go szukacie?

- Zniknął.

- Coś mu się stało?

Moreno odłożyła sztućce i wytarła usta serwetką.

- Mamy wobec niego pewne podejrzenia.

- Podejrzenia?

-Tak.

- Jakie?

- Musi mi pani wybaczyć, ale nie mogę tego ujawniać.

- Nigdy nie wykazywał takich skłonności - stwierdziła Marianne Kodesca.

- Jakich skłonności?

- Przestępczych. Bo przecież o tym pani mówi?

- Utrzymujecie ze sobą nadal jakiś kontakt?

Marianne Kodesca odchyliła się w tył, przypatrując się Moreno z uśmiechem jakby wyskrobanym cyrkiem na drzwiach lodówki. Chyba bola ją zęby, pomyślała Moreno. Nie lubię jej. Muszę się pilnować, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa.

- Nie, nie utrzymujemy kontaktów.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Kiedy widziałam?

- Spotkała się z nim, zamieniła słowo... co pani chce.

Pani Kodesca zastanawiając się, wciągnęła nosem kubik powietrza.

- W sierpniu - powiedziała, wypuszczając powietrze. - Nie widziałam go od sierpnia.

Moreno zanotowała. Nie musiała, ale chciała skierować swą agresję na inne tory.

- Zechciałaby go pani opisać?

- Nie, nie zechciałabym. O co wam chodzi?

- Tylko o pełniejszy obraz - powtórzyła Moreno. - Ogólne cechy charakteru i tym podobne.

- Na przykład jakie?

- Na przykład czy zdarzało się, że bywał agresywny.

- Agresywny?

Wyłowiła wędka słowo z innej klasy społecznej.

- Tak. Uderzył panią kiedyś?

- Uderzył?

Ta sama wędka.

- Jeśli woli pani odbyć tę rozmowę w komendzie policji, to nie widzę przeszkód - powiadomiła uprzejmie Moreno. - Może tutaj brak właściwej atmosfery?

- Hnn - powiedziała Marianne Kodesca. - Przepraszam, po prostu zaniemówiłam. Co wy wymyślacie? Jestem w stanie wyobrazić sobie, że Pieter padł ofiarą czegoś, ale żeby sam miał popełnić... nie, to wykluczone. Całkowicie wykluczone, może to pani zapisać w swoim notesiku. Coś jeszcze?

- Wie pani, czy wiązał się z jakimiś kobietami po waszym rozwodzie?

- Nie wiem. - Marianne Kodesca wyjrzała przez okno. - Ten rozdział to już nie moje zmartwienie.

- Rozumiem. I nie ma pani pojęcia, gdzie mógł się podziać? Minęło dziesięć dni, odkąd zniknął... nie odezwał się do pani? Zmarszczka dezaprobaty pojawiła się między nosem a prawym kącikiem ust pani Kodeski, z miejsca dodając jej pięć lat.

- Wyjaśniłam już pani, że nie utrzymujemy żadnych kontaktów. Ma pani trudności ze zrozumieniem?

Tak, pomyślała Moreno. Mam trudności ze zrozumieniem, jak udało ci się drugi raz wyjść za mąż.

Choć może nie poznała Marianne Kodeski od jej najlepszej strony.

Pół godziny później zastała Junga w swoim pokoju w komendzie.

- Liz Vrongel - powiedział Jung. - *Putz weg.*

- Ona też?

Jung przytaknął.

- Tyle że dwadzieścia lat temu. Była żoną Kellera przez rok... dziesięć miesięcy, jeśli być drobiazgowym... potem się rozeszli i przeprowadziła się do Stambegu. Zagubiona biedaczka. Brała udział we wszystkich możliwych ruchach protestacyjnych; została wyrzucona z Greenpeace'u za to, że ugryzła policjanta w twarz. Była w kilku sektach, a na początku lat osiemdziesiątych wyjechała przypuszczalnie do Kalifornii. Tam ślad się urywa. Nie wiem, czy szukanie jej ma jakiś sens. Moreno westchnęła.

- Raczej nie. Możemy chyba zacząć myśleć o świętach i mieć nadzieję, że Reinhart przywiezie coś z Nowego Jorku.

- Myślisz, że są jakieś szanse?

- Niewielkie. Jeśli mam być szczerą.

- A jak była pani Clausen?

Moreno rozważyła pośpiesznie, jak ma to ująć.

- Na pewno inny typ niż była pani Keller. Dyskretny faszyzm klasy średniej. Może nawet nie taki dyskretny, jak się zastanowić. Ale nie powiedziała nic ciekawego, a ja nie mam ochoty rozmawiać z nią drugi raz.

- *Rich bitch!*

~ Mniej więcej.

Jung spojrział *na* zegarek.

- No tak. Nie moglibyśmy zwolnić się teraz do domu? Maureen zaczęła przebąkiwać, że powinienem zmienić pracę. Niemal się z nią zgadzam.

- A kim byś został? - zapytała Moreno.

- Tak właściwie to nie wiem. - Jung w zamyśleniu skubał dolną wargę. - Bileter brzmi dobrze.

- Bileter?

- Bileter w kinie. Taki, co pokazuje ludziom latarką miejsce, a w przerwie sprzedaje cukierki.

- Takich już nie ma - powiedziała Moreno.

- Szkoda.

Komisarz Reinhart w niedzielę rano sam prowadził samochód,

jadąc na Czterdziestą Czwartą Ulicę na Brooklynie. Dotarł spóźniony niemal dokładnie pół godziny; nocna zmiana już opuściła posterunek, ale brązowy dom z numerem 602 nad drzwiami nie był niestrzeżony. Bloomguard zdecydował się przydzielić dodatkowy samochód oprócz samochodu Reinharta - zważywszy, że europejski kolega nie znał miasta, może była to słuszna decyzja.

Zaparkował między 554 a 556, gdzie znalazł lukę, wsiadł do samochodu po drugiej stronie ulicy - trzydziestometrowego olds- mobila - i przywitał się.

Sierżant Pavarotti był niski, chudy i wyglądał na nieszczęśliwego. Reinhart nie wiedział, czy z powodu nazwiska, czy z jakichś innych przyczyn.

Na przykład dlatego, że musiał przesiedzieć całą niedzielę w starym samochodzie na Brooklynie.

- Wiele razy zastanawiałem się, czy nie zmienić nazwiska  
- wyjaśnił Pavarotti. - Czasami trafiają mi się takie cholerne sytuacje, że zdecydowanie wolałbym się nazywać Mussolini. Śpiewam gorzej niż osioł. Jak sytuacja w Europie?

Reinhart powiedział, że jest jak jest, i zapytał Pavarottiego  
O zainteresowania.

Baseball i filmy sensacyjne, jak się okazało. Reinhart posiedział jeszcze pięć minut, potem wrócił do swojego samochodu. Pytał Bloomguarda, czy nie będzie wyglądało podejrzanie, że ktoś godzinę za godziną siedzi w samochodzie, ale ten uśmiechnął się tylko pobłaźliwie i pokręcił głową.

- W tej dzielnicy nie wygląda się przez okna. Poza tym zawsze jacyś faceci siedzą samotnie w swoich samochodach, przejdź się po okolicy, to zobaczysz.

Nieco później Reinhart odbył spacer wokół wydłużonego kwartału i przekonał się, że tak rzeczywiście jest. Ponadwymiarowe samochody parkowały po obu stronach ulic, a w co piątym czy szóstym siedział mężczyzna, żując gumę albo paląc. Albo grzebiąc w torebce z chipsami. Większość miała ciemne okulary, mimo że słońce wydawało się odleglejsze niż

średniowiecze. O co chodzi? - zdziwił się.

Było zimno, z pewnością kilka stopni poniżej zera, i hulał ten sam niegościnnie wiatr, który wczoraj ciągnął od rzeki.

Nie rozumiem tego społeczeństwa, uświadomił sobie Reinhart. Czym, do cholery, ci ludzie się zajmują? Jakie mają życiowe kłamstwa, których my jeszcze nie odkryliśmy?

Powiedział Pavarottiemu, żeby zrobił sobie godzinę przerwy i pojechał na kawę. Sierżant chyba się wahał, czy ma prawo posłuchać takiego rozkazu wydanego przez tego dziwnego komisarza, ale w końcu pojechał.

Reinhart przeszedł przez niski kamienny murek, który otaczał Sunset Park, i usiadł na ławce. Miał stąd równie dobry widok na numer 602 jak z samochodu, a nie sądził, żeby istniało ryzyko, że pani Ponczak go rozpozna. Wydawało mu się, że w wełnianej czapce, długim szaliku i starej wojskowej bluzie z kapturem nie różni się od innych pennerów, że wygląda jak jeden z tych życiowych rozbitków, których nie stać nawet na samochód, gdzie mogliby czekać na śmierć.

Była za dziesięć jedenasta, kiedy pani Ponczak wyszła. Pavarotti jeszcze nie wrócił, mimo że minęła ponad godzina, odkąd pojechał. Reinhart szybko rozważył sytuację i zdecydował się pójść za kobietą.

Doszła do Piątej Alei i skręciła w lewo. Lekko się kołysząc i chyba kulejąc. Przez chwilę myślał, że zejdzie do metra przy Czterdziestej Piątej, ale nie musiał podejmować decyzji, co począć w takiej sytuacji, gdyż pani Ponczak weszła do minimarketu na rogu. Reinhart minął sklep i stanął po drugiej stronie ulicy. Palcami zwinnymi jak sople lodu zaczął nabijać fajkę.

Pięć minut później pani Ponczak wyszła z reklamówkami w obu rękach. Ruszyła z powrotem Piątą Aleją, tą samą drogą, którą przyszła. Skręciła w Czterdziestą Czwartą Ulicę i minutę później była w domu pod numerem 602.

Reinhart usiadł w samochodzie. Aha, pomyślał. Przypuszczalnie dramatyczny, kulminacyjny punkt dnia. *Mrs Ponczak*

*goes shopping*. Jak tytuł angielskiego filmu dla gospodyń zmywających naczynia.

Była to trafna prognoza, jak miało się okazać. Ani pani Ponczak, ani jej gnuśny syn nie wychodzili więcej tej zimnej i wietrznej grudniowej niedzieli, zresztą po co mieliby wychodzić? Była przecież telewizja. Domniemanego pana Ponczaka Reinhart nie dostrzegł i domyślał się, że jeśli takowy istnieje, to leży gdzieś w zaciszu i czyta gazetę albo odsypia po przepiciu. On robiłby to samo na jego miejscu.

Na przemian snuł się po Sunset Park, pólleżał w swoim samochodzie i siedział obok ponurego Pavarottiego. Zapytał go, jak postąpią, jeśli obiekt obserwacji ponownie opuści dom. Pavarotti stwierdził, że to dom jest obiektem obserwacji, a nie jego właścicielka, taki był rozkaz Bloomguarda. Jednoznaczny rozkaz. Żeby uniknąć niepotrzebnej dyskusji, Reinhart zadzwonił do Bloomguarda do Queens i poprosił o wydanie nowych instrukcji. Gdyby obiekt Ponczak (Mrs) ponownie oddalił się od obiektu Ponczak (House), zadaniem Pavarottiego było śledzenie tego pierwszego. Reinhart miał w każdych okolicznościach pozostać na rogu ulicy, bo nie nadawał się w stu procentach do śledzenia ludzi w mieście liczącym siedem milionów mieszkańców, w którym znał z nazwiska sześć osób i nazwy dwóch parków oraz pięciu budynków.

O drugiej Pavarotti pojechał kupić po kartonie *junk food* dla nich obu, o czwartej Reinhart skończył czytać pierwszą książkę kupioną w Bames&Noble - *Sun Dogs* Roberta Olena Butlera - a punktualnie o osiemnastej zwolniła ich nocna zmiana. Poza tym nie zdarzyło się nic, ani w domu pod numerem 602, ani w okolicy.

Jeśli nie zostaną przejechany ani napadnięty w drodze do hotelu, pomyślał Reinhart, chyba będzie można stwierdzić, że była to spokojna niedziela.

Nie przytrafiło mu się ani jedno, ani drugie. Kiedy dzięki kąpieli przywrócił ciału w miarę normalną temperaturę,

odebrał telefon od Bloomguarda, który zapraszał na mały poczęstunek, ale odmówił. Poszedł na długi spacer przez ciemny Central Park (i tym razem nikt go nie zaatakował ani nie przejechał), zjadł kolację we włoskiej restauracji na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i około jedenastej wrócił do hotelu i do kolejnej książki.

Chyba nigdy nie poszedłem za równie nikłym śladem, pomyślał. Jeszcze trzy dni. Zmarnowane jak róże dla kozy. Gdyby nie komisarz i jego cholerna intuicja...

Nastawił budzik na drugą piętnaście i przespał półtorej godziny. Na dźwięk budzika poderwał się, przez chwilę nie wiedząc, jak się nazywa, gdzie się znajduje i dlaczego. I dlaczego został obudzony.

Potem zadzwonił na drugą stronę Atlantyku i usłyszał szczebioczącą z rana swoją córkę.

## 38

Poniedziałek był nieco bogatszy w wydarzenia niż niedziela. Ale tylko odrobinę. Ledwie Reinhart przybył na miejsce koło Sunset Park, zarówno mama Ponczak, jak i syn wyszli na ulicę. Pavarotti został tego dnia wymieniony na dużo pogodniejszego sierżanta Baxtera, który wyglądał jak udana krzyżówka buldoga i młodego Roberta Redforda i który po krótkiej naradzie wysiadł z samochodu i poszedł za panią Ponczak w stronę Piątej Alei. Syn udał się w przeciwnym kierunku, na wschód ku Siódmej Alei, ale Reinhart uznał go za mniej interesujący obiekt (w tym kraju dzieci pewnie też chodzą do szkoły, pomyślał) i został w samochodzie Baxtera.

Minęła godzina i dziesięć minut, zanim coś się wydarzyło. Baxter zadzwonił z centrum handlowego przy Pacific (był to nadal Brooklyn) i wyjaśnił, że pije kawę (z kofeiną) w kafeterii naprzeciwko sklepu kosmetycznego, w którym pani Ponczak najwyraźniej pracowała. Przynajmniej tego dnia.

Ponieważ dom pod numerem 602 sprawiał wrażenie opusz-



czonego (istnienie pana Ponczaka stawało się z każdą mijającą godziną coraz bardziej wątpliwe), Reinhart zdecydował, że Baxter może zostać przy kawie, obserwując ruchomy obiekt, podczas gdy on sam przypilnuje mniej ruchomego domu przy Sunset Park.

Boże, pomyślał, kiedy rozłączył się z Baxterem. Czy to czymś takim zajmowałem się dwadzieścia pięć lat temu?

Do wpół do pierwszej przeczytał siedemdziesiąt stron *My Dark Places* Jamesa Ellroya i na nowo zaczął się zastanawiać, co to za kraj. O pierwszej zostawił samochód na kilka minut i poszedł na zakupy do minimarketu na rogu Szóstej i Czterdziestej Piątej. Kupił banany, butelkę wody mineralnej, tabliczkę czekolady i kilka bajgli; stwierdził, że minimarkety znajdują się na co drugim rogu ulicy, do wyboru, do koloru. Wracając do samochodu, spostrzegł, że powietrze jest trochę łagodniejsze, kwadrans później zaczął padać deszcz. Przedzierał się dalej przez skrzywiony świat Ellroya i kilkakrotnie rozmawiał przez telefon z Baxterem i Bloomguardem. O wpół do czwartej do domu wrócił Ponczak junior w towarzystwie rudego kolegi, a pół godziny później Reinhart został zmieniony.

Poniedziałek, pomyślał w drodze na Manhattan. Jeszcze dwa dni. Co ja tu, do cholei, robię?

Mimo że brudny zmierzch zawisł już w powietrzu, Reinhart wszedł na prom na Staten Island. Udało mu się też wsiąść do właściwego autobusu do Snugg's Harbor, gdzie potem przez godzinę chodził wśród butwiejących liści - w tym samym miejscu, w którym piętnaście lat wcześniej spacerował z młodą kobietą; to dlatego tu przyjechał, ale dawnych wrażeń nie udało się przywołać. Wtedy było trzydzieści stopni, a drzewa obfitowały w liście.

Miała na imię Rachel (miał nadzieję, że nic się nie zmieniło) i pamiętał, że kochał ją namiętnie przez cztery dni. Głową, sercem i podbrzuszem. Piątego dnia głowa (może zresztą serce też) postawiła weto, a po szóstym się rozstali.

Wieczór spędził razem z Bloomguardem w azjatyckiej restauracji na Canal Street. Bloomguard miał ochotę zabrać go do 1 Police Plaża, żeby zademonstrować najnowsze zdobycze techniki służące do zwalczania przestępczości (elektroniczne urządzenia podsłuchowe, wykrywacze laserowe itp.), ale Reinhart odmówił, najgrzeczniej jak potrafił.

Około dwunastej był z powrotem w hotelu. Winnifred przesała mu faksem zarysy obu rączek Joasi i wiadomość, że mają do dyspozycji dom profesora Gentz-Hilliera w Limbuijs na dwa tygodnie od dwudziestego siódmego.

Wsunął faks pod poduszkę i zasnął, nie zadzwoniwszy do domu.

Kiedy przyjechał do Sunset Park we wtorek rano, z początku nie zrozumiał, co sierżant Pavarotti do niego mówi.

- *The fucker* jest w środku.

-Co?

- Tam. Ten drań. W domu.

Pokazał przez ramię.

-Kto?

- Gość, którego ścigasz, oczywiście. Jak myślisz, po jaką cholere tu siedzimy?

- Co ty, kuźwa, mówisz? To znaczy... co zrobiłeś? Skąd wiesz, że jest w środku?

- Jak to skąd? Widziałem, jak wchodził. Przed kwadransem. Przyszedł od Piątej... przyjechał pewnie linią R na Czterdziątą Piątą. Przelazł koło mnie, wszedł po schodach, zadzwonił... no i przysła, i go wpuściła. Chłopak wyszedł do szkoły raptem pięć minut wcześniej. A ci dwoje siedzą w środku.

- *Jesusfuckingchrist* - powiedział Reinhart, by pokazać, że rozumie ducha kraju. - Jakie działania podjąłeś?

- Według rozkazu, oczywiście - oburzył się Pavarotti. - Zadzwoniłem do Bloomguarda. Jedzie tutaj z ekipą. Powinien być lada minuta.

Reinhart poczuł się, jakby nagle ocknął się z trzydniowego odrętwienia.

- Doskonale. Rewelacyjnie.

- To będzie prosta operacja - stwierdził Bloomguard - ale nie możemy ryzykować. Dwóch pójdzie na tył domu. Dwóch zabezpieczy ulicę i okna od frontu. Dwóch wejdzie i zadzwoni... ja i commissioner Reinhart. Nic nie wskazuje na to, że jest uzbrojony, ale działamy jak zwykle.

Jak zwykle? - pomyślał Reinhart.

Dwie minuty później wszyscy byli na swoich pozycjach. Paravotti został w samochodzie z telefonem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Na znak dany przez Bloomguarda Reinhart pokonał osiem schodków i zadzwonił do drzwi. Bloomguard trzymał się dwanaście centymetrów z tyłu. Drzwi otworzyła pani Ponczak.

- Tak? - powiedziała zdziwiona.

W ciągu trzech sekund czterej mężczyźni znaleźli się w domu. Sierzanci Stiffle i Johnson wbiegli na piętro, Bloomguard i Reinhart wtargnęli do pokoju i do kuchni na parterze.

Siedział w kuchni.

Kiedy Reinhart go zobaczył, właśnie zrobił pół obrotu na krześle i odkrył dwóch barczystych policjantów stojących na kuchennym tarasie i celujących w niego z 9-milimetrowych waltherów. Bloomguard stał ramię w ramię z Reinhartem i też celował.

Reinhart schował pistolet do kabury i odchrząknął.

- Doktorze Clausen. Mam wątpliwą przyjemność aresztowania pana za zabójstwo Ericha Van Veeterena i Very Miller. Ma pan prawo milczeć, a wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu.

Clausen zgarbił się, ale nieznacznie. Odstawił kubek z kawą, który trzymał w ręku. Popatrzył prosto na Reinharta z niewzruszoną miną. Na ciemnej twarzy widać było zmęczenie; kilkudniowy zarost i sińce pod oczami. Pewnie źle sypia, pomyślał Reinhart. Nie ma się co dziwić.

Ale dostrzegł w niej coś jeszcze, coś zupełnie świeżego. Jakby pojawiło się dopiero przed chwilą. Ulga.

Tak chyba było. Może tak właśnie odczuwał, w końcu.

- Keller - powiedział słabym głosem, nie głośniejszym niż szept. - Zapomnieliście o Kellerze. Jego też zabiłem.

- Podejrzewaliśmy to - powiedział Reinhart.

- Przykro mi.

Reinhart nie odpowiedział.

- Przykro mi z powodu tamtych, ale cieszę się, że zabiłem Kellera.

Komisarz skinął głową.

- Omówimy resztę na posterunku. Wyprowadźcie go.

Pani Ponczak nie odezwała się ani słowem, odkąd wtargnęli do domu, i nadal milczała, kiedy wyprowadzali jej brata. Reinhart minął ją w przedpokoju jako ostatni; przystanął na chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Przepraszamy za najście. - Nic innego nie przyszło mu do głowy. - Odezwiemy się.

Skinęła głowa i zamknęła za nim drzwi.

Reinhart przesłuchiwał Pietera Clausena przez trzy godziny w jasnoniebieskim pokoju na 22. posterunku policji. Nagrał całe przesłuchanie, ale sporządzenie i podpisanie pisemnego protokołu trzeba było odłożyć ze względu na kwestie językowe. Kiedy skończył, zostawił Clausena w celi pod solidną strażą, poszedł do gabinetu Bloomguarda i zadzwonił do Maardam. Po krótkiej chwili miał na linii Moreno.

- Przylatuję z nim jutro wieczorem - zapowiedział. - Przyznał się do wszystkiego, mam wrażenie, że jest zadowolony, że to się już skończyło.

- Co się stało z Kellerem?

Reinhart wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać.

- Zabił go. Odkrył, kto to jest... zaczął się na niego i po prostu zabił. W zasadzie tak samo jak Ericha i Verę Miller. Przed domem w Boorkhejm, pośrodku osiedla, tyle że późno w nocy i nikt nie widział... akurat kiedy Keller wybierał się po pieniądze. Jeśli czegoś nie żałuje, to tego, że posłał na tamten świat Kellera. Jak twierdzi, Keller chyba wiedział, że został

zdemaskowany, bo tego wieczoru uzbroił się w duży nóż. No, ale Clausen był szybszy. Potem zapakował go do samochodu, wywiózł w stronę Linzhuisen i zakopał w lesie. Dostałem opis, ale chyba nieboszczyk może poleżeć jeszcze kilka dni.

- Z pewnością - powiedziała Moreno. - Przymrozki przytrzymają go w szachu. Idzie do nas zima. A jak dokonał zamiany ról?

- W gruncie rzeczy dość prosto. Zanim zakopał Kellera, zabrał mu klucze i portfel. Wrócił do Boorkhejm, wszedł do jego mieszkania i... można chyba powiedzieć, że ukradł mu tożsamość. Są dość podobni, co właśnie odkrył komisarz, a kto wygląda tak jak na swoim zdjęciu w paszporcie? W piątek zamówił telefonicznie bilet do Nowego Jorku, w porze lunchu wziął skuter i pojechał do Sechshafen. Przenocował w hotelu lotniczym, po czym przyleciał tutaj. Żadnych problemów z kontrolą paszportową... dwumiesięczna wiza turystyczna od ręki, a biały kolor skóry rozwiązuje chyba wszystkie problemy. Zatrzymał się w tym hotelu na Lower East, to wiesz, ale wyprowadził się po pierwszej nocy. Wynajął małe mieszkanie w rosyjskiej dzielnicy na Coney Island. Zobaczył ogłoszenie w oknie. Nie rozumiem, dlaczego nie wynajął czegoś lepszego, pieniędzy miał pod dostatkiem. W każdym razie nie było tak przyjemnie, jak myślał...

- Sam ze swoim sumieniem?

- Przypuszczalnie. Skontaktował się z siostrą, mówiąc jej, że ma problemy; to było, zanim ją odwiedziłem. Zadzwoniła, żeby go ostrzec, ale chyba nie domyśliła się, kim jestem, a on nie miał już dłużej siły być sam. Nie powiedział jej, co zrobił, tylko że ma kłopoty. Odwiedził ją, kiedy myślał, że niebezpieczeństwo minęło... no, ale nie minęło. Musiał się czuć cholernie osamotniony. Im więcej ludzi mieszka w jakimś mieście, tym więcej przestrzeni do bycia samotnym. Myślę też, że ostro faszzerował się lekami, pewnie dlatego to wszystko udźwignął... chyba dopiero teraz zaczyna sobie uświadamiać, że naprawdę zabił czworo ludzi.

- Załamanie jest blisko?

- Chyba tak. Pogadamy więcej, kiedy wrócę. Czy mogłabyś porozmawiać z komisarzem? Przylatuję z Clausenem jutro wieczorem... dobrze by było, żeby powiedział, jak to widzi. Jak sądzisz?

- Dobra. Będzie ostatnia runda, tak jak chciał.

- Na to wygląda - przyznał Reinhart. - No nic, *over and out*.

- Do zobaczenia - pożegnała się Moreno.

W środę rano znowu padał śnieg. W samochodzie jadącym na JFK było czterech mężczyzn - Bloomguard i Reinhart z przodu, a z tyłu Clausen i olbrzymi czarny policjant nazwiskiem Whitefoot, ci dwaj połączeni kajdankami, do których kluczyk spoczywał w kieszeni spodni Whitefoota, a zapasowy w portfelu Reinharta. Dało się zauważyć, że święta za pasem - dojechanie na lotnisko zajęło im niewiele ponad pół godziny, ale zdążyli wysłuchać w radiu dwa razy *White Christmas* i trzy razy *Jingle Bells*. Reinhart poczuł, że tęskni za domem.

- Miło było cię poznać - powiedział Bloomguard, kiedy stali przed stanowiskiem kontroli bagażu. - Myślimy o wypadzie do Europy tak za trzy, cztery lata, Veronique i ja. Oczywiście z Quincey. Może spotkamy się gdzieś na kawie? W Paryżu albo w Kopenhadze czy gdzie indziej?

- *Sure* - powiedział Reinhart. - Jedno i drugie. Masz moją wizytówkę.

Uścisnęli sobie ręce i Bloomguard wyszedł z hali odlotów. Z każdą godziną, która mijała od zatrzymania, z Clausena jakby uchodziło życie i Whitefoot musiał niemal zawlec go do samolotu. Reinhart był w duchu wdzięczny, że to nie on musiał siedzieć przypięty do mordercy w czasie siedmiogodzinnego lotu. Zaofiarował się wprawdzie, że sam zabierze doktora do domu, ale w ogóle nie wchodziło w grę, że ktoś na to przystanie. Whitefoot odbywał takie podróże wcześniej i konwojowanie aresztantów miał w małym palcu. Bez deliberowania wepchnął Clausena na siedzenie przy oknie, sam usiadł obok, zostawiając miejsce przy przejściu dla

Reinharta. Uprzedził Clausena, że zgadza się na jedną wizytę w toalecie, nie więcej, i że może swoją prawą rękę uważać za amputowaną. Wszystkie czynności - jedzenie, przewracanie kartek w książce czy gazecie, dłubanie w nosie - miał wykonywać lewą. Żadna sztuka, stwierdził Whitefoot, czasu było więcej niż w *fucking hell*.

Reinhart był zadowolony. Czytał dalej Ellroya, spał, jadł i słuchał muzyki. O 22.30 czasu lokalnego wylądowali na Sechshafen w mglistej Europie. Whitefoot wziął pokój na jedną noc w hotelu lotniczym, przekazał Clausena w ręce Reinharta, Rootha, Moreno i Junga, życzył im wesołych świąt i pożegnał się.

- Troje? - zapytał Reinhart. - Nie musieliście wszyscy przyjeżdżać.

- DeBries i Bollmert czekają w samochodach - powiedziała Moreno.

Do Wigilii został jeden dzień.

### 39

Reinhart nie zarządził odprawy, nikt inny też nie.

Mimo to kwartet stawił się w jego gabinecie o godzinie dziesiątej następnego dnia, czyli w czwartek 24 grudnia. W wigilijne przedpołudnie. Moreno i Jung siedzieli na parapetach, starając się nie patrzeć na deszcz, który zaczął padać nad ranem i szybko zmył wszelkie marzenia o białych świątach. Szaro, mokro i wietrznie - miasto odnalazło swój podstawowy ton.

W pewnym oddaleniu od deszczu, za biurkiem, pótleżał Reinhart. DeBries i Rooth zajęli krzesła dla gości po obu stronach okazałej gwiazdy betlejemskiej, którą ktoś (zapewne panna Katz na osobiste polecenie komendanta) udekorował pokój.

- No to dotarliśmy do mety - podsumował deBries. - W samą porę, trzeba przyznać.

Fajka Reinharta zatliła się i chmura dymu spowiła gwiazdę

betlejemską i deBriesa.

- Tak - przyznał Reinhart. - W samą porę.

- O której przyjdzie? - zapytał Jung.

Moreno spojrzała na zegarek.

- Przed południem. Nie chciał podać dokładnej godziny. Może też powinniśmy pozwolić mu na pewną swobodę, wzięwszy pod uwagę... no, wzięwszy wszystko pod uwagę.

Reinhart skinął głową i odrobinę się wyprostował.

- Nie mamy specjalnie powodu, żeby tym razem przypisywać sobie jakieś zasługi - zauważył, przesuwając wzrokiem po kolegach. - Skoro jednak już tu jesteście, to równie dobrze możemy dokonać małego podsumowania... zanim przyjdzie czas.

- Zanim przyjdzie czas - powtórzył Rooth. - Niech to.

- Punktem wyjściowym tej sprawy było zamordowanie syna komisarza - skonstatował Reinhart - i to komisarz najwięcej wniósł w jej rozwiązanie. Nie da się temu zaprzeczyć. To on odkrył szantaż, on dał nam nazwisko Kellera i to on podejrzewał, że do Nowego Jorku uciekł Clausen. Nie pytajcie mnie, jak do tego wszystkiego doszedł, twierdzi, że na to ostatnie wpadł, grając w szachy...

- Znaleźli Kellera? - zapytał deBries.

Reinhart skinął głową.

- Le Houde ze swoją ekipą odkopał go dziś rano. Clausena nie musieli zabierać, wystarczyły mapa i opis. Na właściwym pogrzebie raczej nie będzie tłumu. Bóg świadkiem, że chyba nikt nie oplakuje Arona Kellera.

- Trudno się dziwić - powiedziała Moreno.

- A doktor? Jak sam morderca? - zapytał Rooth. - Wesoły jak skowronek?

Reinhart palił przez chwilę w milczeniu.

- Właściwie nie wiem. Mam wrażenie, że długo nie wytrzyma. A jak będzie, gdy spotka się... nie, nie mam pojęcia. Nawiasem mówiąc, obiecałem, że zostaną sami. Mam nadzieję, że nie skończy się to całkiem źle.



Zadzwoił telefon. Był to Joensuu z dyżurki.

- Już przyszedł - oznajmił uroczyście. - Komisarz już przyszedł. Słychać było, że stoi na baczność.

- *All right*. Poproś Krausego, żeby zszedł z nim do aresztu

- polecił Reinhart. - Ja za minutę przyjdę.

Odłożył słuchawkę i popatrzył dookoła.

- Komisarz Van Veeteren właśnie się zjawił, żeby przesłuchać mordercę swojego syna - powiedział, wstając. - Co tak siedzicie?

Pokój był bladezielony, kwadratowy. Umebłowanie proste

- stół i dwa krzesła ze stalowych rurek, pod ścianą stały jeszcze dwa. Żadnych okien, tylko neonówka pod sufitem rzucająca kliniczne, równomierne światło na każdy centymetr kwadratowy.

Żadnej popielniczki na stole. Tylko karafka z wodą i plastikowe kubki.

Clausen już czekał, kiedy Van Veeteren wszedł. Siedział przy stole z rękami splecionymi na brzuchu i opuszczonym wzrokiem. W prostej białej koszuli i ciemnych spodniach. Siedział nieruchomo od kilku minut; komisarz przyglądał mu się przez chwilę przez wizjer, zanim dał Krausemu i Reinhartowi znak, żeby go wpuścili.

Wyciągnął krzesło i usiadł przy stole. Clausen nie podniósł wzroku, ale Van Veeteren widział, jak napinają się mięśnie jego szyi i szczęk. Czekał. Splótł ręce w taki sam sposób jak morderca jego syna i lekko przechylił się przez stół. Minęło pół minuty.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał.

Doktor Clausen przełknął ślinę, ale nie odpowiedział. Van Veeteren zauważył, że Clausenowi bieleją knykcie i drży mu głowa. Drobne nasilające się drgawki, jak wibracje w listowiu przed burzą. Nadal nie podnosił wzroku.

- Masz mi coś do powiedzenia?

Żadnej odpowiedzi. Spozrzegł, że Clausen wstrzymał oddech.

- Za godzinę jestem umówiony z Elizabeth Felders - powia-

domił go Van Veeteren. - Mamą Wima, którego też zabiłeś. Masz jej coś do przekazania?

Czekał. Cieszę się, że nie mam broni, pomyślał.

W końcu Clausen wziął głęboki oddech i podniósł wzrok. Patrzył na komisarza oczami, które jakby chciały zniknąć w jego głowie.

- Niech pan wie... - zaczął mówić, ale zawiódł go głos. Odkaślnął kilkakrotnie, wodząc beładnie wzrokiem. Podjął jeszcze jedną próbę.

- Niech pan wie, że dwa miesiące temu byłem normalnym człowiekiem... zupełnie normalnym, tylko to chciałem powiedzieć. Odbiorę sobie życie, jak tylko nadarzy się okazja. Jak tylko nadarzy się... okazja.

Umilkł. Van Veeteren przez pięć sekund patrzył w jego martwe oczy. Poczul nagle, że coś się w nim dzieje. Miał wrażenie, że przestrzeń wokół stołu się kurczy, a jego samego wolno, ale nieuchronnie wciąga jakiś mroczny wir, pochłaniając go całkowicie. Mocno zacisnął powieki i odchylił się do tyłu.

- Powodzenia. Nie czekaj za długo, bo wrócę i ci o tym przypomnę.

Siedział jeszcze przez kilka minut. Clausen wpatrywał się w swoje ręce, drgawki nie ustały. Szumiała wentylacja. Kilkakrotnie coś pstryknęło w neonówce. Poza tym nic się nie działo.

Wreszcie Van Veeteren wstał. Dał znak, że chce zostać wypuszczony, i wyszedł z pokoju.

Nie zamienił słowa ani z Reinhartem, ani z nikim innym.

Ruszył prosto do wyjścia, rozłożył parasol i wyszedł na miasto.

Pijany kierowca powodnie wypadek, w którym ginie młody chłopak. Przerazony sprawca pod osłoną deszczu i ciemności ucieka z miejsca przestępstwa, lecz mimo wyrzutów sumienia nie zamierza przyznać się do winy. Ale pewnego dnia dostaje anonimowy list od kogoś, kto był świadkiem śmierci chłopaka. Mezczyzna wpada w panikę. Gotów jest na wszystko, byle tylko skrywana przez niego tajemnica nie wyszła na jaw. Pociągnie to za sobą lawinę tragicznych zdarzeń, a jego życie przeminie w piekło. Jak wiele zła zdoła jeszcze przetrząsnąć jeden człowiek, uciekający przed odpowiedzialnością i karą?

*Przez dziesięć dni to przerażające zdarzenie zdominowało całą jego egzystencję. Wcisnęło się we wszystkie pory i w każdy zakątek jego świadomości. Nawet jeśli dość szybko zapanował nad paniką, to cały czas była obecna. Tam, pod spodem, gotowa, by się ujawnić. Niemal w każdej sekundzie krążył myślami wokół tej piekielnej jazdy, wokół tego miękkiego, głuchego odgłosu i szarpnięcia kierownicą; wokół deszczu, martwego ciała chłopca i śliskiego rowu...*

Håkan Nesser – znany szwedzki pisarz, często przyrównywany do Henninga Mankella i uważany za jego godnego następcę. Popularność przyniosła mu seria dziesięciu powieści kryminalnych z komisarzem Van Veeterenem w roli głównej, które zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, a nakręcony na ich podstawie serial cieszy się ogromnym powodzeniem. Pierwszy tom – *Det grovamskiga nätet* – uznano za najlepszą książkę roku 1993, kolejne, m.in. *Sprawa Eury Moreno* (wyd. Jacek Santorski & Co, 2004) zyskały entuzjastyczne recenzje i nagrody literackie, a *Karambol* został uznany za najlepszą nordycką nowelę kryminalną 2000 roku.

Jacek Santorski & Co. Agencja Wydawnicza

*Ali-Baba*

merlin.pl  
SKLEP Z WYOBRAZNIĄ

PRZE  
KRÓJ

jazz  
radio  
WARSZAWA 100,00 / WARSZAWA 101 / CYFRA 4

ISBN 978-83-60207-87-9



Cena 29,90 zł

9 788360 207871